

**ROBERT
BAKIEWICZ**

SIECI

**O TYM,
CO I DLACZEGO
KRZYCZAŁ
DO TUSKA**

ROKITA:

PO CO PLATFORMIE MŁODZI SZALEŃCY

RYBIŃSKA:

**CZY FRANCUSKI TRUMP
WYGRA WYBORY?**

BUDZISZ:

**POWRÓT NAJEMNIKÓW
NA WOJNACH**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 43 (465) 2021
25 X-1 XI 2021

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

**OPOZYCJA ATAKUJE
POLSKĘ W EUROPIE**

CZY TO JUŻ

ZDRADA

**DLACZEGO TAK WIELU POLSKICH POLITYKÓW
PODĄŻA ŚLADEM TARGOWICY?**

WAŻNA ROZMOWA Z PROFESOREM RYSZARDEM LEGUTKĄ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694





KOLEJNE 100 TON ZŁOTA JUŻ W 2022 R.

NBP dba o bezpieczeństwo finansowe Polaków. W zasobach banku jest ponad 230 ton złota. To gwarancja wiarygodności i bezpieczeństwa finansowego naszego kraju. Prezes NBP zapowiada zakup 100 ton złota już w przyszłym roku.

Zwiększenie zasobów złota to realizacja naszego konstytucyjnego, ustawowego i po prostu patriotycznego zobowiązania. W ten sposób budujemy siłę gospodarczą państwa polskiego oraz tworzymy rezerwy, które będą strzegły jego bezpieczeństwa finansowego.



Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Znowu bieda w imię świetlanej przyszłości?

Przez prawie pięć godzin siedziałem na galerii Parlamentu Europejskiego w czasie debaty o „stanie praworządności w Polsce”. Chciałem mieć pełen obraz. Oprócz licznych wniosków politycznych uderzyła mnie jeszcze jedna rzecz w wypowiedziach krytyków Polski. Otóż żadna z tych zatroskanych o przyszłość świata posłanek ani żaden z posłów, choćby lewicowość i sprawiedliwość społeczną mieli na sztandarach, nawet się nie zająknęli o sukcesach społecznych rządów Zjednoczonej Prawicy. Od programu 500+, przez zatrzymanie masowej migracji, po walkę z mafiami wotowskimi – nic a nic ich to nie obchodzi. Podobnie jak wzrost gospodarczy – nie ich sprawa. Za to wzorcowym krajem Unii jest tonąca w biedzie i korupcji Bułgaria, dumna z siebie była także posłanka lewicy z Rumunii.

Dzieje się tak dlatego, że jedynym kryterium oceny właściwej unijności i dobrej praworządności są akceptacja, podporządkowanie i wdrażanie zasad ideologicznych. Jeśli akceptujesz płynność płci, popierasz rozmywanie wszelkich tożsamości, z narodowymi i religijnymi na czele, jeśli uznajesz walkę ze zmianami klimatycznymi za rzecz świętą, możesz robić wszystko. Jesteś jak sekretarz lokalnej partii komunistycznej – nietykalny.

Szafeństwo ideologiczne zawsze ma jednak swoją cenę. I jest ona coraz wyraźniej, wręcz szokująco otwarcie, komunikowana.

Oto w tygodniku „Polityka” Rafał Kalukin stwierdza wprost: „Z ogłoszonego parę miesięcy temu przez Komisję Europejską pakietu Fit for 55 (czyli propozycji ograniczenia emisji CO₂ o 55 proc. do 2030 r.) wynika już dość jednoznacznie, że zielonej rewolucji nie sposób przeprowadzić bez obniżenia poziomu życia obywateli”.

Dokładnie tak – „obniżenia poziomu życia obywateli”.

Czy autor ma z tym jakiś problem? Tylko jeden: „Tymczasem rządy PiS jak do tej pory legitymizowała obietnica stałego ich pod-

noszenia, przynajmniej uboższym grupom. Tutaj pisowska logika interesu może osiągnąć swój kres”.

Bieda, którą narzucają nam współcześni komuniści, jako narzędzie walki z PiS? Ciekawie pomyślane.

Planowana po cichu redukcja poziomu życia ma być zapewne sprzężona z przymusową zmianą nawet najbardziej normalnych przyzwyczajeni i nawyków, także tych związanych z jedzeniem, a zidentyfikowanych jako niewłaściwe ideologicznie.

Posel do PE Sylwia Spurek, która od pewnego czasu walczy z wędkarstwem oraz jedzeniem mięsa i nabiału, ogłosiła właśnie zbliżający się koniec „kotleta i rosolu”. „PE przegłosował możliwość podwyższenia VAT na produkty niezdrowe i o dużym śladzie środowiskowym. Odsyłamy mięso i mleko do historii! Taką UE najbardziej lubię” – ogłosiła w internecie.

Trwają dyskusje, czy ów koniec rzeczywiście jest tak bliski, jak Spurek głosi, ale nie ma wątpliwości, że wiatry unijnej historii jej sprzyjają, że takie myślenie ma w Brukseli wielu zwolenników.

Dlatego to, co nas niepokoi, na przykład grożące milionom ubóstwo energetyczne jako główny skutek polityki klimatycznej, tam jest przyjmowane być może z radością.

Ślad tego myślenia odnajdujemy w reakcjach amerykańskiej lewicy medialnej na zjawisko pustych półek w wielu sklepach, wywołane kryzysem łańcucha dostaw.

Micheline Maynard, publicystka „Washington Post”, zaleca Amerykanom, żeby nie narzekali na braki w sklepach (a bywa, że brakuje papieru toaletowego), ale po prostu zmniejszyli swoje oczekiwania.

„Amerykańscy konsumenci, których oczekiwania były rozpieszczane i zaspokajane przez dziesięciolecia, nie są przyzwyczajeni do niedogodności” – stwierdza.

Inne głosy z lewej strony uderzają w podobne tony. Czy chodzi tylko o medialną ochronę nieudolnego Bidena? Chyba nie.

Czy my tego gdzieś już nie slyszeliśmy? Czy aby nie w PRL?

Tak.

Współczesna lewica – polska, europejska i amerykańska – już otwarcie zapowiada czas biedy i wyrzeczeń. Znowu, jak za komunizmu, w imię świetlanej przyszłości.

Przypomnijmy sobie kartki na wszystko w wielu okresach w PRL – nie zdziwiłbym się, gdybym za mojego życia zobaczył podobne, choć pewnie już elektroniczne, na osobiste zużycie CO₂. I logicznie, niepokornych też będą palowali.

Michał Karnowski




26

Ostatni skok Tuska
Stanisław Janecki


29

Z ppor. Anną Michalską
rozmawia Aleksandra Jakubowska


67

Z prof. Andrzejem Szczerskim
rozmawia Piotr Ślabeł

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ZŁAMANY KIEŁ**
Krzysztof Feusette
- 9 UDRĘKI BENEFICJENTKI 500+**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 NIEMCOM WOLNO WIĘCEJ?**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 SUROWOŚĆ I MIŁOSIERDZIE**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA GEN. ROMANA POLKI**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 TO TAKŻE NASZE DZIEDZICTWO**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 KRÓLOWA JEST NAGA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wiko

KRAJ

- 26 OSTATNI SKOK TUSKA**
Stanisław Janecki
- 29 Z PPOR. ANNĄ MICHALSKĄ**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 34 ŁUKASZENKA W PUŁAPCE MIGRACYJNEJ**
Marek Budzisz
- 36 Z ROBERTEM BĄKIEWICZEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
- 40 REWOLUCJA W SĄDOWNICTWIE**
Wojciech Biedroń
- 42 DZIECI PALIKOTA**
Jan Rokita
- 46 ROZBUDZONE ASPIRACJE**
Konrad Kołodziejcki
- 50 Z KS. MICHAŁEM OLSZEWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

HISTORIA

- 54 OFIARY OBLAWY AUGUSTOWSKIEJ MAJĄ SWÓJ DOM**
Teresa Kaczorowska

ŚWIAT

- 56 NOWY RYWAŁ VIKTORA ORBÁNA**
Grzegorz Górny

- 59 FRANCUSKI TRUMP**
Aleksandra Rybińska
- 62 WITAJCIE W ERZE UBÓSTWA ENERGETYCZNEGO**
Grzegorz Górny
- 64 POWRÓT NAJEMNIKÓW**
Marek Budzisz

SIECI KULTURY

- 67 Z PROF. ANDRZEJEM SZCZERSKIM**
rozmawia Piotr Ślabeł
- 72 KANADYJCZYK BRUCE LIU ZWYCIĘZCĄ KONKURSU CHOPINOWSKIEGO**
Adam Ciesielski
- 74 ZDEJMOWANIE MASEK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 76 ŚWIATŁO WIDZI**
Robert Tekieli
- 77 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 78 POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 80 Z PAWŁEM MAJEWSKIM**
rozmawia Maciej Wośko

KUCHNIA

- 106 MOJE SMAKI: BARTEK KIEŻUN**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 107 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 108 ZDERZENIE**
Wojciech Reszczyński
- 109 TWARDOWSKI WCIĄŻ AKTUALNY**
Aleksander Nalaskowski
- 110 TRANSUCZELNIE I TRANSPRAWDA**
Jan Pospieszalski
- 111 ŻYCIE WISIAŁO NA WŁOSKU?**
Jerzy Jachowicz
- 112 NA CELOWNIKU UE**
Ryszard Makowski
- 113 OPUS UZUPEŁNIAJĄCE**
Leszek Długosz
- 114 FAMILY BY DEFAULT**
Andrzej Zybortowicz

PEKAO ZDAŁNY BANK DLA FIRM!

Obsługa zdalna w Banku Pekao S.A.

pozwała przedsiębiorcom wygodnie i sprawnie zarządzać finansami firmy i relacjami z bankiem z każdego miejsca na świecie.

Digitalizacja usług obejmuje:

-  5 rodzajów podpisów elektronicznych honorowanych przez bank
-  zawieranie umów i aneksów oraz składanie dyspozycji i wniosków drogą elektroniczną
-  bardzo szeroki wachlarz produktów obsługiwanych zdalnie
-  bezpieczny i prosty w obsłudze system bankowości elektronicznej PekaoBiznes24



Sygnalista nadaje

🔊 **Jarosław Kaczyński** został zapytany, czy zgodziłby się na debatę z **Donaldem Tuskiem**. „W tej chwili tego rodzaju debata miałaby sens, gdyby Donald Tusk wezwał do tego, żeby zaniechać »ośmiu gwiazdek« czy brzydkich słów i powiedział, że »byliśmy w błędzie, trzeba wrócić do normalnych relacji w życiu publicznym«, które przecież nie były doskonałe, były dalekie od doskonałości, ale w Polsce po roku 1989 jakoś tam istniały. Gdyby do tego wezwał, gdyby powiedział »przepraszam«, bo ma za co przepraszać, to oczywiście tak”. Tak, taki ruch mógłby dać Polsce chwilę tak potrzebnego oddechu.

🔊 W odpowiedzi Tusk rzucił krótkie i niepoważne: „Przepraszam, Jarku. A teraz datę i miejsce debaty poproszę. Z góry dziękuję”. Nie ma w tym słowach śladu żalu, nie ma też żadnej deklaracji co do przyszłości. Jest złośliwość, jest kpina. W istocie to odrzucenie propozycji. Lider Platformy w 2005 r., po porażce ze śp. Lechem Kaczyńskim w wyborach prezydenckich, wybrał nienawiść i pozostaje temu wyborowi wierny.

🔊 W czasie debaty w Parlamencie Europejskim po wystąpieniu premiera Morawieckiego Tusk doczekał się licznych podziękowań, m.in. ze strony Manfreda Webera: „Setki tysięcy pokazały swoje twarze na ulicach Warszawy i nie tylko. Chcę podziękować Donaldowi Tuskowi za to, że nawoływał do tych demonstracji. To byli prawdziwi patrioci pod dumną polską flagą, ale również z barwami europejskimi. Patriotą nie musi być nacjonalistą. Jest przekonany Europejczykiem, jeśli

jest patriotą” – mówił szef frakcji EPL w PE. Patriotą niemiecki, rzeczywiście. W naszym przypadku to bardziej złożone.

🔊 Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen mówiła tak: „Ta debata pokazuje, jak poważna jest sytuacja. Jej sedno pokazuje, że TK państwa członkowskiego stawia pod znakiem zapytania przepisy traktatów. To trafia nas w samo serce. O tym debatujemy. TK przykładą siekierę do korzeni wartości UE – o to dziś chodzi, o tym debatujemy”. Kolejne kłamstwo. Żadna siekiera, co najwyżej kozik, i to nie przeciw Unii, ale w geście desperackiej samoobrony przed przemocą.

🔊 Polskę i polski rząd ostro zaatakowali europosłowie opozycji. Najuniższej wobec panów Europy zaprezentował się **Radostaw Sikorski**: „Serdecznie pani dziękuję za klarowne sformułowanie przestrogi dla rządu premiera Morawieckiego. Mam nadzieję, że usłuchają” – mówił pod adresem von der Leyen. I pytał: „Czy sędziowie w Polsce mają być tak niezależni, jak Trybunał Konstytucyjny mgr Przyłębskiej czy TVP Kurskiego?”. Co jak co, ale TK i TVP są o niebo bardziej niezależne od Niemiec niż Sikorski.

🔊 Szczególne wrażenie robił głos postkomunistów upominających się o wolność i demokrację. Marek Belka: „Nie ukrywam, że odczuwam wstyd, że kolejny raz przez działania rządu mówimy tu o Polsce”. Leszek Miller: „Rządzający myślą o unii pieniędzy, ale nie o wartości i nie o unii prawa. Myślą o unii, z którą trzeba walczyć, a nie

Posel
Nowej
Lewicy
Krzysztof
Gawkowski
chciał, by
posłowie
zaśpiewali
tzw. hymn Unii
Europejskiej, czyli
„Ode do radości”.
Marszałek Elżbieta
Witek wyłączyła
mikrofon, mówiąc: „Panie
posle, to jest sala plenarna.
Jak chce pan śpiewać, to
może na sali koncertowej”.
Ciekawsze było co innego:
żaden z posłów opozycji nie
sprawiał wrażenia, by znał
słowa. Słusznie, nie warto się
uczyć. Wieży Babel nie da się
zbudować.

współpracować”. Włodzimierz Cimoszewicz: „Dzisiaj zagrożeni utratą europejskich pieniędzy, bez których przegrają kolejne wybory, chcą dialogu i kompromisu. To jest fałsz. Żadnego kompromisu nie będzie”. Tak, z partią likwidacji państwa polskiego kompromisu być nie może.

Publicysta Stanisław Janecki podsumował rzecz tak: „Wyjątkowo obrzydliwe były pouczenia wobec rządu Mateusza Morawieckiego wypowiedziane przez »starych komuchów«. Było to szczególnie obrzydliwe, bo przecież 19 października przypada rocznica zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki”. Zareagował Dariusz Rosati: „Dzisiejsze kłamstwa Morawieckiego w PE to zaprzeczenie wszystkiego, o co walczył bł. J. Popiełuszko. To będzie haniebna karta w polskiej historii”. Rosati wygląda na gościa, który wymyślił sobie nowy życiorys, opanował pamięciowo i uwierzył. Stara, dobra radziecka szkoła.

O dobre imię Polski walczyli europosłowie Zjednoczonej Prawicy. **Patryk Jaki** mówił tak: „Chcecie przywrócić te marionetki, które zgadzają się na wszystko, co mówicie. Ale mój kraj jest niezależny i tylko Polacy mogą zdecydować, kto będzie rządził. Rousseau powiedział do Polaków, gdy Polska została zaatakowana z każdej strony: Nie idźcie za Europą w sposób ślepy, bo na końcu tej ścieżki są tylko pieniądze. Kochajcie wolność, bo jej zawsze broniliście”. Tak, to marionetki. Pacynki na sznureczkach.

Wspomniany Sikorski błysnął wybitnym chamstwem. Gdy Beata Kempa napisała: „Na siedzibie Generalnej Dyrekcji Lasów po raz pierwszy łopocze polska flaga! Lasy zawsze wierne Polsce – szczególnie teraz, gdy nasz kraj jest tak brutalnie atakowany”, platformerski „dyplomata” wdał się w ostrą dyskusję. Po słowach Kempy: „Herr Lord, na szczęście jest to wciąż flaga Polski!”, uderzył cepem: „Walnij się w zatłuszczony łeb”. Prawdziwy Dyżma.

Witold Waszczykowski, również europoseł, Sikorskiego radzi unikać: „Nie wchodzę w dyskusję z tym panem w żaden sposób. W PE mijamy się z daleka. Rozmowa z nim to jest jak zabawa granatem w szambie, w toalecie. To pan, który przed laty chciał walczyć z hejtem na TT, a okazuje się, że jest jedną z ikon hejtu w mediach społecznościowych. Powinien zniknąć z życia politycznego”. Powinien. Z bardzo wielu powodów.

Roman Giertych ma z kolei pretensje do Kościoła, a konkretnie do hierarchów kościel-

nych. „Milczeliście również, jak mnie zamykano, mimo że sędziowie, nawet propisowscy, wyrażali swoje oburzenie z powodu fałszywego oskarżenia. W moim domu wielu z was zasiadało. Jedliście u mnie posiłki i żaden się nie wypowiedział. Tchorzostwo? Oportunizm? Czy po prostu wspieranie rządzących?”. Nie, to co innego. To po prostu jasność spojrzenia i życiowe doświadczenie.

Sylvia Spurek wciąż walczy z normalnością. „Mamy to!! Wygląda na to, że PSL i reszta konserwatystów zaczyna przegrywać »wojnę o kotleta i rosół«. Wczoraj PE przegłosował możliwość podwyższenia VAT na produkty niezdrowe i o dużym śladzie środowiskowym. Odsyłamy mięso i mleko do historii! Taką UE najbardziej lubię”. Co z ludźmi, którzy najbardziej lubią schabowego i jajka sadzone na śniadanie?

Spurek podkreśla, że nie wystarczy niejedzenie mięsa: „Dopiero [później] zaczęłam krytycznie podchodzić do sprzedawanej mi propagandy. Wcześniej byłam wegetarianką i myślałam, że to wystarczy. No nie wystarczy, bo wegetarianizm to tylko półśrodek, ponieważ spożywanie nabiału i jaj jest czymś, czego ludzie po prostu będą się kiedyś wstydzić”. „Dajmy wszystkim żyć” – podkreśliła. Wciąż nie ma odpowiedzi, jak ona łączy tę wrażliwość z poparciem dla aborcji?

Opozycja rozpęda się także we wsparciu dla Łukaszenki. Internautka, była pracownica Agory: „Za polskie lasy śmierci członkowie polskiego rządu wylądają kiedyś przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. Wspomniacie moje słowa”. Paweł Wroński, dziennikarz „GW”: „Przypomnę, że Turcja w sprawie ludobójstwa Ormian w 1915 roku też twierdzi, że nie chcieli nic złego, ale była wojna, trzeba było Ormian wysiedlić, naród turecki ich popierał i te kolumny ludzi zaszły na pustynię...”. Tam jest chyba jakiś konkurs pt. „Kto bardziej opluje nasze państwo”. Konkurencja więcej niż ostra.

Posłanka KO Klaudia Jachira zaprezentowała w Sejmie własną wersję Roty: „Nie rzucim Unii, skąd nasz ród, praw kobiet ani mowy. Polskie my córki, polski lud, Rzepichy szczep piastowy. Nie damy, by nas zgłębił wróg! Tak nam dopomóż Tusk, tak nam dopomóż Lempart! Do krwi ostatniej kropli z żył bronić będziemy sądów. Aż się rozpadną w proch i w pył niesprawiedliwe wasze rządy! Twierdzą nam będzie każdy próg! Tak nam dopomóż Hołownia, tak nam dopomóż Biedroń!”. Jaka opozycja, takie rymy, i taki szacunek do narodowego dziedzictwa.



Złamany Kieł



KRZYSZTOF FEUSETTE

Guten morgen. Szprechen zi dojcz?

Butem w co? A, już rozumiem... Is szprechen, jawohl.

Co tam się u was dzieje?

U nas? No, u nas, to chyba dobrze. To znaczy, szkoda, że Angela przegrała, ale zaraz będziemy mieć nowego kanclerza, z którym ja osobiście wiąże...

Nie u nas, tylko u was! Was ist das „nas”?

„nas”, skoro my nie możemy na was liczyć?

Jak to? Przecież wróciłem, tak jak było powiedziane.

A potem wygram wybory.

Na kogo? Radny w Zoppot?

Na premiera!

Jaka znowu premiera? Wy nic tylko robicie jakiś teatr, a polityka to nie cyrk! Wy macie świadomość, jaka jest stawka?

Stawka jest większa niż życie, przecież wiem. Tylko ten cholerny elektorat...

A od kiedy wy się elektoratem przejmujecie? Macie Onet, Wirtualną Polskę, „Gazetę Wyborczą”, „Rzeczpospolitą”, „Politykę”, „Newsweek”, „Fakt”, TVN, TVN24, Radio Zet, Tok FM i ich odbiorców, a wy się elektoratem zaslaniacie? Wy powinniście myśleć uber alles o tych, którzy wam dali drugą kadencja na krolla Rada Europejska! Bo to nie była polnisze elektorat, tylko dojcz! A teraz ten dojcz elektorat w 80 proc. uważa, że Polska nie należą się unijna fundusze. Fersztejen?

Ja? Oczywiście, że ja. Tylko że z kolei w Polska, to znaczy w Polsce, 78 proc. ludzi uważa, że to konstytucja jest najwyższym prawem. A 64 proc. cieszy się z bycia w Unii. No, przecież to jest paranoja!

Nie, to jest normalne. W Dojczland, Italia czy Hiszpania, gdzie są wysokie kultury demokracji, a dyktatura nigdy nikomu się nie śniła. Ale nie w Polska!

To samo mówię. To by była jakaś nienormalność...

Nie „by była”, tylko już jest. I wy tę nienormalność, ten polski nacjonalizm musicie ostatecznie rozwiązać. Krótko szprechen, trzeba tę całą polskość po prostu... czekajcie, bo muszę do słownika... O, jest: „o-kieł-znać”. I ten „kieł” jest tu najważniejszy! Wiecie, jak jest „kieł” po naszymu? A więc niniejszym nadajemy wam, w podziękowaniu za protesty w liczbie 25 tys. osób, tytuł „Złamanego Kł”. Zbierzcie 100 tys., to będzie złoty. Albo nawet żelazny.

Przecież ja opilowuję, to znaczy, okiełznowywuję! To znaczy okiełznam. Zaraz po wyborach. Narazie robię ordnung w partii. **Bardzo dobrze. Obecnie jest czas, że wszystkie hende hoch, to znaczy wszystkie hende na pokład! A teraz najważniejsze...**

Jawohl. Spieszę donieść, że jeśli chodzi o wybory na szefa Platformy Obywatelskiej, to...

Nas wybory nie obchodzą. Nas obchodzi wasza granica. Moja?

Jaka wasza? Przecież wy żadnych granic nie znacie ani żadnych barier nie macie. Chodzi o polsko-białoruską. Czy wy nie jesteście za tym murem?

Ja za murem? No, jeszcze nie. Ja sam jestem murem. Za Europą. I za waszym przywództwem...

Spocznij. Pytamy o zaporę przed imigrantami.

Ja... To znaczy myśmy... Nie pamiętam teraz, ale w głosowaniu chyba byliśmy... Za?

Przeciw. To ja was informuję, że to nie jest jakaś eine kleine granica polska, bo tą możecie się od wschodu nie interesować, ale to jest granica cała Unia Europejska! A te osoby, które wasze pożyteczne idioten Łukaszenki nazywają „uchodźcami”, chcą trafić do nas! A my mówimy: najn! Bo jest ich coraz więcej!

A wiecie przez kogo?!

Przez Kaczyńskiego?

Nie! Przez wasza bieganie po granicy! Złapaliście tego kretinen?

Nie. To znaczy tak. Brzęczyszczyszkiewicz. To znaczy Sterczewski. Pisowiec.

Na granicy?!

To znaczy mentalny. W każdym razie nikt z Platformy. Może z Koalicji Obywatelskiej, nie wiem.

Już umywacie ręce? Wy tam macie arbeit do zrobienia!

Jawohl, ja wiem. Tylko jak, kiedy frau Merkel w tym samym czasie mówi, że z rządem w Warszawie trzeba rozmawiać.

Ze złem się nie rozmawia, ze złem się walczy!

Ja, ja, walczyć. Ale wcześniej powiedzcie, jak wy chcecie ta wybory wygrać, jak wy ciągle obrażacie tych wyborców, o których chcecie walczyć?

Czyli, co? Zmienić strategię?

Wy to nazywacie strategią, że postawicie celebrytów na scenie i oni będą o sedesach w Brukseli opowiadać? Osiem gwiazdek i polexit? A macie w ogóle coś pozytywnego?

No, mamy. Tych chłopaków, którzy mi się oddali, powiedzmy, do dyspozycji.

Mają. Lepiej bierzcie się do roboty, bo zamiast polexitu, w końcu wam PO-exit wyjdzie. Już raz musieliście do Belgii uciekać przed wdzięcznością rodaków. Pamiętajcie, o co ten wasz Sikorski nas prosił? Żebyśmy przejęli przywództwo w całej Unii! I co?

Pamiętam. Czuję to na barkach. Ale udźwignę, naturliś, że udźwignę. To znaczy o-kieł-znam. To co, żółwika na zgodę?

Przez telefon? Was totalnie pogięło? Bez odbioru...

To może na wideoczacie albo przez skajpa, co? Bo chciałem jeszcze zapytać, czy mogę do Brukseli polecić, żeby tam się chwilę po budynku pokręcić?

Abonent czasowo niedostępna... abonent czasowo niedostępna...

To ja polecę. Fjur Dojcznald! To znaczy Dojczland. Halo? Znowu coś przerywa... Halo?! No i nawet „auwiedezejn” nie powiedziałem...

Udręki beneficjentki 500+

Droga pani Agnieszko, przecież nikt pani nie obiecał, że rząd pokryje wszystkie koszty życia, jakie pani ponosi!

Portal Onet.pl po raz kolejny postanowił skrytykować rząd za program 500+. Tym razem nie za to, że rozleniwia albo że rodzice nie będą umieli wydać tych pieniędzy w odpowiedni sposób. Mamy nową narrację. Okazało się, że rząd daje za mało.

By udowodnić tę tezę, portal opublikował list nadesłany do redakcji przez czytelniczkę, panią Agnieszkę, która jest beneficjentką programu 500+. Kobieta narzeka, że pieniądze, które dostaje od państwa, wcale nie poprawiają sytuacji finansowej jej rodziny. „Świadczenie Rodzina 500+ miało zachęcić do rodzenia dzieci i być wsparciem finansowym dla rodziców. W rzeczywistości jednak dodatkowe pieniądze wcale nie spełniają swojej roli. Nie tylko nie zachęcają Polaków do powiększania rodziny, ale nawet nie pomagają w pokryciu podstawowych kosztów życia” – narzeka niezadowolona czytelniczka portalu. Pewnie pani Agnieszko żyłoby się zdecydowanie lepiej, gdyby nie miała żadnego wsparcia. Wtedy byłoby ją z pewnością stać na wszystko. A już całkiem szczęśliwa byłaby, gdyby rządziła inna ekipa niż ta, która rodzicom dała tak mało.

Nim rozszerzono program 500+ na pierwsze dziecko, krytycy rządu podnosili larum, że rząd dyskryminuje pierwsze dzieci oraz że to niesprawiedliwe wobec rodziców jedynaków, że wsparcie jest przyznawane dopiero od drugiego dziecka. Jednak teraz okazuje się, że apelowanie o rozszerzenie programu zrobiło krzywdę wszystkim rodzicom, którzy nabyli prawa do świadczenia. Przynajmniej zdaniem cytowanej przez Onet.pl pani Agnieszki. „Odkąd wprowadzono świadczenie 500+, na rodziców patrzy się trochę krzywo. A kiedy zlikwidowano kryterium dochodowe, to już w ogóle mamy przerąbane. Ile ja się epitetów na ten temat nasłuchałam. Że cwaniaki i darmozjady, którym państwo daje pieniądze za darmo. Po pierwsze, to nie za darmo, bo urodzenie i wychowywanie dziecka to praca i nie robimy tego tylko dla siebie. A po drugie, to 500 zł na dziecko to tylko kropla w morzu potrzeb przy aktualnych kosztach życia” – ubolewa czytelniczka portalu.

Za tę rzekomą niechęć pani Agnieszka powinna podziękować

liberalno-lewicowym mediom, jak Onet.pl, które bez skrupułów robiły z wielodzietnych rodziców pijaków i patologię, która nie poradzi sobie z wydaniem pieniędzy, czy celebrytom, którzy utyskiwali na przeskadzające im tłumy z dziećmi nad morzem, nie zważając na to, że niektóre dzieci pojechały na wakacje po raz pierwszy właśnie m.in. dzięki wsparciu z prorodzinnego programu.

Na co jeszcze skarży się pani Agnieszka? „Wystarczy dwa razy zrobić większe zakupy spożywcze dla całej rodziny i już nie ma pięciu stówek. Takie są teraz ceny. Wszystko drożeje. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy wzrosły mi opłaty za mieszkanie i przedszkole. Dwa, trzy lata temu 500+ to faktycznie był dodatkowy zastrzyk gotówki, który pozwalał lepiej żyć. Ale teraz te pieniądze niewiele pomagają. Nie widzę również sensu odkładania tej kwoty na przyszłość dziecka. Oprocentowanie na rachunkach oszczędnościowych jest tak niskie, że trzymane tam pieniądze tylko tracą na wartości. Nie odczuwam, żebym była bogatsza ani żeby mój poziom życia dzięki 500+ się podniósł. Może jedynie nie spada on tak szybko na leb na szyję, tylko stopniowo. I to nie jest wcale powód do radości. Zaraz ktoś powie: nie pasuje, to nie bierz. Nie o to chodzi. Problem w tym, że państwo twierdzi, że pomaga, a wcale tego nie robi. Ludzie myślą, że my, rodzice, mamy kokosy dzięki 500+ i jeszcze zarabiamy na posiadaniu dzieci. To absurd i bzdura. Pięć stówek na dziecko to jest nic. Wychodzi niecałe 17 zł dziennie. Na co to niby ma starczyć?”.

Droga pani Agnieszko, przecież nikt pani nie obiecał, że rząd pokryje wszystkie koszty życia, jakie pani ponosi! Ale powiem pani, na co te pieniądze starczą rodzinom wielodzietnym. Na dodatkowe zajęcia dla dzieci, np. angielski, basen lub naukę gry na fortepianie. To pomaga wyrównywać szanse na starcie. Wystarcza także na nowe buty czy kurtkę. Powiem pani więcej, wielu rodzicom wystarcza, żeby odłożyć na wakacje i wyjechać wspólnie, choćby na tydzień. Ale nie wiem, czy to dotrze do osoby tak udręczonej rządowym wsparciem.

Zawsze może pani zagłosować na tych, którzy chcieliby program zlikwidować i problem zniknie. Przynajmniej nikt już nie będzie się z pani śmiał na ulicy. 

Dorota Losiewicz



Jak się okazuje, nie tylko Unia Europejska jest celem gazowego szantażu ze strony Rosji. Moskwa wywiera bowiem nacisk również na swoich najbliższych sojuszników, o czym niedawno przekonała się Serbia, której Rosja zaproponowała trzykrotnie wyższe ceny dostarczanego gazu.

W tej chwili Serbia negocjuje z Rosją nowy długoterminowy kontrakt na dostawy gazu. Do tej pory Serbowie płacili Gazpromowi jedną z najniższych stawek w Europie, wynoszącą 270 dol. za 1 tys. m sześć. gazu. Teraz jednak rosyjski koncern zażądał od Serbów aż 790 dol. za gaz, co – jak przyznały władze w Belgradzie – może doprowadzić uzależnioną od rosyjskiego gazu gospodarkę serbską do katastrofy. „Kto za to zapłaci? Kto ma takie pieniądze?” – lamentował na antenie telewizji Prva prezydent Serbii Aleksandar Vučić.

Problem w tym, że Serbowie całkiem świadomie oparli swoją politykę, w tym także bezpieczeństwo energetyczne, na współpracy z Rosją. Gazprom jest właściwie monopolistą na silnie zgazyfikowanym rynku serbskim, dostarczając tu – według różnych szacunków – od 80 do 100 proc. surowca. Co więcej, rosyjski koncern jest większościowym udziałowcem serbskich rurociągów.

Początkowo rosyjski gaz docierał do Serbii m.in. przez terytorium Ukrainy. Gdy stosunki rosyjsko-ukraińskie weszły w wojenną fazę, Belgrad bez zastrzeżeń przyjął argumentację Moskwy, że tranzyt ukraiński nie gwarantuje bezpieczeństwa dostaw i poparł budowę alternatywnego szlaku omijającego Ukrainę pod dnem Morza Czarnego. Jak wówczas tłumaczono w Belgradzie, zależność od dostaw rosyjskiego gazu wymusza na Serbii konieczność poszukiwania nowych bezpieczniejszych szlaków z Rosji. Takim szlakiem okazał się Turk Stream,

Gazowy hold

podmorski gazociąg z Rosji do Turcji, którego północna odnoga pompuje gaz przez Bułgarię do Serbii i – od niedawna – dalej na Węgry i do Austrii. Dzięki temu Ukraina została kompletnie wyłączona z tranzytu na Balkany, a Rosjanie umocnili swoją pozycję na tutejszym rynku. Nic więc dziwnego, że zaczęli korzystać ze swojej przewagi.

Do przedłużenia kontraktu na dostawy gazu na drakońskich warunkach, po 790 dol. za 1 tys. m sześć., została już zmuszona Moldawia. Jednak w przypadku Moldawii można uznać to za rodzaj kary, jaką ponosi ten kraj za zbyt prozachodnią politykę. Serbia takich ambicji nie zdradza, wręcz przeciwnie, władze w Belgradzie nieustannie zapewniają Moskwę o swojej lojalności. Prawdopodobnie więc wysoka cena gazu zostanie ostatecznie Serbom nieco obniżona, jak się sądzi, dojdzie do tego podczas zaplanowanej na listopad wizyty Vučića w Moskwie. Nic jednak nie jest za darmo, więc z pewnością prezydent Serbii będzie musiał złożyć na Kremlu kolejny, jeszcze większy hold.

**Konrad
Kolodziejski**



Niedawno Sąd Najwyższy Norwegii wydał wyrok stwierdzający, że dwie farmy wiatrowe na półwyspie Fosen, dysponujące łącznie 151 turbinami, muszą zostać zlikwidowane. Decyzja ta dla części ekologów w krainie fiordów jest nie do przyjęcia, ponieważ uruchomione w latach 2018–2020 przedsięwzięcie stanowiło szczytowy projekt zwolenników ochrony środowiska. Fosen Vind to kompleks energetyczny o mocy 1 GW, co sprawia, że jest on drugą co do wydajności lądową farmą wiatraków w Europie. Projekt przedstawiany był jako udany przykład zielonej transformacji, wykorzystujący odnawialne źródła energii i znakomicie wpisujący się w koncepcję europejskiego Green Dealu.

Wiatraki zostały uznane jednak przez Sąd Najwyższy za nielegalne na skutek protestów innej części ekologów. Zarzucili oni władzom Fosen Vind, że farma grozi zniszczeniem tradycyjnej hodowli

Wiatraki kontra renifery



reniferów lapońskich, którą zajmuje się mieszkający na północy Norwegii lud Samów. Ich zdaniem głośno pracujące turbiny powodują poważne szkody dla zdrowia i nawyków wspomnianych zwierząt.

Adwokaci pasterzy nie odwołali się jednak do argumentów stricte ekologicznych. Powołali się na Międzynarodowy pakt praw obywatelskich i politycznych

z 1966 r. Artykuł 27 tego oenietowskiego dokumentu stanowi: „W państwach, w których istnieją mniejszości etniczne, religijne lub językowe, osoby należące do tych mniejszości nie mogą być pozbawione prawa do własnego życia kulturalnego, wyznawania i praktykowania własnej religii oraz posługiwania się własnym językiem wraz z innymi członkami danej grupy”.

Sędziowie Sądu Najwyższego przychyliłi się do tych argumentów i uznali, że tradycyjna hodowla reniferów lapońskich jest formą chronionej praktyki kulturowej. Przyznali, że działalność wiatraków na półwyspie Fosen jest zamachem na wartości, których państwo powinno strzec, w związku z czym nakazali likwidację farmy. Czy norweski precedens sprawi, że sytuacja może się powtórzyć w innych krajach Europy będących także sygnatariuszami wspomnianego paktu?

Grzegorz Górny

Kino w kosmosie

Z kosmicznej wyprawy powróciła rosyjska ekipa filmowa – aktorka Julia Peresild i reżyser Klim Szypienko. Powodem ich gwiazdnej ekspedycji, która trwała niemal dwa tygodnie, były zdjęcia do filmu „Wezwanie”, który opowiada o próbie ratowania kosmonauty rannego w wyniku zderzenia jego stacji z „kosmicznym śmieciem” krążącym na orbicie. Jak relacjonował Szypienko, nakręcono ok. 30 godzin materiału zdjęciowego, z którego po montażu zostanie 20–25 minut filmu, oraz że Julia Peresild uczy się właśnie chodzić po kilkunastodniowym przebywaniu w stanie nieważkości. Jednak dziennikarze nie dowiedzieli się, dlaczego władze Roskosmosu, rosyjskiej agencji odpowiadającej za program kosmiczny, na której czele stoi były wicepremier Dmitrij Rogozin, zdecydowały się na zorganizowanie drogiej wyprawy kosmicznej tylko po to, aby na orbicie nakręcić film.

Krytycy eskapady podkreślali, że filmowa intryga nie ma żadnego związku z rzeczywistością i z równym powodzeniem można ją było zainscenizować w studiu. Co więcej, po to, aby nakręcić „kosmiczny film”, zdecydowano się na zaburzenie całego zaplanowanego grafiku rosyjskich lotów kosmicznych. Kosmonauta Giennadij Padalka, który jest rekordzistą, jeśli chodzi o długość przebywania na orbicie (878 dni), powiedział, że tego rodzaju przedsięwzięcie ośmiesza rosyjską kosmonautykę. „My, profesjonalści, poświęcamy swoje życie, zdrowie i lata na przygotowania – oburzał się – i nagle, za jednym pstryknięciem palców, po prostu wyrzucają profesjonalistów, a zamiast nich wysyłają aktorów”. Za krytykę filmowego przedsięwzięcia z Roskosmosu zwolniono dyrektora wykonawczego tej instytucji, kosmonautę Siergieja Krikaliewa, który zarzucił władzom agencji marnotrawstwo. Dopiero interwencja z góry, jak piszą rosyjskie gazety, spowodowała, że kosmonauta powrócił do pracy.

Zdaniem rosyjskich komentatorów mieliśmy do czynienia z niezwykle kosztowną akcją piarowską. Rosjanie chcieli uprzedzić zamierzenia NASA i SpaceX, które ogłosiły, że wyślą na orbitę aktora Toma Cruise’a i reżysera Douga Limana, aby nakręcili w kosmosie film. Pod koniec roku Roskosmos chce wysłać też na orbitę prywatnych turystów, w tym japońskiego multimilionera Yusaku Maezawę.

Latem tego roku Dmitrij Rogozin zwrócił się do rosyjskich oligarchów, aby ci zamiast zakupu nowych jachtów, odrzutowców i posiadłości na Lazurowym Wybrzeżu zdecydowali się na prywatny lot w kosmos. Będą pionierami i przy okazji wspomogą finansowo rosyjski program kosmiczny, który po sukcesach Elona Muska zaczął mieć problemy, bo NASA ograniczyła wynajmowanie rosyjskich rakiet. Ponieważ reklama jest dźwignią handlu, a Roskosmosowi i Rogozinowi zależy na rozgłosie, w kosmos polecieci aktorzy, a profesjonalści muszą poczekać na swoją kolej.

Marek Budzisz

Rosja



Imigranci ratują przyrost

Wielka Brytania

Dzietność w Wielkiej Brytanii spadła w 2020 r. aż o 4,2 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem. Oznacza to, że został pobity dotychczasowy niechlubny rekord sprzed 20 lat.

Aby utrzymać poziom dzietności, wskaźnik reprodukcji powinien przekraczać 2. Tymczasem według danych brytyjskiego urzędu statystycznego ONS na jedną Brytyjkę przypada dziś 1,5 dziecka. W środowiskach imigrantów jest lepiej, bo wskaźnik wzrasta do 1,98 dziecka. Najwięcej dzieci rodzi się w diasporach Pakistańczyków i Rumunów.

The British Pregnancy Advisory Service (BPAS) wskazuje, że główną przyczyną spadającej dzietności jest niepewność finansowa wpływająca zarówno na brak decyzji o potomstwie, jak i na rosnącą liczbę aborcji. Kobiety coraz częściej odkładają decyzję o ciąży na później, co ze względów biologicznych negatywnie się przekłada na liczbę posiadanego potomstwa.

Kolejną kwestią jest rosnący strach przed zmianami klimatycznymi i apokaliptyczną przyszłością, jaka rysuje się w przewidywaniach wielu ideologów i polityków. Według badań Uniwersytetu Stanforda aż 41 proc. ankietowanych w wieku 16–25 lat uzależnia decyzję o posiadaniu potomstwa od zmian klimatycznych. Sześć na dziesięć badanych osób (grupa 1 tys. młodych ludzi) uważa, że ludzkość jest „zgubiona” i nie ma sensu sprowadzać na świat więcej dzieci.

Pomimo tych niepokojących sygnałów brytyjski rząd nie pomaga w polityce prorodzinnej. Zdaniem portalu Breitbart system podatkowy jest tak skonstruowany, że bardziej opłaca się rozliczać osobno niż wspólnie. To nie sprzyja zakładaniu rodziny, co zresztą jest na rękę wielu ideologom, którzy przekonują, że zmniejszenie populacji jest dobre dla środowiska. Czy przekonają do tego nieobawiających się potomstwa imigrantów z Pakistanu?

Łukasz Adamski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Niemcom wolno więcej?

Trzeba przyznać, proszę państwa, że nasz premier w europarlamencie palnął mowę jak się patrzy. Miło było słuchać. Dobitnie, konkretnie, precyzyjnie ocenił poczynania komitetu brukselskiego w kwestiach konstytucyjnych. Nie krygując się, nie szalejąc retorycznie, wyłożył polskie stanowisko na ten temat. Dodajmy, stanowisko rozumne, dobrze służące Polsce i Unii. Natomiast co wygadywali totalni opozycjoniści, trudno pojąć, mieszkając w tym samym kraju w tym samym czasie. Oni żyją w jakiejś sfingowanej przez Tuska rzeczywistości, z której jak matrioszki jedna za drugą wyskakują, by wyrzucać z siebie podłe lgarstwa na użytek finansowych sponsorów. Sponsorzy, jak wiadomo, potrafią liczyć i są wymagający.

Prawie nikt z wielu dyskutantów nie potrafił się odnieść do konkretów poruszonych przez naszego premiera. Nikt z władz Unii nie odważył się na rzeczową polemikę z Morawieckim. Usłyszeliśmy jedynie kaskadę frazesów w stylu tuskowego planktonu, a także połajanki i groźby ze strony głównego komisarza/komisarki Leyen, co samo w sobie jest



**Jan
Pietrzak**

obciachem. Od osoby na tym stanowisku należy wymagać pewnej rzetelności w szafowaniu słowami. Okazało się, że w stosunku do Polski żadna sprawiedliwość dziejowa ani traktatowa nie obowiązuje. Niepisana główna zasada traktatu lizbońskiego brzmi: „Niemcom wolno więcej”.

Tego rodzaju niepisanych, bezprawnych zasad niebezpiecznie z roku na rok przybywa. Czyżby to były „błędy i wypaczenia”, z którymi mieliśmy do czynienia w dawno minionym ustroju? Prawdziwe kłopoty zaczną się, kiedy komisarze dobiorą się do spraw gospodarczych i finansowych. Pozwolę sobie przypomnieć, bo już wtedy dokazywałem na tym świecie, że plan Marshalla był nagrodą Roosevelta i Churchilla dla przegranych Niemców za to, że zamordowali 6 mln Polaków, zrujnowali i rozkradli nam kraj. Po kilkunastu latach, kiedy Polska wygrzebuje się z sowieckiego łagru i jego sądownictwa, ci sami Niemcy limitują nam wypłaty z kasy „wspólnej” Unii, żebyśmy się nadmiernie nie wzbogacili. Takie paradoksy nam towarzyszą... w rytmie „Ody do radości”.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Drastyczne i nieprzyzwoite

Pytanie stare jak świat. Co jest dozwolone w przestrzeni publicznej? Czy na ścianie jaskini wolno narysować ludzi rzucających kamieniami w mamuta, czy może (jak chcą niektórzy) politycznie poprawny byłby dinozaur? Gdzie są granice wolności słowa i ekspresji poglądów? Czy promowanie na billboardach organizacji wzywającej do swobody aborcji jest mniej szkodliwe niż afisze tej aborcji się sprzeciwiające, umieszczone na samochodzie? Czy zwolennicy i przeciwnicy tezy, że związki osób LGBT są normalne i powinny być zrównane z małżeństwami, mają takie same prawo do wyrażania swojej opinii?

Współczesne społeczności, nieustannie podduszane przez szantaż politycznej poprawności, konsekwentnie ograniczają wolność słowa, ale tylko dla jednej ze stron cywilizacyjnej debaty. Przyjrzyjmy się sytuacji w mieście bliskim mojemu sercu, w Łodzi, gdzie w połowie września rada miasta (idąc w ślad decyzji rad stołecznej i krakowskiej) zakazała poruszania się po ulicach samochodom z afiszami antyaborcyjnymi i z hasłami sprzeciwiającymi się promowaniu ideologii LGBT (przeciwnicy nazywają je „płodobusami” i „homofobusami”). Łódzcy rajcy stwierdzili, że celem jest uniknięcie promowania treści



**Dominik
Zdort**

„drastycznych i nieprzyzwoitych” i niedopuszczenie do powtórzenia się gorszących ekscesów, gdy lewaccy działacze zatrzymywali na ulicach owe pojazdy.

Mechanizm takich działań jest prosty. Wystarczy się umówić z radykałami, aby stwierdzili, że coś jest dla nich drastyczne i urządzili parę ulicznych awantur, a potem tego czegoś zakazać. To tak jakby rada miasta zabroniła sprzedawania lodów pewnej firmy dlatego, że ktoś zniszczył reklamujące je plakaty, uznając je za nieprzyzwoite (wiadomo, o którą firmę chodzi, i wiadomo, w promocję jakich nieobyczajnych poglądów się angażuje). No bo kto ma oceniać, co jest drastyczne i nieprzyzwoite? Ów oburzony obywatel? Może strażnik miejski? Czy prezydent miasta? Czy czerwona błyskawica wpisana w wizerunek Najświętszej Marii Panny jest już nieprzyzwoita? A co z hasłem „Stop ideologii LGBT”? Przyzwoite czy nie?

Sprawa jest aktualna, bo wojewoda uchwałę łódzkich rajców unieważnił (nazywając ją „cenzurą”), a rada miasta w minioną środę zdecydowała, że jego decyzję zaskarży do sądu. Wyrok będzie ważny, bo pokaże, jak bardzo można ograniczyć wolność słowa w imię ideologicznych przesądów.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Surowość i miłosierdzie



Podstawowym argumentem, którym współczesny człowiek uzasadnia swoje odejście od religii, a zwłaszcza chrześcijaństwa, jest cierpienie, na które bez względu na rozwój cywilizacji jesteśmy w swojej egzystencji skazani. Jakże pogodzić można wszechmoc i dobroć Boga z bólem i męką, którą wypełniony jest świat? – zapytują nasi rówieśni. Odpowiedzieć na to pytanie usiłuje Paul K. Moser, filozof i teolog amerykański, w książce „Surowość Boga” wydanej właśnie przez PIW. W utworze o podtytule: „Religia i filozofia na nowo przemyślane”, stanowiącym aluzję do tego sposobu anonsowania dzieł oświecenia, wobec którego autor ustawia się w opozycji, dowodzi, że wbrew współczesnym obiegowym sądom surowość może być inną twarzą miłosierdzia. „Surowy Bóg nie poświęciłby dobra ludzkiej duszy dla zachowania komfortu ludzkiego ciała”.

Teodycea to próba integracji dobroci wszechmocnego Boga oraz zła świata, co na pozór wydaje się niemożliwe. Popularnie określa się ją jako „usprawiedliwienie Boga”. Pojęcie to stworzył Gottfried Leibniz w dziele „Teodycea o dobroci Boga, wolności człowieka i pochodzeniu zła”, ale sam problem trapił filozofię od samego początku jej istnienia.

Moser odrzuca teodyceę, gdyż przyjęcie jej oznaczałoby, że rozpoznaliśmy myśl Boga, a więc dorównaliśmy Mu, co dla stworzonego przez Niego śmiertelnego i ograniczonego człowieka jest po prostu niemożliwe. Nie znaczy to, że o Bogu nie powinniśmy medytować i podążać za Nim. Gdyż określenie „Bóg” Moser traktuje nie jako imię, ale jako tytuł najwyższej doskonałości osobowej, co zresztą raz jeszcze podkreśla przepaść dzielącą od Niego człowieka i tajemnicę z Nim związaną. Po to, aby podążać za nieskończeniem przerastającym nas Bogiem, musimy przyjąć Jego warunki, co nie neguje, ale podkreśla wolność woli, którą od Niego otrzymaliśmy. Dając nam wolność, pozwolił On nam na Jego odrzucenie, ale ofiarował także możliwość Jego przyjęcia. Dając wolność, stworzył perspektywę doskonalenia się albo degradacji.

Centralnym fragmentem Ewangelii jest dla Mosera modlitwa Jezusa w Ogrójcu. Chrystus prosi Ojca, aby „zabrał ten kielich” (czyli mękę i śmierć) od Niego, ale „nie to, co ja chcę, ale to, co Ty, niech się stanie”.

„Z powodu naszej pychy i egoizmu wolimy nie podążać ku Bogu drogą nawrócenia i uległości. To ja chcę w Ogrójcu doradzać Bogu: moja wola nich się stanie nie

Twoja. To odwraca wzór z Getsemani oferowany nam przez Jezusa Chrystusa o sto osiemdziesiąt stopni. Bóg jednak nie będzie pionkiem w ludzkich rękach i nigdy nie podważy ani nie zniszczy tego, czego człowiek naprawdę potrzebuje, to jest obecności doskonale moralnego odkupiciela i przyjaciela. Całkiem prawdopodobne wydaje się zatem, że celem Boga, który kryje się za surowością wielu trudów, których doświadczamy, jest zachęcenie nas do szczerzej współpracy z Bogiem w Ogrójcu [...] Żaden program intelektualnego czy też innego rodzaju wsparcia, którego człowiek sam sobie udziela, nie zastąpi tego, co może zaofiarować kontekst Ogrójca: obecności Boga jako naprawczego wyzwania dla ludzi, których sumienie jest otwarte na Boga. Oczywiście, Jego obecność może być zapośredniczona w doświadczeniu człowieka, co ani nie podważy, ani nie wyklucza Jego realnej obecności w tym doświadczeniu. Zapośredniczenie Bożej obecności nie oznacza Jego nierealności. W przeciwnym razie powinniśmy także wątpić w realność innych osób”.

Domagamy się niekwestionowalnego dowodu istnienia Boga i ostatecznego potwierdzenia Jego przykazań, nie zdając sobie sprawy, że spełnienie takich oczekiwań byłoby odebraniem człowiekowi wolności woli i możliwości trudnej drogi doskonalenia się. Dlatego Moser jest przeciwnikiem teologii naturalnej tudzież wszelkich dowodów istnienia Boga. „Chociaż Boże wybawienie może jawić się jako twarde i wymagające, czemu winne są przeciwne Bogu ludzkie skłonności, to prowadzi nas ono do moralnej odnowy w pełnej czci przyjaźni z Bogiem [...] Argument św. Pawła za zbawieniem przez Bożą »łaskę« wymaga od ludzi aktywności, a nawet twardości i surowości do osiągnięcia zbawienia”.

Samodzielnie człowiek nie posiada wystarczającej siły, aby osiągnąć zbawienie. Ale otwarcie się na Boga i współpraca z Nim prowadzi go w tym kierunku. „Słowa apostoła o »trzymaniu się własnej drogi usprawiedliwienia« winny być rozumiane jako odnoszące się do ludzkich dążeń do zbudowania własnej pozycji przed Bogiem bądź zasłużenia przez swoje uczynki na pochwałę ze strony Boga. Św. Paweł uważa te dążenia za klęskę człowieka, ponieważ lekceważy one życiodajną łaskę Boga i Boże usprawiedliwienie”.

Nasza ziemská droga to próba i wyzwanie, czego nie potrafi zrozumieć współczesny człowiek.



Walizka gen. Romana Polki

dwukrotnego dowódcy GROM-u

Moje podróże w okresie dorastania to szalone wyjazdy z przyjaciółmi pod namiot i dopiero w docelowym miejscu zastanawianie się, jak przeżyć z tym, co mamy. Poza terytorium Polski pierwszy raz wyjechałem w 1992 r., na blisko dwa lata, do ogarniętej wojną Jugosławii. Kolejne podróże były podobne, a na zwykłe rodzinne wypadki po prostu brakowało czasu. Nie bardzo chcę opowiadać o tym, co wtedy pakowałem, ale najogólniej mówiąc, było to wyposażenie wojskowe.

Dopiero po odejściu z GROM-u mogłem sobie pozwolić na luksus planowania rodzinnych wyjazdów. Zwykle jest to turystyka biegowa, polegająca na tym, że wspólnie z żoną Pauliną zastanawiamy się, jakie miejsce chcemy odwiedzić i gdzie w pobliżu organizowany jest jakiś maraton.

NÓŻ

Przysłany przez niemieckich celników po tym, jak dwa lata wcześniej przed lotem omyłkowo zapomniałem przełożyć nóż z bagażu podręcznego do głównego. Z tego miejsca chciałbym podziękować urzędnikom za ten gest.



PŁETWY

Mam różne pletwy. Te są krótkie, treningowe, raczej do triathlonu. Dzięki nim pływa się bez użycia rąk i ćwiczy same nogi. Do pływania w oceanie, gdzie są silne pływy, zakładam długie pletwy ze sprężynowym zapięciem, które dają dobrego kopa.



MARATONY

Ideą biegania zaraził mnie Jarek, żołnierz GROM-u, który brał udział w reaktywacji Maratonu Warszawskiego. Teraz na swoim koncie mam ponad 50 maratonów i ultramaratonów.



KASK

Na rolki. Trzeba się zabezpieczać. Parę upadków, zwłaszcza na początku, mi się zdarzyło, stąd dużo pokory do grawitacji i wystających płyt chodnikowych.



ROLKI

Gram w Hokejowej Reprezentacji Artystów Polskich, a to zobowiązuje. Trzeba się doskonalić. W tych rolkach zaliczyłem maraton w Krakowie, by następnego dnia przebiec go normalnie.





OKULARKI PŁYWACKIE

Jeżeli chodzi o pływanie, to trenuję do triathlonu. Jeżeli kupuję godzinny bilet na basen, to muszę przepłynąć 2550 metrów. Dopłacanie przy kasie oznacza, że płynąłem zbyt wolno.



WKB META LUBLINIEC

Czyli Wojskowy Klub Biegacza przy Jednostce Wojskowej Komandosów w Lublińcu organizuje Bieg Katorżnika oraz Maraton Komandosów. Ten pierwszy przypadł do gustu moim dzieciom, które startują w młodzieżowej edycji i mogą się taplać w błocie. Potem startują starsi i mają do pokonania przez błota, bagna, lasy i wodę 11-kilometrowy odcinek. Dystans cierpienia.



OBUWIE SPORTOWE

O butach do biegania mógłbym opowiadać bez końca, bo chyba mam więcej par niż żona. M.in. mam buty z mikrokolcami, pozwalające biegać po lodzie bez poślizgu. Testowałem je na zamrożonym Jeziorze Paprociańskim w Tychach.



MULTITOOL



Marki Leatherman w formie bransolety wykonany ze stali nierdzewnej. Zawiera 29 narzędzi i można go zabierać na pokład samolotu.

SMARTWATCH

Wielofunkcyjny zegarek, który wytrzyma ultra-maraton. Bateria starcza na dwa dni bez problemu.

PAMIĄTKA

Limitowany, wyjątkowy, niepowtarzalny. Zegarek, który zamówiliśmy sobie na 30-lecie GROM-u. Specjalny projekt



na cyferblacie podkreśla numer jednostki 2305, szczęśliwą liczbę 13. Jest też motyw polskiej flagi i symbol GROM-u.

CZEKOLADKI

Podczas wyczerpującego biegania niezbędna jest energia. Zawodowcy używają różnych sztucznych dopalaczy. Ja jestem amatorem i wolę dobrą czekoladę, kurczaka czy szynkę.



DEUGOPIS

Nieprzypadkowy, bo wykonany z tytanu. Można nim pisać, ale także wybić szybę w samochodzie.



SŁUCHAWKI

Świetna sprawa. Aftershocks. Działają na kości policzkowe, nie na uszy, co pozwala słyszeć, co się wokół dzieje. Używam ich podczas biegów czy treningów. Można też w nich rozmawiać przez telefon.



TAŚMA

Taśma hokejowa jest dobra na wszystko, po prostu rewelacyjna. Podpatrzyłem ją w szatni u czołowego hokeisty, kilkukrotnego mistrza Polski Adriana Parzyszka, który latał nią swój stary ochraniacz. Zapytałem go, dlaczego nie kupi sobie nowego, i usłyszałem: „Po co? Przecież mam taśmę”.



KSIĄŻKI

Podczas wakacyjnego resetu często wpadają nam do głowy myśli, którym nie można pozwolić umknąć. Dlatego warto zabrać coś do ich notowania. Tak



wraz z moim „scientist buddy”, czyli żoną Pauliną, pracowaliśmy i pracujemy nad naszymi publikacjami: „Szeffologika”, „Bezpiecznie już było”... Kolejna właśnie się pisze.

HOBBY

Z różnych zakątków świata przywożę figurki wojowników. Mam ich już całkiem zaczną kolekcję. Do Japonii wybiorę się po samuraja.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Gender Stefcia



III Liceum Ogólnokształcące im. Bohaterów Westerplatte w Gdańsku-Wrzeszczu to słynna szkoła. Popularnie zwana jest „Topolówką”. Nazwa pochodzi od ulicy, przy której się znajduje, oraz topoli rosnących przy szkole. Placówka ta na ogół zajmuje miejsce w pierwszej trójce w corocznym rankingu pomorskich liceów. Uczęszczali do niej m.in. Anna Fotyga, Ewa Póblocka, Jacek i Jarosław Kurscy, Piotr Semka czy Wojciech Wencel, a także obecna prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz, o moim szwagrze nie wspominając. „Topolówka” swoimi tradycjami sięga jeszcze czasów, kiedy miasto należało do Cesarstwa Niemieckiego, a w 2005 r. została uznana przez redakcję „Newsweeka” za najlepsze liceum ogólnokształcące w Polsce. Dziś posiada nawet własną, redagowaną przez uczniów telewizję – Topo TV. I właśnie w niej wyemitowano wywiad z kandydatką do Parlamentu Uczniowskiego Stefanią z klasy III c. „Co chcecie zmienić, poprawić ulepszyć?” – brzmiało pytanie prowadzącego. Kandydatka zaproponowała: powstanie komisji ds. mediacji i równego traktowania. W ramach tego drugiego zagadnienia podstawowym postulatem jest, jak oznajmiła: „wprowadzenie neutralnej płciowo łazienki, koncert emancypacyjny na Dzień Kobiet oraz działania ekologiczne”. „Świetnie!” – podsumował prowadzący. Wiele rzeczy widzieliśmy i robiliśmy ze szwagrem, ale żeby lansować w „Topolówce” „neutralnie płciową łazienkę”, to już jakiś wykwit chorej wyobraźni licealistki Stefci.

kondotiera miało wynosić 40 tys. euro miesięcznie. Podejrzani opracowali na początku roku plan utworzenia oddziału najemników liczącego do 150 osób. Mieli to być przede wszystkim inni byli żołnierze Bundeswehry, a także byli policjanci. Oddział ten miał zostać wykorzystany w Jemenie, gdzie Arabia Saudyjska od lat walczy z wpływami rebeliantów Huti, którzy z kolei są wspierani przez Iran. Plan spalili na panewce, ponieważ Arabia Saudyjska nie wyraziła zainteresowania. Wpadli, bo sygnali ich do niemieckiego kontrwywiadu jeden z werbowanych. Aresztowani Arend-Adolf G. i Achim A. po okresie służby w Bundeswehrze (spadochroniarze) byli niegdyś aktywni w firmie ochroniarskiej Asgaard. Firma od lat jest na celowniku władz, ponieważ aktywnie rekrutuje byłych członków jednostek specjalnych Bundeswehry i policji oraz reprezentuje ponoć skrajne prawicowe poglądy. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Co ma wspólnego z terroryzmem rekrutowanie oddziałów najemnych, których celem jest walka w jakimś konflikcie zbrojnym po stronie rządowej? Nawiąsem mówiąc, władze Jemenu zwalczają szyickich rebeliantów Huti uznanych za islamskich terrorystów. Od 2005 r. pozycje ich były bombardowane przez lotnictwo USA. W Polsce np. powstał oddział „komandosów” zwany Homokomando. Też nie wiadomo, jakie akcje planują, a może kombinują, żeby wysadzić w powietrze jakiegoś homofoba? Przyjmując niemiecki sposób rozumowania, należałoby ich również oskarżyć o terroryzm.

cisk balistyczny, a następnie trafia w cel z dokładnością do kilku metrów. W tej sytuacji większość istniejących arsenałów nuklearnych światowych mocarstw może się okazać bezużyteczna, gdyż już w pierwszej fazie wojny siły rakietowe zostałyby zniszczone przez glidery. Według „Financial Times” niedawno Chiny potajemnie wystrzeliły na orbitę, a następnie wycelowały w punkt na Ziemi swój testowy hipersoniczny system bojowy o przeznaczeniu strategicznym (zdolny do międzykontynentalnego przenoszenia głowic bojowych). Próbną pocisk okrążył co najmniej raz kulę ziemską, zanim został wprowadzony na trajektorię prowadzącą bezpośrednio w kierunku celu. Choć minął zadany punkt docelowy, chybiając o blisko 30–35 km, to postęp Chin w doskonaleniu uzbrojenia hipersonicznego zaskoczył amerykańskie służby wywiadowcze. Strona chińska odpowiedziała na zasygnalizowane podejrzenia, oficjalnie zaprzeczając, że testowano broń hipersoniczną. „To nie był pocisk, to był pojazd kosmiczny” – oświadczył rzecznik chińskiego MSZ Zhao Lijian. Jak w dowcipie o Radiu Erewan kiedyś: „Grupa komunistów chińskich zaatakowała pracujący w polu radziecki traktor. Traktor odpowiedział celnym ogniem, po czym odleciał w kierunku Moskwy. Ministerstwo Rolnictwa ostrzega chińskich towarzyszy, że jeśli incydent się powtórzy, na pola zostaną wysłane kombajny”.

Andrzej Rafał Potocki

Dwoch byłych żołnierzy Bundeswehry zostało aresztowanych pod zarzutem terroryzmu – poinformowała w środę niemiecka prokuratura federalna. Mężczyźni chcieli stworzyć siły najemne do interwencji w Jemenie. Wynagrodzenie dla

Broń hipersoniczna to manewrujące pociski szybujące (glidery), które poruszają się z prędkością wielokrotnie większą niż współczesne rakietki i są praktycznie niewykrywalne dla radarów. Glider leci bowiem na znacznie mniejszej wysokości niż tradycyjny po-

To także nasze dziedzictwo

Dwory, będące emanacją naszej kultury i historii, stanowiły przez setki lat jedną z charakterystycznych cech polskiego krajobrazu wyróżniających go na tle pozostałych państw europejskich. Pierwotnie wznoszono je jako gniazda rycerskie o funkcji obronnej, a od połowy XVII w. stały się rezydencjami budowanymi przez właścicieli ziemskich. Poza zasadniczym zadaniem w postaci ośrodków gospodarowania na roli były ośrodkami kultury i ostoją naszych tradycji narodowych.

Do 1939 r. w granicach II Rzeczypospolitej istniało kilkanaście tysięcy dworów. Po II wojnie światowej zrujnowanych zostało co najmniej 9 tys. z nich. Po 1945 r. ani jeden dwór nie pozostał w rękach przedwojennych właścicieli z przynależną mu ziemią i gospodarczym zapleczem. Wiele ziemian zostało zamordowanych przez Niemców i Rosjan, innych wywieziono do niemieckich i sowieckich obozów lub zesłano na Sybir. Za czasów stalinowskich dawni właściciele mieli zakaz osiedlania się w promieniu 30 km od swoich dawnych domostw. Część dworów zniszczono jako pozostałości „obszarnictwa i wrogiego ustroju”. Potomkowie przedwojennych właścicieli zachowali we wspomnianym okresie jedynie 30 dworów, które stanowiły część majątków uprzednio pozbawionych ziemi uprawnej przekazanej chłopom małorolnym i robotnikom rolnym. Większość przedwojennych ziemiańskich nieruchomości znalazła się we władaniu Państwowych Gospodarstw Rolnych oraz podmiotów nazywanych spółdzielniami rolniczymi. Dwory zasiedlali robotnicy rolni, tworzone w nich szkoły oraz biura PGR i spółdzielni produkcyjnych. Przez dziesiątki lat szlacheckie zabudowania niszczały pozbawione odpowiedniego nadzoru konserwatorskiego i środków finansowych na ich zachowanie.

Po upadku PRL nieruchomości należące niegdyś do PGR nierzadko stały się odzwierciedleniem zapomnienia, na które w latach 90. skazano byłych pracowników państwowych gospodarstw i spółdzielni rolniczych. Do dziś postępującym zniszczeniem zagrożonych jest nawet kilkanaście tysięcy dworów. Część z nich zyskała nowych właścicieli, którzy nie zawsze są w stanie odtworzyć ich dawny charakter z należytym pietyzmem wymagającym ogromnych nakładów finansowych i wiedzy na temat historii polskiej architektury. Znaczna liczba dworów o szczególnym znaczeniu dla naszego dziedzictwa kulturowego pozostaje obecnie własnością skarbu państwa, zarządzaną przez Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. W 2015 r. w rejestrze zabytków Narodowego Instytutu Dziedzictwa odnotowano w całej Polsce 4834 dwory i pałace. Niemal dwa tysiące z nich określono jako ruiny, obiekty w stanie radykalnej przebudowy lub ogołocenia z podstawowej infrastruktury do tego stopnia, że w dawnym majątku pozostał jedynie zdewastowany budynek. Według ekspertów ok. 150 dworów i pałaców istniejących w Polsce na obszarach pozamiejskich zachowało nawiązujące do stanu oryginalnego walory architektoniczno-historyczne.

Jesienią br. Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu podpisało porozumienie z KOWR o współpracy w za-

kresie zapewnienia właściwej opieki i ochrony zabytkowym dworom i pałacom oraz współdziałania z właściwymi miejscowo konserwatorami zabytków. Synergia przedstawicieli ministerstwa właściwego dla spraw kultury i dziedzictwa narodowego z podmiotem odpowiedzialnym za państwowe nieruchomości rolne to przełomowa inicjatywa, której zasadniczym celem jest wypracowanie spójnych działań na rzecz ochrony historycznych i kulturowych walorów krajobrazu polskiej wsi. Dzięki działaniom obecnych władz ziemiańskie majątki mają odzyskać swoje dawne piękno, stając się ozdobą miejscowości, w których są posadowione i na nowo przyjąć rolę lokalnych ośrodków życia kulturalnego. Pierwszym zabytkiem, który ma zostać odrestaurowany, jest dwór w mazowieckiej wsi Szczuki, w którym 18-letnia Maria Skłodowska-Curie w 1886 r. zamieszkała jako guwernantka dzieci rodziny Żórawskich i z narażeniem na wywózkę na Sybir, wbrew zakazowi carskich władz, uczyła także okoliczne wiejskie dzieci.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

REKLAMA

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 21.45

"Recepta na zdrowie"
Katarzyna Supeł-Zaboklicka
poniedziałek - piątek,
godz. 10.30

 **RADIO
warszawa**
106,2 FM



Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

82/0921/F

Królowa jest naga



**Samuel
Pereira**

Zgodnie z mitologią grecką Europa to królowa kreteńska, która dała się zwieść łagodnością i delikatnością byka, a gdy usiadła na jego grzbiecie, ten ją porwał w szaleńczy rajd. Mitycznej Europie nic się nie stało, niestety w obecnej sytuacji geopolitycznej Unia Europejska porwana przez współczesnych szaleńców na taki happy end liczyć nie może.

Zacznijmy od tego, że skoro obywatel Polski ma prawo krytykować rządzących i jest to element demokracji, to i kraj członkowski UE ma prawo krytycznie się odnosić do działań brukselskiej centrali, szczególnie gdy te są dlań skrajnie szkodliwe. Są oczywiście tacy, którzy powiedzą, że „nie można porównywać” i rząd RP można obrażać, a naród polski zniesławiać, ale już o politykach wybranych na brukselskie stołki złego słowa powiedzieć nie można, „bo polexit”. Jest dokładnie odwrotnie. To właśnie brak rzetelnej i merytorycznej dyskusji o samobójczym kursie, jaki obrała Unia Europejska, służy tym, którzy nas kierują na skraj przepaści. W czasie gdy Władimir Putin zagraża gospodarczo i energetycznie naszemu kontynentowi, gdy razem z kolegą Łukaszenką wysyła na granicę UE kolejne grupy nielegalnych imigrantów, czym zajmuje Bruksela? Podsumujmy.

Komisja Europejska bezprawnie wstrzymuje wypłatę należnych nam środków, co denerwuje już nawet niemiecki biznes. W tym czasie europosłowie zjeżdżają do Parlamentu Europejskiego, żeby zająć się grillowaniem kraju członkowskiego, stawiając pod przegierzem Polskę. Wcześniej wyznaczeni przez polityków sędziowie TSUE, a konkretnie jedna pani polityk związana z Donaldem Tuskiem, nakłada na piątę pod względem liczby ludności państwo UE kary dzienne za to, że nie zamknęliśmy kopalni. Mimo że każdy wie, że spowodowałoby to kryzys energetyczny w całej Polsce, a na zasadzie naczyni połączonych również u naszych sąsiadów. Ideologicznie nagrany do granic przyzwoitości PE równolegle zajmuje się Komisją Europejską, którą z kolei chce ukarać za to, że ta za słabo ukarała Polskę.

Podsumowując – Unia Europejska zajmuje się samą sobą, Bruksela eskaluje wewnętrzne konflikty, a Niemcy zapraszają Putina na szczyt UE. Coraz więcej Europejczyków zaczyna dostrzegać, że nasza królowa jest naga, ale ona idzie dalej z uniesionym czołem, w zmyślonej szacie, a jej przybocznicy krawcy ucisząją każdego, kto śmie o tym wspomnieć.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Muzeum słów i głosów

Z Januszem Kukulą, dyrektorem Teatru Polskiego Radia, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna



Jak to się stało, że warszawscy Matysiakowie zagościli na dobre w Baranowie Sandomierskim? I czy tylko oni?

Janusz Kukula: Och nie. Dotarli tu również mieszkańcy Jezioran, a także – duchowo – wszyscy ci ludzie, którzy od blisko wieku Teatr Polskiego Radia tworzyli i tworzą. Muzeum Teatru PR ma być miejscem, gdzie wszystkie dobre myśli z mijających lat gromadzą się i mówią do współczesnych, że warto słuchać siebie nawzajem.

Gdzie dokładnie ulokowało się Muzeum Słów i Głosów?

Każdy, kto dotrze do przepięknego zespołu zamkowo-parkowego w Baranowie Sandomierskim (zamek nie bez powodu zwany jest Małym Wawelem), przejdzie

obok naszego muzeum. Mieści się ono tuż przy bramie głównej. Ściany zdobią murale przedstawiające znakomitych aktorów związanych z Teatrem PR – Gustawa Holoubka, Zbigniewa Zapasiewicza, Grażynę Barszczewską, Magdalenę Zawadzką, Piotra Fronczewskiego i Krzysztofa Gosztyłę. Na wiosnę w zamkowym parku uruchomimy ławeczki, na których będzie można przysiąść i posłuchać radiowych nagrań.

A co już możemy obejrzeć w muzeum?

Ekspozycje przypominające kultowe słuchowiska – „Matysiakowie” i „W Jezioranach” oraz wystawę poświęconą ludziom tworzącym Teatr PR. Jest też sala z zabytkowymi urządzeniami służącymi do wytwarzania efektów dźwiękowych (wiatru, deszczu, grzmotów itp.) i są nowoczesne studia, w których uczestnicy szkolnych warsztatów będą mogli stworzyć własne słuchowisko.

Szczegóły – strona <http://www.teatrywobrazni.pl/>
www.teatrywobrazni.pl



30

średnio o tyle groszy
podrożeje paczka
papierosów (wg wyliczeń
Ministerstwa Finansów)



8
tysięcy euro rocznego
dodatkowego dochodu
ma Radosław Sikorski
(poza zarobkami
europosła) – wyliczył
Transparency
International EU

6

średnio o tyle
kilogramów przytył
każdy Polak w czasie
pandemii

**Kolejny celebryta, który kpi
z osób z zespołem Downa.
Jego pseudodowcip
pokazuje, jakie jest
faktyczne podejście
tzw. elyt do chorych
i niepełnosprawnych.**

Ks. Isakowicz-Zaleski
o Kubie Wojewódzkim



**Trzeba powiedzieć: stop.
Kompetencje Unii Europejskiej
mają swoje granice. Nie wolno
nam dłużej milczeć, gdy są one
przekraczane.**



Mateusz Morawiecki w Strasburgu

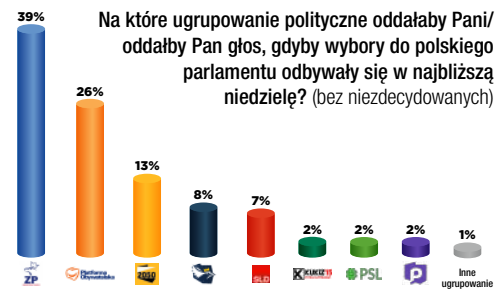
**Na swojej drodze zawsze napotkasz
porażki, problemy i negatywne osoby,
w takich momentach musisz podążyć
dalej i nie poddawać się.**

Bruce (Xiaoyu) Liu, laureat tegorocznego
Konkursu Chopinowskiego

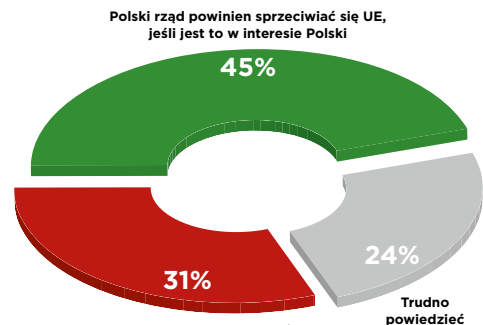
zebrał Jakub Maciejewski



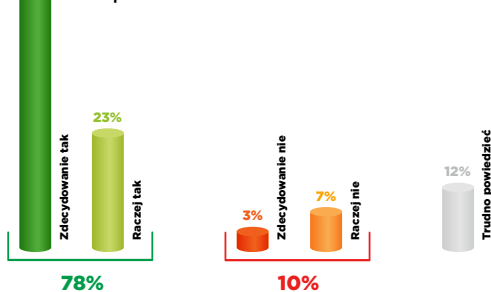
pracownia
Social Changes
dla
wPolityce.pl



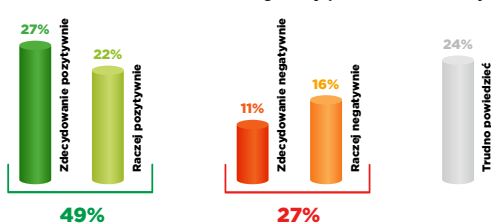
W jaki sposób polski rząd powinien postępować w relacjach z Unią Europejską?



Czy konstytucja powinna być najwyższym prawem w Polsce?



Jak oceniasz pracę Straży Granicznej na granicy polsko-białoruskiej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1096.

Zakres czasowy badania 15-18 października 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLECKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWÓRNA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CECYLA KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLEŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODZIEDYCJA: ANNA ŁABĘKA, ANIA ŁABĘKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TYTUŁACZNIEM NA JĘZYK OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZES WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: PAPYTIUSZ ZNIEWSKI, PAPYJAK KACZMARCZYK,
MATHIEU OLIGNO/ASOPREAST NEWS, ADAM GUZ/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR/3,
PRAVSI/ASHUTTERSTOCK, FABRIANSM/SHUTTERSTOCK



Tylko Zdrajca chce karać własne państwo

Dzisiejsi targowiczanie też mówią, że oni to wszystko robią dla Polski. Ale dążąc do poddania państwa kontroli zewnętrznego suwerena, dopuszczają się zdrady – mówi **prof. Ryszard Legutko**, europoseł PiS, współprzewodniczący Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą

Jak nazwać zachowanie wybranych w Polsce posłów do Parlamentu Europejskiego, którzy domagali się od niemieckiej szefowej Komisji Europejskiej bezprawnego karania naszego kraju?

Ryszard Legutko: To określenie znamy od dawna: targowica. Stosuję je do syndromu istniejącego w polskim społeczeństwie od I Rzeczypospolitej – domagania się przez wpływowe grupy, by władza w Polsce została przejęta przez podmioty zewnętrzne, które w domniemaniu są sprawniejsze, mądrzejsze, lepsze. Nie sądziłem, że takie postawy pojawiają się w takim nasileniu i tak szybko po naszym rozstaniu z komunizmem. Minęły raptem trzy dekady, a już słyszymy żądania, by polski rząd został de facto skasowany i by zajęli się nami inni. My zaś będziemy się im podlizywać i grzać ich blaskiem. Smutne.

Przypomina nam się pana „Antykacyzm”. Osiem lat temu pisał pan w tej książce o powodach upadku I Rzeczypospolitej. Wśród nich wymieniał „lekceważące podejście do

Dla części polskich elit Unia to upragniony, zewnętrzny suweren, który ucieleśnia dobrobyt, cywilizację i oświecenie. Mówią, że im bardziej się w UE wtopimy, tym bardziej Polska się wzmocni. Innymi słowy: im bardziej się poddamy, tym będziemy bardziej autonomiczni. To nowa dialektyka europejska, która zastąpiła starą marksistowską

suwerenności, a niekiedy wręcz samobójcze wykorzystywanie protekcji obcych państw, uzależnianie się od nich i stopniowe przyzwyczajanie do tego uzależnienia”. Dziś mamy analogię do końcówki XVIII w.?

Ona się w oczywisty sposób narzuca. Kierunek, w którym idzie Unia Europej-

ska, odsłania możliwość odebrania suwerenności niektórym państwom – tym słabszym. Natomiast instytucje ponadnarodowe są przejmowane przez podmioty silniejsze. Dla części polskich elit Unia to upragniony, zewnętrzny suweren, który ucieleśnia postęp, dobrobyt, cywilizację, oświecenie i Zachód. Nic dziwnego, że te elity się UE poddają, składają jej hołdy, a jej namiestników uważają za wyłącznie prawowitych panów. Mówią, że im bardziej się w Unię wtopimy, tym bardziej Polska się wzmocni. Innymi słowy: im bardziej się poddamy, tym będziemy bardziej autonomiczni. To nowa dialektyka europejska, która zastąpiła starą marksistowską.

Mówi pan o współczesnej targowicy, ale może sytuacja dojrzała już do tego, by powiedzieć mniej poetycko i wprost sięgnąć po pojęcie zdrady?

Bo to jest zdrada. Bogusław Radziwiłł widział w Rzeczypospolitej postaw czerwonego sukna, z którego każdy może sobie coś wyciąć, ale inni zdrajcy zasłaniali się dobrem ojczyzny. Targowica twierdziła, że broni wolności szlacheckiej, bo Rzeczpospolita

została przejęta przez jakobinów. Dzisiejsi targowiczanie też mówią, że oni to wszystko robią dla Polski. Ale dążąc do poddania państwa kontroli zewnętrznego suwerena, dopuszczają się zdrady. Zwłaszcza że nie ma żadnych powodów, by tak czynić – nie ma np. zagrożenia militarnego, które wymusza na nas upokarzające ustępstwa. To czyste pragnienie poddaństwa.

Takie postawy są tylko polską specyfiką? W innych krajach opozycja zna granice ataku na własny kraj, nie przenosi sporów wewnętrznych na arenę międzynarodową?

To się zdarza, zwłaszcza we wschodniej Europie, gdzie poczucie trwałości państwa jest mniejsze. W przypadku Polaków uderzające jest, jak mocno domagają się karanie własnego państwa. Zdumiewający jest ten nieświęty alians starych komunistów i ekipy postsolidarnościowej. Jeden z europosłów niedawno wykrzykiwał, że był działaczem NZS, że walczył z komunistami. Nie kwestionuję tego, jednak dziś większe poczucie wspólnoty znajduje on właśnie ze starymi komunistycznymi aparatchykami niż z tymi, którzy reprezentują myślenie niepodległościowe.

Jak inni europosłowie patrzą na naszą opozycję?

Parlament Europejski to instytucja dość absurda, o silnych cechach patologicznych, bo jest zbiorowiskiem ludzi, którzy nie mają żadnej odpowiedzialności politycznej. Panuje w nim atmosfera furiackiej mobilizacji do walki z wrogiem. Polska należy do grona wrogów, a nasza opozycja, czyli wrogowie wrogów, są przyjaciółmi i towarzyszami we wspólnej ofensywie przeciw „siłom reakcji”.

Czyli postawą zasługującą na pogardę wypracowali sobie szacunek u wrogów Polski, dobrze rozumiemy?

Nie wykluczam, że w rzeczywistości bardziej świadome zachodnie elity gardzą nimi, jednocześnie cynicznie



Fot. Mathieu QUIGNOTIER

Tusk i jego koledzy są w stanie zdobyć wyłącznie poparcie polityczne przeciw rządowi, a nie są w stanie zdobyć niczego na rzecz polskiego państwa – weźmy sprawy Nord Stream 2, pracowników delegowanych czy wiele innych. Tutaj są impotentni

ich wykorzystując. Trzeba sobie zdawać sprawę, że poziom moralności, ranga intelektualna u większości posłów Parlamentu Europejskiego jest niesłychanie niska. Natomiast politycy, których najbardziej interesuje władza, muszą patrzeć na naszą opozycję jak na pętałów. Oni są użyteczni wyłącznie do walki z polskim rządem. Gdyby doszło do zmiany władzy w naszym kraju, to tak zadłużona politycznie opozycja nie będzie miała prawa domagać się niczego. Podobnie jak targowiczanie – gdy oddali już wszystko, co mieli, nie mogli niczego oczekiwać od rosyjskiej imperatorowej.

Jakie są dziś osobiste wpływy Donalda Tuska w strukturach europejskich? W kraju widzimy koincy-

dencję ataków Brukseli z jego powrotem do polskiej polityki.

On też odgrywa rolę wasalną. Polityka jest grą twardą. Nie robi się w niej niczego z przyjaźni ani z empatii. To handel, w którym trzeba mieć coś na korzystną wymianę. Tusk tego nie miał. Nie miał poparcia polskiego rządu, bo uzyskał reelekcję przez atakowanie go. Został wsadzony na szefa Rady Europejskiej przez ludzi mocniejszych od niego, bardziej wpływowych. Od razu został więc ustawiony w pozycji służalczej.

Ale Manfred Weber, szef EPL w Parlamencie Europejskim, kordialnie dziękował szefowi PO za demonstrację z 10 października.

To nie ma żadnego znaczenia. Tusk i jego koledzy są w stanie zdobyć wyłącznie poparcie polityczne przeciw rządowi, a nie są w stanie zdobyć niczego na rzecz polskiego państwa – weźmy sprawy Nord Stream 2, pracowników delegowanych czy wiele innych. Tutaj są impotentni. Scenariusz jest zawsze taki sam: nasza opozycja prosi o wsparcie w polskim sporze wewnętrznym, a przedstawiciele EPP czy socjalistów wyciągają serce na dłoń, deklarują, że nie zostawią Polski na pastwę PiS i głośno chwala swoich polskich przyjaciół. Opozycja zadowala się najtańszą monetą – publicznymi pochwałami. Na więcej jej nie stać.

Jest pan współprzewodniczącym EKR, bierze udział w spotkaniach liderów frakcji. Jak reagują, gdy mówi im pan, że to, co robią, jest bezprawne, że traktaty tego nie przewidują?

To, co mogliśmy obserwować w czasie wtorkowej debaty w Strasburgu, ja widzę na spotkaniach Konferencji Przewodniczących, czyli najwyższego ciała w europarlamencie: tyranię większości oraz pogardę dla prawa. Ostatnio zaproponowano debatę w „pierwszą rocznicę faktycznego zakazu aborcji w Polsce”. Zaprotestowałem. Wskazałem, że po pierwsze sam tytuł jest kłamliwy. Po drugie, zapytałem, od kiedy to zajmujemy się organizowaniem debat z okazji tego typu rocznic. A po trzecie, podobna ingerencja parlamentu stanowi gwałt na kilku wskazanych przeze mnie artykułach w traktatach. Sprawy takie należą do wyłącznej gestii państw członkowskich. Zapadła długa cisza. Aż wreszcie ktoś rzucił, że to temat praw człowieka, w głosowaniu szybko przekreślono mój sprzeciw i debata się odbyła.

Nie można więc liczyć na jakąkolwiek merytoryczną debatę, nawet w czasie spotkania w zamkniętym gronie?

Im się po prostu nie chce odpowiadać. Widzę czasem te spojrzenia w moją stronę i oczy dziwiące się: „Po co ten gość w ogóle gada, przecież i tak nic z tego nie będzie”. Podobnie nie chciało się pani przewodniczącej von der Leyen odpowiedzieć premierowi Morawieckiemu. Myślą: „Po co w ogóle dyskutować, skoro i tak możemy zrobić, co chcemy, bo mamy większość?”. To arogancja władzy w stanie czystym. Hamlet nazwał to beczelnością urzędu.

To może premier nie powinien był tam jechać, skoro nikt nie chciał go słuchać, mierzyć się z argumentami, a wyrok wydano już przed debatą?

Ja rozumiem, że premier nie mówił do posłów na sali, lecz do europejskiej opinii publicznej. Polskiemu

rządowi jest trudno nagłośnić swoje stanowisko za granicą. Umysły są tam karmione tym, co piszą media, czyli mniej więcej tym, co w Polsce publikuje „Gazeta Wyborcza”. I to niezależnie, czy mówimy o „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „El País” czy „Corriere della Sera”. Powszechnie uważa się, że skoro wszystkie media piszą tak samo, to musi być prawda. Pan premier skorzystał więc z tego forum, by upublicznić nasze racje.

Ja rozumiem, że premier Morawiecki nie mówił w Strasburgu do posłów na sali, lecz do europejskiej opinii publicznej. Polskiemu rządowi jest trudno nagłośnić swoje stanowisko za granicą. Premier skorzystał więc z tego forum, by upublicznić nasze racje

Swoją drogą musiał europosłów wprowadzić w spory dysonans, tak licznie przywołując przepisy prawa i ich stosowanie w innych krajach. Jeśli swoją wizję świata czerpią ze wspomnianych tytułów prasowych, to w ubiegłym tygodniu odkryli nowy świat.

Znają panowie sformułowanie „Unia to jedność w różnorodności”? Nie ma zdania, które mnie bardziej irytuje. A ono pada w instytucjach europejskich każdego dnia, również w czasie wspomnianej debaty. Otóż nie ma żadnej różnorodności. To jest jeden głos, jedna opinia. Myślą, że powtarzając to zdanie, wykreują tę różnorodność. Nie, ci wszyscy ludzie są praktycznie nieodróżnialni od siebie. Można pozamieniać im nazwiska, płcie, grupy polityczne, a przekaz się nie zmieni. Są organicznie niezdolni do namysłu nad czymś, co nie

mieści się na tym skromnym poletku mentalnym, jakie zagospodarowali. Gdy pojawia się ktoś taki jak premier Morawiecki i przedstawia cały szereg merytorycznych argumentów, to główną ich reakcją jest irytacja, gniew, odrzucenie.

Jarosław Kaczyński w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” podkreślał, że ataków Brukseli na Polskę nie można analizować bez pytania o wpływy Rosji w Europie: „Już carska Rosja świadomie wchodziła z dużymi pieniędzmi w elity zachodnie, a potem to samo robiły Sowiety, podobnie dzieje się dzisiaj. Dysponują na ten cel potężnymi pieniędzmi, głównie ze sprzedaży surowców, które mogą przekazywać w sposób niekontrolowany, niemożliwy w państwach demokratycznych”. Ile dziś znaaczy Putin w Europie?

Cała Europa Zachodnia jest de facto prorosyjska. I to od lewa do prawa, naprawdę trudno znaleźć jakąś partię, która byłaby wobec Rosji krytyczna. Analizujemy konkrety: jakie są wprowadzane sankcje, jak politycy reagują na aneksję Krymu, polityczne zabójstwa czy porwania? Na początku jest pewne wzmożenie, ale ono szybko ustaje, bo dociera do nich, że z tą Rosją trzeba jednak jakoś żyć. W Niemczech najbardziej prorosyjską jest oczywiście socjaldemokracja (SPD), która w ostatnich wyborach odniosła sukces. CDU pani kanclerz Merkel niby wydawała groźne pomruki wobec Putina, ale Nord Stream 2 jakoś nie został zatrzymany. Nie chciała o tym projekcie rozmawiać także pani Ursula von der Leyen, a na konferencji przewodniczących frakcji w Parlamencie Europejskim kilkakrotnie ten temat był odrzucany. Powiem żartobliwie, „Klub Przyjaciół Rosji” w europarlamencie ma się świetnie. Czasem ktoś powie, że Putin jest tyranem. Ale na słowach się kończy. Fakty są takie, że ten nie lubiany Władimir Putin i tak jest bliższy sercu polityka europejskiego niż np. Jarosław Kaczyński.

Jak będzie wyglądała nasza przyszłość w Unii? Ulegniemy dyktatowi silniejszego? Są pewne ustępstwa, na które zapewne pójdziemy, jak zapowiedź rezygnacji z Izby Dyscyplinarnej SN w dotychczasowej formie.

Jak to mawiał śp. trener Kazimierz Górski: „Gra się tak, jak przeciwnik pozwala”. A ten, naprzeciwko którego my stajemy, jest naprawdę groźny i silny. I on nie ma ochoty nam ustępować w żadnym elemencie. Całe to gadanie o „potrzebie dialogu” i „wychodzeniu naprzeciw” nie jest nic warte. Żadnych kompromisów, interesuje go tylko nasza kapitulacja, czyli zmiana polskiego rządu.

Jakie mamy narzędzia w walce z tymi zamordystami? Prawo nam nie pomoże, bo agresja Brukseli polega m.in. na jego ignorowaniu i ostentacyjnym łamaniu. Z jaką amunicją idziemy na wojnę z Komisją Europejską? Niepłacenie składki, korzystanie z weta, skasowanie innych państw do TSUE?

To dobre przykłady. W Radzie Europejskiej wciąż sporo spraw jest rozstrzyganych przez konsensus, gdzie potrzebna jest jedność. Co prawda są zapowiedzi, by to zmienić, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo byłby to „finis Poloniae” [tłum. koniec Polski]. Natomiast w dłuższym okresie musi nastąpić jakieś zrównoważenie sił w Europie. Bez tego nie mamy szans. Liczę na to, że zauważalny już nurt suwerennościowy mocniej się osadzi i znacznie pracować także na naszą korzyść.

Widać gołym okiem, że Unia działa w myśl zasady „kto ma kasę, ten ma władzę”. Sięganie po kary finansowe, mowa o konieczności „zagłodzenia” niepokornej Polski stają się codziennością. Jednak polski rząd mówi, że bez funduszy europejskich możemy sobie dać radę, to możliwe?

Mówiąc wprost, jeśli trzeba będzie, to będziemy musieli dać sobie radę. Brakujące pieniądze z funduszu odbudowy pewnie dałoby się uzupełnić jakimiś korzystnymi pożyczkami, ale

pieniądze z najbliższej perspektywy budżetowej już mogą być zbyt duże. Podkreślam: możemy wyjść naprzeciw Unii, nieco się ugiąć, by pieniądze popłynęły, ale nasze ustępstwa nie mogą przekroczyć pewnej linii.

Trzeba chyba więc dotknąć sprawy zasadniczej: zostajemy w Unii, to jest jasne, ale czy jesteśmy w stanie ją zreformować w obszarach, w których łamie ona traktaty?

Nie ulega wątpliwości, że UE konsekwentnie idzie w kierunku degeneracji. Jest źle pomyślaną konstrukcją: instytucje unijne nie ponoszą żadnej odpowiedzialności, nie ma mechanizmów kontrolnych ani zasady równowagi sił. Ten poważny defekt ustrojowy Unii dostrzegłem dopiero, obserwując ją z bliska. Rokowania są

„Klub Przyjaciół Rosji” w europarlamencie ma się świetnie. Czasem ktoś powie, że Putin jest tyranem. Ale na słowach się kończy. Fakty są takie, że ten nielubiany Putin i tak jest bliższy sercu polityka europejskiego niż np. Jarosław Kaczyński

więc fatalne. Jedyną nadzieją jest reforma polegająca z jednej strony na odebraniu UE pewnych kompetencji, a z drugiej uszczelnienie systemu, by nie dochodziło do takiej samowoli, jaką mamy obecnie.

Jest jakaś alternatywa? W kim upatrywać sojuszników, z kim chcemy tę Unię zmienić?

Najbliższe kilkanaście miesięcy pokaże, czy się wydarzy coś dobrego we Włoszech, Hiszpanii, czy we Francji, która teraz jest nieco wypychana z pozycji decyzyjnych przez Niemcy.

Nie wypalił plan Macrona, by „przejąć Unię”. Francuzom może więc zależeć, by coś zmienić.

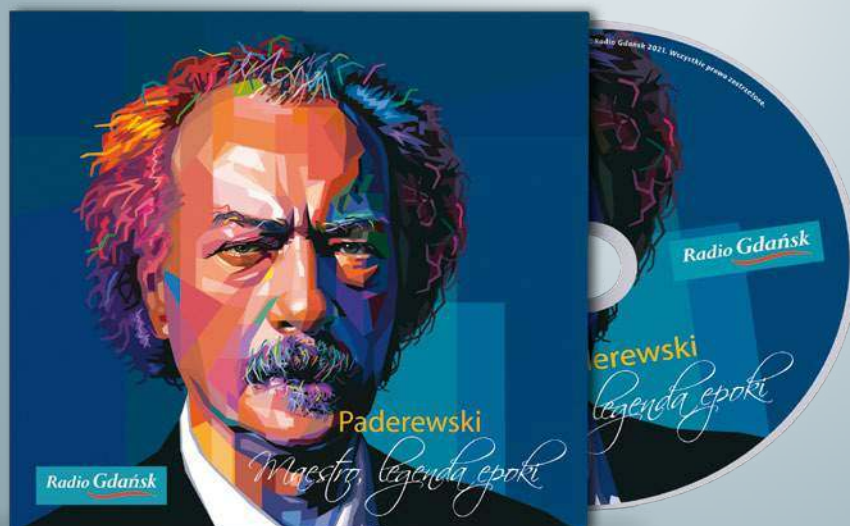
A wschód Europy?

Niestety jako region jesteśmy dość słabi ze swoimi kompleksami, co powoduje, że Zachód wciąż traktuje nas jak istoty podrzędne. Politycy wschodnioeuropejscy nie zawsze mają śmiałość, by na forum wystąpić bardziej stanowczo. Wyjątkami są tutaj Viktor Orbán, Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki, może stąd taka furia skierowana w nas. Może do tego grona dołączyć przyszły premier Czech, prof. Petr Fiala, który jest człowiekiem o zacnym dorobku intelektualnym i pokazał talent polityczny, przeprowadzając swą partię przez kryzysy. Premier Andrej Babiš przez swój upór w sprawie Turowa osłabił Grupę Wyszehradzką, a przecież rozwój Europy Wschodniej powinien być oczywistością również dla Czechów. Niestety większość krajów regionu woli się nie przeciwstawiać większej sile, tym bardziej że są tam mocne opozycyjne grupy antysuwerennościowe. Dominuje konsekwentnie powielany obraz Unii jako obszaru dobrobytu i klubu dzentelmenów, a to utrudnia realistyczną rozmowę i ogranicza działania polityków.

Uraczył nas pan bardzo pesymistyczną wizją. Nie mamy dla Polaków żadnego światła w tunelu?

Pewien pesymizm wynika z prawdziwego opisu sytuacji. Natomiast w żadnym przypadku nie chcę propagować postawy kapitulancji. Wręcz przeciwnie. Jedyną naszą drogą jest stawianie naszych spraw bardzo stanowczo. Krytyczna diagnoza sytuacji ma skłaniać do działania. Nie możemy dawać się usypiać idiotyczną retoryką „europejskiego braterstwa”, która przykrywa rosnący lewicowy despotyzm ogarniający Unię. Trzeba ją opisać taką, jaka jest. To nie jest łatwe, bo zmasowana propaganda zasłania jej prawdziwy obraz. A więc rada jest taka: mówić prawdę, kłamstwa demaskować, robić swoje!

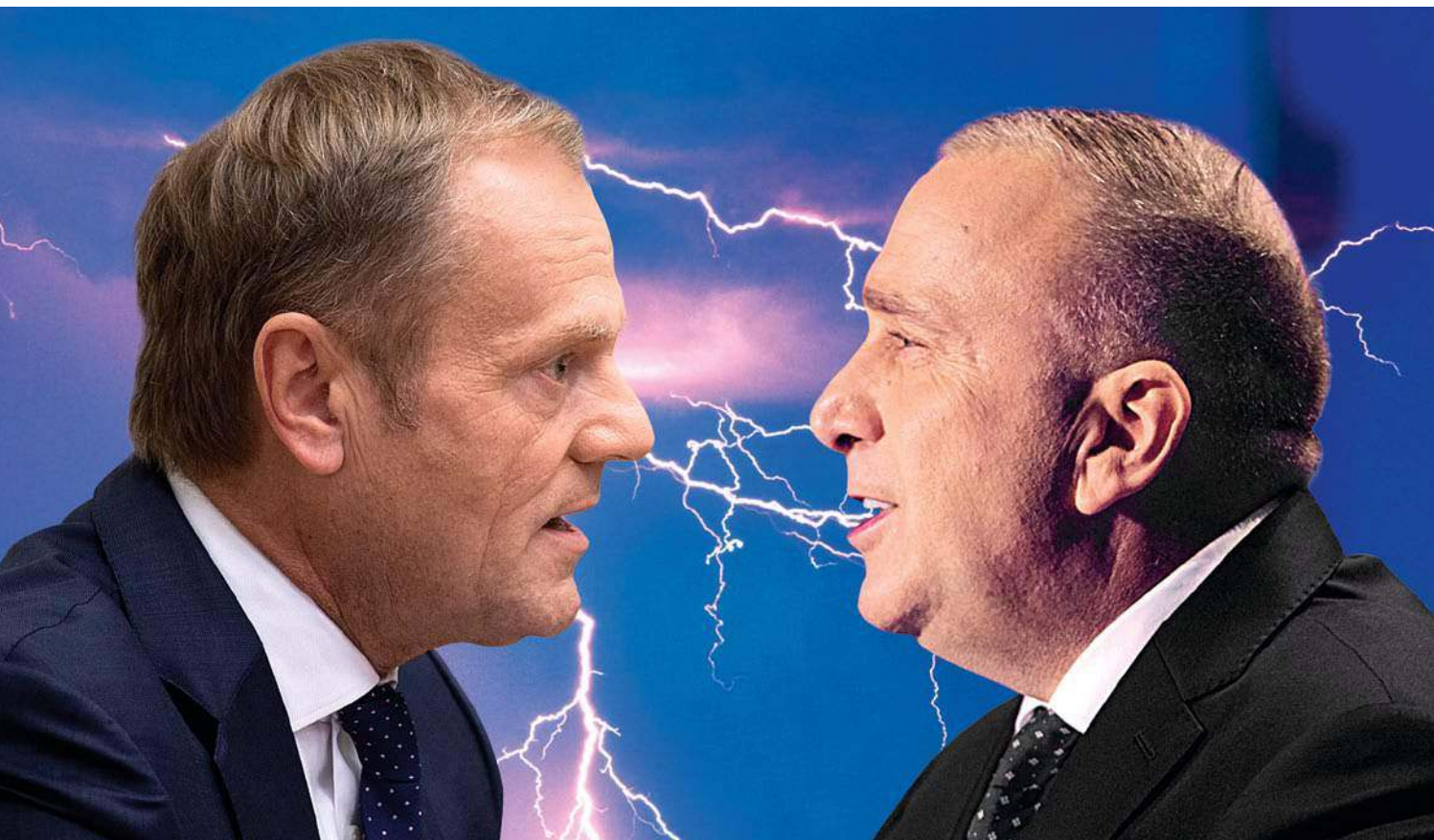
Magazyn z płytą w prezencie!



PADEREWSKI. **Maestro, legenda epoki**

W 80. rocznicę śmierci Ignacego Paderewskiego w słuchowisku Radia Gdańsk przypominamy nadzwyczajne życie pianisty, kompozytora, polityka, męża stanu, aktywisty, filantropa, biznesmena, mecenas sztuki i architektury, poliglota, mówcy, hodowcy winorośli, aktora filmowego, ikony...

Kup magazyn „wSieci Historii” z płytą w prezencie!



Ostatni skok Tuska

*Były premier chce wystartować w wyborach prezydenckich w 2025 r.
Po to wrócił do polskiej polityki*



STANISŁAW JANECKI

Tylko pozornie 23 października 2021 r. przypadła kulminacja walki o władzę w Platformie Obywatelskiej, mimo że właśnie wtedy w lokalnych biurach partii wybierano

przewodniczącego (jedynym kandydatem był Donald Tusk) oraz szefów regionów i powiatów. Przed tymi wyborami wielu ważnych polityków zeszło z linii strzału Donalda Tuska: Grzegorz Schetyna na Dolnym Śląsku, Andrzej Halicki na Mazowszu, Sławomir Neumann na Pomorzu czy Robert Tyszkiewicz na Podlasiu. I tak się składa, że właściwie wszyscy oni byli uznawani za ludzi Grzegorza Schetyny.

Ale najważniejsze jest to, że do konfrontacji z Tuskiem o przywództwo w partii nie stanął jej wiceprzewodni-

czący i prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Zrobił to, by nie zaprzepaścić szans w przyszłych rozgrywkach o najwyższe stawki. Problemem jest to, że Trzaskowski słabo się orientuje w planach i strategii swego najważniejszego rywala, czyli właśnie Donalda Tuska. Rywala, a nie sojusznika, gdyż pokój zawarty przed tzw. kempusem w Olsztynie i potem szeroko nagłaśniany to tylko przedstawienie. Trzaskowski został przez Tuska właściwie zdmuchnięty, gdy były premier postanowił wrócić do polskiej polityki i przejął władzę

Fot. Andrzej Wiktor x2

w Platformie Obywatelskiej. Co nie oznacza, że prezydent Warszawy pogodził się z losem tego „drugiego”. Tylko nie wyciągnął lekcji z tego, co spotkało w 2014 r. Radosława Sikorskiego, przekonanego, że Donald Tusk załatwia dla niego ważne stanowisko w instytucjach Unii Europejskiej. W tym czasie, ówczesnym, Tusk załatwiał, ale posadę dla siebie, Sikorski zaś został na lodzie.

Donald Tusk zamierza strategię z 2014 r. powtórzyć, Rafał Trzaskowski zaś żyje podobnymi złudzeniami, jak siedem lat temu żył były minister spraw zagranicznych. Złudzeń nie ma za to Grzegorz Schetyna, świetnie Tuska znający, tylko na razie nie ma armat. O ile jednak Schetyna jest nauczony czekać na polityczną okazję, o tyle Trzaskowskiego goni czas. Ma już 49 lat i nie zrealizował ani planów zostania szefem rządu, ani prezydentem RP. Jest o dwa lata starszy od Lecha Wałęsy, gdy ten zostawał prezydentem, o sześć lat starszy od Andrzeja Dudy, kiedy ten obejmował najwyższy urząd, i o osiem lat starszy od Aleksandra Kwaśniewskiego, gdy on zamienił Lecha Wałęsę na stanowisku głowy państwa.

Zegar tyka Trzaskowskiemu jeszcze bardziej niż Donaldowi Tuskowi. Tylko Trzaskowski o tym nie wie albo żyje złudzeniami.

CZYSZCZENIE POLA

Robiąc miejsce dla Donalda Tuska, Trzaskowski nie przewidział, że radykalnie zmienia swoje położenie i znaczenie w Platformie, mimo że pozostaje na stanowisku wiceprzewodniczącego partii. Przed powrotem byłego premiera prezydent Warszawy mógł właściwie wszystko: kierować partią i kandydować na stanowiska prezydenta państwa oraz premiera. Prezydentura Polski przeszła mu koło nosa, ale wciąż był najsilniejszy po stronie opozycji. Dlatego, choć z ociąganiem, budował struktury na przyszłość: fundację Ruch Wspólna Polska oraz samorządowe stowarzyszenie o takiej samej nazwie. Dla przyszłości (własnej) zorganizował Campus Polska Przyszłości. We wszystkie te przedsięwzięcia ingerował Donald Tusk: jako uczestnik bądź ten, kto jest w stanie je przejąć. To właśnie pre-

zydenci miast mieli być największym atutem Trzaskowskiego, lecz Tusk łatwo poparcie dla prezydenta Warszawy odwrócił na swoją korzyść. A potem zaczął robić porządki w strukturach terenowych PO.

Kształt tych porządków ujawnił w wywiadzie dla wrocławskiej „Gazety Wyborczej” (16 października 2021 r.): „W Platformie widzę miejsce dla każdego, kto podziela towarzyszące nam poczucie wielkości zadania, jakiego się podejmujemy. To poczucie nie może mieć jednak związku z ewentualnym pełnieniem jakichkolwiek funkcji”. Czyli wszyscy powinni być przygotowani do pracy na rzecz Tuska, gdyż to jednocześnie praca dla odzyskania przez PO władzy. I nie liczą się wcześniejsze zasługi.

Nikt lepiej nie nadawał się do zilurowania strategii Tuska niż Schetyna: „Grzegorz Schetyna to człowiek, który wciąż ma w sobie sporo energii i siły. Intuicja mi mówi, że zrobi jeszcze wiele dobrych rzeczy, co nie musi być przecież związane z pełnieniem przez niego jakichś funkcji. O te zresztą [...] w zbliżających się wyborach nie zabiega”. Schetyna nie zabiegał, gdyż Tusk zrobił wszystko, by niegdyś jego najbliżsi współpracownicy nie wygrali (z prezydentem Wałbrzycha Romanem Szelemejem). Andrzej Halicki zrezygnował z ubiegania się o kierowanie Mazowszem (na rzecz rzecznika partii Jana Grabca), Robert Tyszkiewicz nie będzie rządził na Podlasiu (zostawił miejsce dla posła Krzysztofa Truszkowskiego, syna prezydenta Białegostoku), a Sławomir Neumann na Pomorzu (na rzecz Agnieszki Pomaski). Pozostał tylko Rafał Grupiński w Wielkopolsce, który prowadzi grę między Tuskiem a Schetyną. Jeśli dodać do tego Cezarego Grabarczyka w regionie łódzkim, Tomasza Lenza w kujawsko-pomorskim, Aleksandra Miszańskiego w Małopolsce, Artura Gieradę w Świętokrzyskiem czy Olgerda Geblewicza w regionie zachodniopomorskim... Widać, że Tusk rozbroił miny i ustawił teren, Trzaskowski zaś nie zyskał nic, mogąc tylko kogoś wesprzeć, jak Romana Szelemeja, swego zwolennika. Tylko nie ma to żadnego praktycznego znaczenia, skoro Tusk „przejął” prezydenta Wałbrzycha.

STRACH TRZASKOWSKIEGO

Rafał Trzaskowski był politycznie najsilniejszy za rządów w PO Borysa Budki. Dlatego tak łatwo zastąpił Małgorzatę Kidawę-Błońską w wyścigu prezydenckim, a po wyborach, mimo że przegranych, mógł w partii robić, co chce. Budka nie był w stanie nic złego prezydentowi Warszawy zrobić, a poza tym Trzaskowski mógł błyszczeć na tle miękkiego, nieporadnego i powszechnie uważanego za tymczasowego szefa partii.

Tak więc przekonanie elektoratu Platformy, że jest w niej tylko jeden samiec alfa, i jest nim Tusk, to największy polityczny błąd Trzaskowskiego. Tym znaczniejszy, że z większości badań wynikało, iż PO zyskiwałaby więcej, gdyby jej przewodniczącym był Trzaskowski. Głównie dlatego, że jest odbierany jako przyszłość partii, Tusk zaś jako jej przeszłość. Może i chwalebna, ale jednak odległa. A usunięcie Schetyny i jego najważniejszych ludzi z kierowania strukturami terenowymi, a byłoby oni naturalnymi sojusznikami Trzaskowskiego, tylko pogarsza jego zasoby i możliwości. Prezydent Warszawy zdaje się nie rozumieć, że Donald Tusk nie gra na nikogo poza sobą. I jeśli kogoś zwalcza, to oczyszczając pole dla siebie, a nie dla kogokolwiek innego.

Przez ponad 11 lat przewodniczenia PO (w latach 2003–2014) Tusk nie wybaczył nikomu, kogo uznał za osobistego wroga. Wypchnął z partii Andrzeja Olechowskiego, Macieja Płażyńskiego, Pawła Piskorskiego, Jana Rokitę, Zytę Gilowską, a wszyscy oni mieli nieporównanie silniejszą pozycję, niż ma obecnie prezydent Warszawy.

Jedynym ocalałym z grona ważnych polityków był Grzegorz Schetyna, choć został zdegradowany. W czasie gdy Tusk urzędował w Brukseli, a Schetyna został wybrany na szefa PO (2016–2020), odbywało się tylko udawanie dobrych relacji, żeby nie demobilizować elektoratu. Powrót Tuska zastał Schetynę w roli szefa struktur PO na Dolnym Śląsku, ale p.o. przewodniczący partii zaczął robić wszystko, żeby Schetyna nie sprawował żadnej funkcji. W wywiadach Tusk kpił ze Schetyny, że ten powinien pracować dla partii bez honorów i stanowisk.

Po okresie kierowania partią przez Borysa Budkę i wiecznego przymierzania się do tej roli przez Rafała Trzaskowskiego Grzegorz Schetyna był realną alternatywą dla Tuska i cennym potencjalnym sprzymierzeńcem Trzaskowskiego. Tusk o tym doskonale wiedział, dlatego chciał dokończyć dzieło niszczenia swego dawnego przyjaciela, a w partii sekretarza generalnego. Schetyna ma niezbędne doświadczenie i wciąż rozległe wpływy, żeby przeciwstawić się Tuskowi, czego nie ma Trzaskowski, choć to prezydent Warszawy jest dla Tuska największym zagrożeniem. I wbrew udawaniu, jak świetne są relacje Tusk-Trzaskowski, są one chłodne. Tusk nie może bowiem dopuścić do tego, by za jego przewodniczenia Platformą Trzaskowski miał taką pozycję jak w czasach Borysa Budki.

Pojawiły się sygnały, że po powrocie Tuska i początkowym mocnym jego uderzeniu w aktywność Trzaskowskiego Grzegorz Schetyna namawiał prezydenta Warszawy do zawiązania sojuszu przeciwko byłemu premierowi. W takim układzie Schetyna prowadziłby wojnę podjazdową, Trzaskowski zaś jawnie rywalizowałby jako lepszy i perspektywiczny lider opozycji. Na Tuska spadłaby odpowiedzialność za przygotowanie PO i opozycji do wyborów, a gdyby opozycja ich nie wygrała, Tusk byłby jedynym odpowiedzialnym. Problemem był jednak strach Trzaskowskiego przed otwartą konfrontacją z Tuskiem i jego mentalna podległość, łatwo wyczuwana przez wyborców.

DRUGI PO PIŁSUDSKIM

Rafał Trzaskowski jest na konfrontację z Donaldem Tuskiem skazany, choćby tego nie chciał i to odwlekał. Powód jest prosty: Tusk nigdy nie zrezygnował z ambicji ukoronowania swojej kariery prezydenturą Polski. Przede wszystkim dlatego, że w wyborach prezydenckich (w 2005 r.) poniósł spektakularną porażkę, i to z Lechem Kaczyńskim. Zniósłby przegraną z każdym, ale nie

z kimś, kto nazywa się Kaczyński. W 2010 r. nie chciał kandydować, bo planował już wtedy swoją europejską karierę, a właściwie planowała ją dla niego kanclerz Niemiec Angela Merkel. Ale przede wszystkim po porażce pięć lat wcześniej wciąż jeszcze się nie pozbierał.

Przez ponad 11 lat przewodniczenia Platformie Donald Tusk nie wybaczył nikomu, kogo uznał za osobistego wroga. Wypchnął z partii Andrzeja Olechowskiego, Macieja Płażyńskiego, Pawła Piskorskiego, Jana Rokitę, Zytę Gilowską. Wszyscy oni mieli nieporównanie silniejszą pozycję, niż ma obecnie prezydent Warszawy, którego też odstawił na bok

W 2015 r., gdy ledwie zaczął urzędowanie w Brukseli na najwyższym formalnie stanowisku w Unii Europejskiej, był skłonny kandydować na prezydenta Polski, lecz musiałby to wybić z głowy Bronisławowi Komorowskiemu, co było właściwie niewykonalne. Ostatecznie uwierzył, że Komorowski wygra, a on sam może poczekać pięć lat, wnosząc wiano w postaci „prezydenta Europy” (żartobliwie nawet „króla Europy”) i ustawiając się materialnie na resztę życia. W 2020 r. nic, nawet pandemia, nie powinno przeszkodzić Tuskowi w ubieganiu się o prezydenturę Polski, a jednak nie wystartował. Głównie ze strachu, że znowu przegra, skoro sondaże wcale mu zwycięstwa nie gwarantowały. Tusk wystartowałby, gdyby prawdopodobieństwo wygranej było wysokie, ale nie było. Gdyby przegrał,

i to po triumfalnym powrocie z Brukseli, byłby politycznie skończony. Do boju stanął Rafał Trzaskowski, czyli kandydat w tamtym czasie nawet silniejszy od Donalda Tuska, z czego były premier zdawał sobie sprawę. Ale Trzaskowski przegrał, a dzięki temu nie zawalił się plan Tuska, by zostać prezydentem. Gdyby Trzaskowski wygrał, byłby oczywistym kandydatem w następnych wyborach i Tusk zostałby z niczym.

Donald Tusk uznał, że w 2025 r. może mieć szansę na zwycięstwo z kilku powodów. Założył, że PiS nie będzie rządziło dłużej niż dwie kadencje, bo to jest w Polsce maksimum tego, co można osiągnąć. A jeśli to on byłby liderem zwycięskiej opozycji w wyborach w 2023 r., miałby prezydenturę w kieszeni, niezależnie od tego, czy przed nią byłby premierem, czy tylko kreatorem szefa rządu. Tym bardziej że PiS musiałoby znaleźć całkiem nowego kandydata i jeszcze go wypromować. No i Rafał Trzaskowski jako kandydat już byłby „trafiony”, czyli naznaczony porażką sprzed pięciu lat. Bez tego „garbu” Trzaskowskiego trudno byłoby odstręczyć od kandydowania czy wręcz mu to uniemożliwić. W efekcie Tusk wy kalkulował, że w 2025 r. będzie miał największe szanse ukoronowania swej kariery funkcją głowy polskiego państwa.

To przesądziło o jego powrocie do polskiej polityki latem 2021 r. i zdecydowało o usuwaniu wszelkich przeszkód na drodze do prezydentury, od „czyszczenia” partii po próbę odgrywania roli tego, kto odzyska dla Polski blokowane pieniądze z funduszu odbudowy oraz subwencje z wieloletniego budżetu. A wtedy Donald Tusk będzie mógł wreszcie odegrać rolę zbawcy triumfalnie wjeżdżającego na białym koniu. I realizującego swoje marzenie o polskiej prezydenturze, co ma uleczyć pozostałe jeszcze kompleksy i zagoić dawne rany. Wtedy byłby politykiem, który po 1918 r. osiągnął najwięcej. Po marszałku Józefie Piłsudskim – jak przynajmniej chciałby się widzieć.



Nie jestem malowaną lalą

Swój temperament mam i wielokrotnie to pokazałam. Nie będę słodko się uśmiechała i udawała, że nie słyszę, jak ktoś próbuje obrażać Straż Graniczną

Zppor. Anną Michalską,
rzeczniką Straży Granicznej,
rozmawia Aleksandra Jakubowska

Ma pani grubą skórę?

Anna Michalska: Tak mówią, ale całą tę sytuację – to, co się dzieje na granicy polsko-białoruskiej, hejt skierowany w naszą stronę – bardzo przeżywam i potrzebuję wsparcia. Gdyby nie to, że codziennie je otrzymuję od moich koleżanek i kolegów, życzliwych obcych osób, które piszą e-maile i podtrzymują mnie na duchu, to myślę, że byłoby mi ciężko. Ale też czuję się w obowiązku stawiania i bronięcia funkcjonariuszy Straży Granicznej, bo się z nimi po prostu identyfikuję.

Co pani czuje, gdy czyta w mediach, że „Anna Michalska kompromituje Straż Graniczną”?

Fala hejtu na moją osobę jest wprost proporcjonalna do tego kierowanego w stronę całej formacji. Wpisuję to w ryzyko zawodowe, bo wychodząc do dziennikarzy, wypowiadając się, staję się osobą publiczną, więc mnie jest najłatwiej skrytykować



GOŚĆ

JAKUBOWSKIEJ

i zaatakować. Rozumiem, że taka jest moja praca, którą zresztą uwielbiam. Czytam te opinie. Jeśli jest to krytyka motywująca, jeśli mogę z niej wyciągnąć jakieś wnioski, to oczywiście staram się to robić, ale jeśli jest to zwykły hejt, to po prostu jest mi przykro i zastanawiam się, skąd w ludziach tyle nienawiści. Z drugiej jednak strony otrzymuję dużo pozytywnych maili, więc też się cieszę, że Polacy są

fajni, mądrzy i dobrzy.

Najpierw krytykowano całą Straż Graniczną, ale im częściej zabierała pani publicznie głos, tym bardziej pani osoba stawała się celem ataków. Spotkałam się z takimi opiniami, że pani nie znosi głupoty i dość emocjonalnie reaguje na tę czasami pojawiającą się w pytaniach dziennikarzy.

Swój temperament mam i wielokrotnie to pokazałam. Na pewno, jeżeli chodzi o to moje komunikowanie się z dziennikarzami, to nie będę malowaną lalą, która przedstawia tylko statystyki, które ktoś jej położył na biurku, bo ja za tymi liczbami widzę moje koleżanki i kolegów, którzy teraz mają bardzo ciężkie służby. To oni słuchają tych imigrantów

i ich historii, podejmują trudne decyzje, więc dla mnie za tymi statystykami kryje się autentyczna ciężka służba. Nie będę słodko się uśmiechała i udawała, że nie słyszę, jak ktoś próbuje nas obrażać. Po to spotykam się z dziennikarzami, żeby odpowiedzieć na wszystkie pytania, bo taka jest moja rola i chciałabym, żeby oni mieli jak najwięcej informacji o tym, co robimy. Ale, tak jak mówię, nie będę miła ani słodka, jeżeli ktoś wielokrotnie zadaje to samo tendencyjne pytanie i próbuje nas dyskredytować.

Ten cały atak na panią właściwie rozpoczął się od pytania o dzieci z Michałowa, kiedy pani z sarkazmem skomentowała „To mój ulubiony temat”. Zarzucono pani brak wrażliwości, arogancję, bo jak można tak odpowiadać dziennikarzom.

Nie ma to nic wspólnego z brakiem empatii, bo mnie tak samo jak wszystkim funkcjonariuszom tych dzieci jest szkoda i zupełnie nie rozumiemy, jak można dzieciaki targać w tak niebezpieczną podróż tylko ze względów ekonomicznych, bo tutaj nie mówimy o ludziach, którzy uciekają przed wojną. Ci, z którymi mamy do czynienia, wprost mówią, że nie chcą pomocy w Polsce, bo w Berlinie dostaną wyższy socjal. Nie jesteśmy w stanie tego zrozumieć, tych dzieci jest mi niezmiernie szkoda, ale kiedy one są z rodzicami, nie możemy ich rozdzielać, a za losy dzieci odpowiadają rodzice, i to oni podejmują decyzje.

A może zamiast się ścierać z dziennikarzami, trzeba by było ich do siebie nastawić pozytywnie, być miłą, sprzedać czasami jakąś sensacyjną wiadomość na wyłączność?

Jestem miła. I to wielu dziennikarzy mówi poza kamerami. Z każdą stacją bardzo dobrze mi się współpracuje, i to od prawa do lewa, dużo rozmawiamy, także o innych sprawach, wymieniamy poglądy, często ich pytam, co myślą o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej, o działaniach przez nas podejmowanych, ale też wielokrotnie zasięgam ich porady. Ale potem, kiedy włączają się kamery, i ja, i oni jesteśmy w pracy.

Rozumiem, że oni mają obowiązek zadać jakieś pytania, które są związane z polityką ich stacji, a niekiedy sprowadzają się do tego, żeby zdyskredytować

i mnie, i Straż Graniczną. Stają więc i podejmują te wyzwania, bo spotkania z dziennikarzami za każdym razem są dla mnie wyzwaniem.

Jeden z pani dialogów z dziennikarką spotkał się z takim komentarzem: „znieczierpliwiona kobieta wbiła palec w oko namolnej dziennikarce”. Oczywiście w przenośni. Czasami ponoszą panią emocje, traci pani cierpliwość i zimną krew?

Nie. Jeżeli są emocje, to są autentyczne i szczerze. Bronię wizerunku funkcjonariuszy Straży Granicznej, ich ciężkiej służby. Za każdym razem mam dużo cierpliwości do tych pytań, ale te same pytania zadawane dziesiątki razy, i to niekoniecznie merytoryczne, bardziej próbujące wywołać sensację, muszą się spotykać z moją zdecydowaną reakcją.

Nie sądzi pani, że to znieczierpliwienie i irytacja dziennikarzy biorą się z tego, że nie mogą wejść w strefę stanu wyjątkowego? Uważa pani, że to jest dobra decyzja, żeby dziennikarzy tam nie wpuszczać?

Rozumiem, że dla dziennikarzy może to być problem i nie dziwię się, że chcieliby na własne oczy zobaczyć, co się na granicy dzieje. Dlatego moją inicjatywą jest robienie briefingów, zapraszanie osób, które mogą udzielić najbardziej wyczerpujących informacji. Zanim został wprowadzony stan wyjątkowy, dochodziło w tej strefie do kuriozalnych zdarzeń. Dziennikarze dostawali mandaty za to, że wchodzili na pas drogi granicznej, mimo że ich przestrzegaliśmy. Nie wiedzieliśmy już w pewnym momencie, kogo mamy pilnować: dziennikarzy i aktywistów oraz innych osób postronnych, które mogą przejść na stronę białoruską i wywołać to jakieś niezamierzone konflikty, czy mamy pilnować, aby nie doszło do nielegalnej migracji przez granicę. Ta sytuacja nie była dla nas wygodna. Odkąd został wprowadzony stan wyjątkowy, zatrzymujemy więcej organizatorów przemytu ludzi, bo jeśli widzimy kogoś obcego w tej strefie, to mamy prawie pewność, że jest to osoba, która przyjechała po imigrantów. Przedtem wszyscy się tam kręcili i trudno było ich wychwycić. Zaczęto organizować happeningi, często w ogóle niezwiązane z sytuacją na granicy.

Chyba najcięższym zarzutem, który pada pod adresem Straży Granicznej, jest oskarżenie, że imigranci, którym uda się przekroczyć granicę, nie mogą wnieść podania o azyl, ochronę prawną, tylko razem z dziećmi są wywożeni i porzucani w lesie. Dlaczego pani nie może powiedzieć dziennikarzom, jak ta procedura wygląda? Gdzie oni konkretnie są odstawiani i jak to wszystko przebiega?

Odstawiani są na linię granicy, czasami w tym miejscu, w którym ją przekroczyli, czasami w innym, bo np. jeśli miało to miejsce na bagnach, to przecież ich tam nie wywieziemy. Takich szczegółowych informacji, gdzie dokładnie mają miejsca te przekroczenia i gdzie są zawrócenia, nie mogę ujawniać, ale proszę pamiętać, że linia granicy to nie tylko las, tam są drogi dojazdowe z jednej i drugiej strony, zabudowania w bliskiej odległości. Nikt nie porzuca dzieci w lesie. Wszystkich imi-



grantów ostrzegamy, że po przekroczeniu granicy zostaną zawróceni, więc oni mają tego świadomość. Od wszystkich osób, które oczekują pomocy od Polski i chcą złożyć wniosek o ochronę międzynarodową, takie wnioski przyjmujemy, tylko że te osoby niekoniecznie chcą pozostać w Polsce. Aktywiści apelują, żeby imigranci wnosili o azyl w Polsce, my ich zabieramy, pytamy, czy chcą złożyć taki wniosek, informujemy, że będą musieli przebywać pół roku w Polsce, a jeżeli nie dostaną azylu, będą deportowani do swojego kraju. I nagle się okazuje, że te osoby nie chcą pozostać w Polsce. Interesują je kraje Europy Zachodniej, wyłącznie z przyczyn ekonomicznych. Skoro ktoś potrzebuje pomocy, ucieka, no to dla mnie jest logiczne, że szuka tej pomocy w najbliższym kraju, gdzie czuje się bezpiecznie.

Powiedziała pani, że nielegalni imigranci są odstawiani w miejsce, w którym przekroczyli granicę. A dlaczego nie można ich przewieźć na normalne przejście graniczne i przekazać białoruskim funkcjonariuszom?

Strona białoruska nie realizuje umowy o readmisji, czyli o odsyłaniu nielegalnych imigrantów do kraju, z którego bezpośrednio przybyli. Jeszcze do ubiegłego roku miało miejsce przekazywanie w ramach tej umowy, teraz strona białoruska twierdzi, że nikt od nich granicy nie przekroczył, oni nie widzą żadnych śladów i z powodu pandemii nie będą tych osób od nas odbierać.

Ma pani możliwość kontaktu z imigrantami, którzy znajdują się w ośrodkach w naszym kraju? Czy oni mają świadomość, że zostali przez przemysłników oszukani, że nie trafili tam, gdzie chcieli?

Tak, cudzoziemcy nam opowiadają, że służby białoruskie zapewniały ich, że droga z Białorusi do Niemiec jest prosta, a przekroczenie polsko-białoruskiej granicy łatwe i oni im w tym pomogą. Zresztą biorą od nich pieniądze, część imigrantów stać na opłacenie przewodnika, który ich przez granicę przeprowadzi, część tylko na doprowadzenie do granicy, czasem dalej jest organizowany transport od granicy do Niemiec. Te osoby czują się oszukane, bo większość z nich chce się dostać do Niemiec, a tu się okazuje, że po drodze jest trudna do sforsowania polsko-białoruska granica. Bardzo dużo umieszczanych w ośrodkach osób chce wrócić do swoich krajów, najczęściej są to obywatele Iraku, i teraz czekają na organizowanie takich lotów, ale to nie jest proste i nie da się tego zrobić szybko.

Czy zdecydowana postawa Straży Granicznej doprowadzi do tego, że ta wzbierająca fala imigrantów zacznie się cofać? Bo teraz, każdego dnia, zwiększa się liczba tych, którzy chcą sforsować polską granicę.

Jestem pełna podziwu dla moich koleżanek i kolegów, ale martwię mnie niezmierzenie te wojenki, które toczymy w Polsce między sobą. W momencie, kiedy powinniśmy czuć aprobatę dla naszych działań i opierać się temu, co nam funduje reżim Łukaszenki, obwinia się Straż Graniczną o skutki działań Białorusi. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie pyta białoruskich ambasad i konsulatów, po co ściągają tych ludzi na teren Białorusi? Nie

obwinia się strony białoruskiej, tylko do nas są ciągle pytania, co my robimy, dlaczego tak się dzieje. A przecież to nie my ściągamy te osoby, nie my obiecujemy im łatwe przejście granicy.

Jak pani trafiła do Straży Granicznej?

Namówił mnie tata. Nie był związany z żadną służbą mundurową, ale uważał, że powinnam spróbować. Kończyłam prawo, myślałam o aplikacji, ale właśnie Straż Graniczna poszukiwała m.in. prawników. Pomyślałam, że spróbuję, może na chwilę, i tak ta chwila trwa.

Ile?

Piętnaście lat.

To rzeczywiście chwila... Od razu została pani oficerem prasowym?

Praktycznie od razu zaczęłam współpracę z rzecznikiem prasowym – przez kilka lat nieetatowo. Nie było oficjalnie komórki do wsparcia rzecznika prasowego, więc były to moje dodatkowe zadania. Zaproponowano mi je, gdyż wcześniej przez rok pracowałam w mediach lokalnych. Okazało się, że dobrze mi idzie, a ja też nie ukrywam, że tę pracę uwielbiam, no i tak to właśnie trwa.

Ale chyba trochę się zmieniło? Przed wybuchem tej hybrydowej wojny Łukaszenki pewnie miała pani znacznie spokojniejszą pracę, może od czasu do czasu zadzwonił jakiś dziennikarz, pisała pani komunikaty, odpowiadała na e-maile, a tu nagle na pierwszej linii medialnego frontu.

Przez większość swojej służby byłam na zewnętrznym odcinku granicy UE, tam dużo rzeczy się działo i sporo było sytuacji kryzysowych, więc doświadczenie mam, a i zainteresowanie mediów było spore. Nie brakowało mi kontaktów z mediami i dzięki temu teraz jakoś daję sobie radę. Każdy dzień jest dla mnie wyzwaniem i każdego dnia czegoś się uczę.

A jak pani odraagowuje stres? Co pani robi w wolnych chwilach, o ile takie w ogóle są?

Ostatnio rzeczywiście jest ich niewiele, ale uwielbiam pływanie i bieganie. Największym przeciwnikiem są moje słabości, więc jeżeli pobijam własne rekordy, to zawsze mam z tego satysfakcję. Choć nie ukrywam, że jeżeli chodzi o sporty, to jestem introwertyczką – lubię trenować w skupieniu, bez wystawiania się na widok innych. Bardzo sobie cenię niezależność, nawet w sporcie, czyli dostosowanie tempa ćwiczeń do własnych potrzeb.

Wiele słów poparcia, nawet pod takimi tekstami, które nie są przyjazne ani dla pani, ani dla Straży Granicznej, można przeczytać w internecie. Widziała pani swój portret namalowany przez jednego z internautów?

Tak. Często też dostaję kwiaty i podziękowania, bardzo mili i sympatyczni ludzie dzwonią również z zagranicy, w Warszawie zatrzymują mnie na ulicy i mówią, że trzymają za mnie kciuki. Nie jestem osobą bezbarwną, mam swój temperament, charakter i myślę, że sporo ludzi to docenia. 



KIERUNKI, SKĄD SĄ SPROWADZANI NA BIAŁORUŚ MIGRANCY





MIGRANCY Z BIAŁORUSI DO POLSKI PRZEZ BIAŁORUSKIE SŁUBY W REJONY NADGRANICZNE



OBYWATELE FEDERACJI ROSYJSKIEJ I CUDZOZIEMCY PRZEZ LATY MIESZKAJĄCY W ROSJI



STREFA STANU WYJĄTKOWEGO:

POWIAT SIEMIATYCKI, POWIAT HAJNOWSKI,
POWIAT BIAŁOSTOCKI, POWIAT SOKÓLSKI,
POWIAT AUGUSTOWSKI, POWIAT SEJNEŃSKI,
POWIAT WŁODAWSKI, POWIAT BIAŁSKI



**FUNKCJONARIUSZE SG
ŻOŁNIERZE, POLICJANCY**

7 000

PEŁNIĄ SŁUŻBĘ NA GRANICY

ŻOŁNIERZE WOT

22 000

W STANIE PODWYŻSZONEJ GOTOWOŚCI



**STRAŻ
GRANICZNA**

Minsk Airport,
Belarus

Łukaszenka w pułapce migracyjnej

Pierwszym symptomem zmiany strategii Mińska w wojnie migracyjnej z Unią Europejską może być decyzja, aby obywatelom krajów takich jak Irak, Jemen, Egipt, Syria, Nigeria czy Iran nie wydawać białoruskiej wizy na lotnisku w Mińsku



MAREK BUDZISZ

Czy Mińsk, wykorzystując migrantów w charakterze narzędzia presji na Unię Europejską, skonstruował pułapkę, w którą sam wpadł? Zdaniem niektórych ekspertów, np. Witalija Cygankowa, mamy do czynienia ze „strategiczną porażką strony białoruskiej w migracyjnej wojnie hybrydowej”. Łukaszenka nie docenił zarówno stanowczości reakcji władz Litwy i Polski, a także, a może w największym stopniu, nie spodziewał się, że inne państwa Unii Europejskiej jednoznacznie poprą politykę Warszawy i Wilna. Inni białoruscy eksperci, tacy jak Walerij Karbalewicz, są zdania, że na takie oceny jeszcze zbyt wcześnie, ale wszyscy są zgodni, że „coś się zmienia”.

Pierwszym symptomem zmiany strategii Łukaszenki w wojnie migracyjnej może być decyzja, aby obywatelom krajów ta-

kich jak Irak, Jemen, Egipt, Syria, Nigeria czy Iran, nie wydawać białoruskiej wizy na lotnisku w Mińsku. Jak się uważa, może to być spowodowane dwiema przyczynami. Albo Łukaszenka przygotowuje grunt do złagodzenia presji migracyjnej na UE, na co wskazywałaby też jedna z jego publicznych wypowiedzi, kiedy oświadczył, że „idzie zima i trzeba pomóc tym biednym ludziom”, albo też chodzi o uniknięcie niekontrolowanego napływu „turystów” z krajów Bliskiego Wschodu. Zwiększenie ich liczby mogłoby się stać problemem dla władz. Zresztą już się staje. Białoruskie kanały społecznościowe pełne są zdjęć uchodźców śpiących w przejściach podziemnych, budynkach dworców czy krążących w miejscach publicznych. Pojawiają się doniesienia o interwencjach milicji, np. w Grodnie, gdzie zatrzymano 24 przyjezdnych z Iraku, którzy nie mieli dokumentów potwierdzających ich prawo do pobytu na Białorusi.

Generalnie rzecz biorąc, społeczeństwo białoruskie, jak uważają socjologowie, z niepokojem zaczęło reagować na pojawienie się w takiej liczbie przybyszów, których napływ jest postrzegany w kategoriach zagrożenia i destabilizacji sytuacji w kraju. A ten wzrost społecz-

nego niepokoju, nawet jeśli nie ujawnił się w publicznych akcjach, jest z punktu widzenia władz czynnikiem niebezpiecznym. Tym bardziej jeśli przybysze zaczną się domagać lepszego traktowania, a perspektywa takiego rozwoju sytuacji jest w coraz większym stopniu realna.

Niezależny portal informacyjny Biełorusskij Partizan donosi, że w sieci pojawiły się wezwania skierowane do przybyłych do Mińska obywateli Iraku, których w całym kraju ma być już obecnie 15 tys., aby ci zorganizowali pokojową demonstrację w centrum miasta. Redakcja skontaktowała się z jedną z organizatorek kampanii – nieujawnioną z nazwiska obywatelką Iraku nazywaną w artykule Faridą, która powiedziała dziennikarzom, że demonstracja jest rzeczywiście planowana, mimo obaw o represje, bo „ludzie znaleźli się w położeniu bez wyjścia”. Dodała: „Ludzie potrzebują pomocy. Nasi bracia umierają na granicy, oszuści ich ograbiają. Dobrzy ludzie tracą wszystkie swoje pieniądze. Żołnierze są agresywni i chcą ich przepchnąć przez granicę”.

Niepokoje nie są Łukaszence potrzebne, bo przygotowuje się do kluczowej z punktu widzenia przyszłości reżimu operacji, jaką jest zmiana konstytucji

i przeprowadzenie referendum. W takich realiach wzrost wewnętrznego napięcia, którego można nie być w stanie kontrolować, nie jest reżimowi potrzebny.

Arsenij Sivitski, białoruski ekspert, dyrektor Center for Strategic and Foreign Policy Studies, jest zdania, że władze w każdej chwili mogą się wycofać z obecnej polityki wywierania na Unię presji migracyjnej. Pretekstem może się stać zarówno „sytuacja humanitarna”, jak i nadciągające chłody, a także zagrożenie związane z czwartą falą COVID-19. Oficjalnie liczba zainfekowanych wzrosła na Białorusi do poziomu niewiele przekraczającego 2 tys. przypadków dziennie, ale białoruskie media niezależne, a na oficjalne mało kto zwraca uwagę, pełne są alarmistycznych informacji o liczonych w dziesiątkach, na jeden szpital, zgonów każdego dnia i wielu tysiącach zarażonych. Brakuje ponad 2 tys. lekarzy, podobnie dolegliwy jest deficyt pielęgniarek i służb ratowniczych, nie mówiąc już o sprzęcie. Nie ma nawet tlenu, aby podawać go chorym. Sytuacja z perspektywy władz jest poważna, bo przypomina wiosnę ub.r., a zdaniem wielu białoruskich socjologów wybuch społecznego sprzeciwu przeciw rządowi Łukaszenki przy okazji prezydenckiej kampanii wyborczej był spowodowany przede wszystkim tym, że Białorusini uznali, iż państwo nie poradziło sobie z pierwszą falą pandemii.

Łukaszenka już publicznie powiedział, że spodziewa się kolejnego wybuchu gniewu społecznego przy okazji zaplanowanego na luty przyszłego roku referendum konstytucyjnego. Do kolejnej odsłony kryzysu politycznego przygotowują się też resorty siłowe. Wadim Sinawskij, kierujący Ministerstwem ds. Sytuacji Nadzwyczajnych, oświadczył nawet niedawno, że być może „strategicznie ważne obiekty trzeba będzie bronić z orężem w rękach”. Nie ustaje też fala represji, zarówno wobec resztek niezależnych mediów, jak i subskrybentów kanałów internetowych uznanych za ekstremistyczne, których hurtowo władze chcą zaliczyć do grona stronników opozycji i represjonować. W tym ostatnim wypadku zdaniem ekspertów chodzi o to, aby ewentualnych zwolenników zmian sterroryzować i zmusić do pozostania w domu. Dwuznaczna

jest też postawa Moskwy. W niedawno opublikowanym raporcie Stowarzyszenie Studiów Polityki Zagranicznej im. Andrieja Gromyki, który sygnowało kilkadziesiąt ekspertów stanowiących zaplecze intelektualne rosyjskich władz, ale również przedstawiciele białoruskiego świata akademickiego, parlamentarzysty i liderzy wspierającego reżim ruchu Biała Ruś, znalazły się zapisy na temat potrzeby „uruchomienia dialogu społecznego na Białorusi” oraz zmiany systemu władzy. Zdaniem autorów dokumentu społeczny bunt, który miał miejsce na Białorusi po ubiegłorocznych wyborach, jest świadectwem „szerokiego społecznego

Spółeczeństwo białoruskie z niepokojem zaczęło reagować na pojawienie się dużej liczby przybyszów, których napływ jest postrzegany w kategoriach zagrożenia i destabilizacji sytuacji w kraju

zapotrzebowania na zmiany”, a nie knowania zachodnich wrogów Łukaszenki, jak głosi oficjalna propaganda. Co więcej, warunkiem przezwyciężenia kryzysu politycznego jest „sformułowanie nowego kontraktu społecznego”, co będzie możliwe tylko, jeśli dialog społeczny obejmie możliwie szerokie warstwy społeczne.

Kilka dni po opublikowaniu tego materiału rosyjska „Niezawisimaja Gazeta”, której redaktor naczelny stał swego czasu na czele komitetu wyborczego mera Moskwy, opublikowała artykuł lidera białoruskich niezależnych związków zawodowych Siergieja Dylewskiego, wchodzącego w skład komisji koordynacyjnej powołanej po ubiegłorocznych wyborach przez sztab Wiktara Babaryki. Dylewski napisał, że jego organizacja jest w stanie przeprowadzić strajk powszechny w białoruskich przedsiębiorstwach, a to, czego się domaga, to „rozpoczęcie społecznego dialogu” i reformy państwa. Sygnały te, zwłaszcza że pojawiły się po ostatnim

spotkaniu Putina i Łukaszenki i po wizycie w Moskwie Victorii Nuland, zastępcy sekretarza stanu USA, w czasie której miała ona rozmawiać również o rozwiązaniu sytuacji na Białorusi, mogą niepokoić reżim w Mińsku. Zaczyna on być coraz bardziej nerwowy i nieobliczalny, o czym świadczy wydalenie z kraju ambasadora Francji, co wydaje się posunięciem irracjonalnym, jako że Paryż zajmował bardzo powściągliwą postawę, jeśli chodzi o politykę UE wobec Białorusi.

Dla reżimu w Mińsku, ale również dla Moskwy, powodem do zaniepokojenia może być też narastające zdenerwowanie władz Niemiec i w związku z tym twardeza

postawa Unii Europejskiej. Horst Seehofer, niemiecki minister spraw wewnętrznych, powiedział publicznie, że władze Białorusi „organizują, w najlepszym razie wspierają” nielegalne strumienie migracyjne, a robią to, w jego opinii, za wiedzą Rosji. „Klucz do rozwiązania problemu leży w Moskwie” – powiedział i wezwał władze państw UE do wspólnego rozwiązania problemu. W podobnym tonie wypowiedział się Heiko Maas, oskarżając reżim Łukaszenki o organizowanie „procederu przemytu ludzi”. W takich warunkach V pakiet sankcji wymierzony w reżim Łukaszenki jest coraz bardziej prawdopodobny.

Berlin jest coraz bardziej zdenerwowany kryzysem migracyjnym, bo jak wskazują ostatnie dane, w trakcie pierwszych siedmiu miesięcy br. zarejestrowano w Niemczech 26 nielegalnych migrantów, a od początku sierpnia już 4322, w większości z Iraku, Jemenu, Syrii i Iranu. Napływ niepożądanych przybyszów rośnie lawinowo, a niemieckie władze źródeł tego zjawiska jednoznacznie upatrują w polityce reżimu Łukaszenki.

Wszystko to razem wzięte może prowadzić do wniosku, że moment przesilenia w kwestii nielegalnych migrantów na granicy Polski z Białorusią jest bliski. Łukaszenka zarówno w obliczu presji, jak i kierując się własnymi rachubami, może uznać, że kontynuowanie konfliktu nie jest mu na rękę. Ale może również, o czym też warto pamiętać, dojść do wniosku, że czas przyspieszyć i jeszcze zwiększyć presję, aby „coś osiągnąć” przed lutym referend.

Tusk cynicznie zasłania się powstańcami

O budowaniu niezależnego ruchu narodowego, zadaniach dla polskich patriotów i oskarżeniach o prorosyjskość Konfederacji, a także o własnym nawróceniu na ideę narodową opowiada **Robert Bąkiewicz** w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Były przewodniczący Rady Europejskiej przemawia na placu Zamkowym, ale przychodzi jakiś Robert Bąkiewicz i go zagłusza. Dla Tuska musiało to być szokujące.

Robert Bąkiewicz: My nie byliśmy tam, by kogokolwiek zagłuszać. Proponowaliśmy dialog z ludźmi, którzy zjawili się na wiecu Tuska. Owszem, krytykowaliśmy byłego premiera i jego postawę, ale nie bez powodu. Jesteśmy świadkami historycznego przełomu, który zaważy na życiu kilku pokoleń Polaków, pchnie Polskę albo na drogę poddaństwa wobec imperialnej polityki Niemiec, albo obrony suwerenności. Chciałem, by ten dylemat wybrzmiał wśród ludzi, którzy są mamieni przez Tuska.

Otoczenie Tuska sprawnie rozegrało obecność warszawskiego powstańca, Wandy Traczyk-Stawskiej, która pana zwyzywała.

Przykre jest to, że Platforma Obywatelska zasłania się powstańcami, bo wie, że polscy patrioci bardzo ich szanują. I tak oto liberalowie, którzy potrafili wyrzucać powstańców z mieszkań w warszawskich kamienicach, nagle mają przypływ uznania dla bohaterów podziemia. A przecież my też opiekujemy się powstańcami, z którymi dzielimy wspólnotę poglądów, jednak nie wzywaliśmy ich na plac.

Dlaczego?

Bo to byłoby cyniczne. Kombatanci zasługują na coś więcej niż używanie ich do bieżącej walki politycznej; są naszymi bohaterami, choć to nie oznacza, że mają we wszystkim rację. Nawet nie wiedziałem, że pani Traczyk-Stawska przemawia – staliśmy kilkaset metrów dalej i po prostu wygłaszaliśmy swoje treści.

To kto tu, na polskim podwórku, jest przeciwnikiem? Jak go scharakteryzować?

Są w Polsce grupy interesów obcych państw i środowisko Platformy Obywatelskiej samo się do tego przyznało. Paweł Piskorski stwierdził przecie, że Kongres Liberalno-Demokratyczny brał pieniądze od Niemców. Tusk wielokrotnie wypowiadał się o Polsce w sposób, nazwijmy to, kontrowersyjny. Jego otoczenie wciąż zdradza, jak gardzi polską prowincją, Sikorski o prawicowcach mówił, że należy dorżnąć watahę. Trudno nie zauważyć tej pogardy, tego jak to liberalne grono czuje się lepsze od innych Polaków, bo współpracuje z zewnętrznymi ośrodkami władzy i ma wrażenie, że nas oświeca i cywilizuje.

Ta krytyka Platformy sprawiła, że liberalowie postrzegają pana jako narzędzie PiS.

Ale my mamy zastrzeżenia również do rządu premiera Morawieckiego. Krytycznie oceniam zgodę Polski na wspólny dług Unii Europejskiej i używanie przez Brukselę narzędzia „pieniądze za praworządność”. Rozumiem, że PiS podejmuje próbę obrony suwerenności, ale mam wątpliwości co do skuteczności tych działań.

Czyli Platformę ocenia pan jako reprezentanta obcych interesów, a Prawo i Sprawiedliwość za... nazwijmy to... niedoskonałego reprezentanta polskich interesów.

Jako działacz społeczny, a nie polityk, mogę sobie pozwolić na niezależne opinie, a przede wszystkim na unikanie takiej plemiennej przynależności – że jak krytykuję PO, to jestem z PiS.

Widoczna jest pańska aktywność w stowarzyszeniu Marsz Niepodległości, które współtworzy największą imprezę patriotyczną w Polsce, w Straży Narodowej, która zatrzymała agresję Strajku Kobiet poprzez obronę kościołów. A Roty Niepodległości? Czym się zajmują?

Naszym największym przedsięwzięciem była Inicjatywa Stop 447. Gdy w przestrzeni publicznej coraz częściej słychać postulaty w sprawie wypłaty odszkodowań za tzw. mienie bezspadkowe, widać presję wywieraną na państwo polskie, postanowi-



liśmy wzmocnić głos sprzeciwu. Nasza inicjatywa obywatelska zakończyła się sukcesem, bo wprowadziliśmy projekt do parlamentu. Mam poczucie, że nowelizacja Kodeksu postępowania administracyjnego, która osłabia roszczenia, jest pokłosiem także naszego działania.

Konfederacja tego rozwiązania nie poparła.

Mam trochę żal do komentatorów politycznych, którzy uznali, że Inicjatywa Stop 447 to sprawa Konfederacji. To było coś innego niż partyjna czy polityczna impreza, my chcieliśmy dać państwu polskiemu dodatkowy argument wzmacniający sprzeciw wobec roszczeń. Władza może powiedzieć: „Polacy się sprzeciwiają, obywatele są świadomi kontrowersyjności roszczeń”. A przy okazji uświadamialiśmy Polaków o istnieniu takiego zagrożenia.

Czym jeszcze się zajmujecie?

Staramy się zabierać głos w ważnych dla Polski sprawach – teraz na przykład w kwestiach energetyki czy działań TSUE. Politycy wszystkich opcji powinni wiedzieć, że istnieją takie środowiska jak nasze, którym zależy na suwerenności, na silnym państwie i na wspólnocie narodowej. W czwartek, 21 października, byliśmy pod siedzibą TSUE w Luksemburgu, by zaznaczyć nasz sprzeciw wobec ingerowania unijnych instytucji w polskie sprawy.

Sprzeciw sprzeciwem, a co z propozycjami, z pozytywnym programem?

Niedawno sformułowaliśmy postulat, by emigrantom wracającym do Polski zaproponować pięć lat bez podatku, aby ułatwić im nowy start w kraju. Popieramy też pomysł zerowego PIT dla rodzin wielodzietnych, co ma być wprowadzone w Polskim Ładzie. Adam Bielan mówi o tej uldze dla rodzin z czwórką dzieci, my byśmy widzieli to już od trzeciego dziecka. To są bardzo ważne kwestie demograficzne, które mogą powstrzymać procesy migracyjne.

Pański sceptycyzm wobec imigracji dotyczy ludności muzułmańskiej czy migracji w ogóle?

Uważamy, że masowa imigracja dotyczy nie tylko przybyszów z krajów arabskich, lecz także z wschodniej granicy. Idzie o zmianę etniczną, ale też zmianę standardów. Polacy szukają wyższego poziomu życia na Zachodzie, a tutaj, na miejscu, chcą korzystać z taniej siły roboczej – to antyinnovacyjne i krótkofalowe podejście.

Poza tym nowi mieszkańcy w większości nie czują przynależności do państwa polskiego, a rząd robi niewiele, by ci ludzie w drugim lub w trzecim pokoleniu stali się po prostu Polakami.

I jest jeszcze kwestia bezpieczeństwa. Wiadomo, że w tak dużej masie imigrantów mogą się znaleźć ludzie z ukraińskich czy rosyjskich służb i w sytuacji napięć międzynarodowych powiedzieć się przeciwko Polsce.

Z tego, co pan mówi, to jesteście przeciwni PO, ostrożni wobec PiS, ale pasujecie do Konfederacji.

Nie zgodziłbym się z tym. Przede wszystkim jesteśmy krytyczni wobec liberalnego skrzydła Konfederacji. Uważamy, że liberalizm jest ideologią, której pokłosem jest dzisiejszy kryzys cywilizacyjny. Pod tym względem – narodowcy z jednej strony, a liberalni korwiniści z drugiej – Konfederacja jest niespójna. Część tego ugrupowania jest progresywna, bo akceptując liberalizm w przestrzeni ekonomicznej, dopuszcza konsekwencje społeczne, przemiany obyczajowe. W Ruchu Narodowym dostrzegam pewną uległość wobec postulatów Janusza Korwina-Mikkego, co kończy się np. tym, że Konfederacja broni stacji TVN.

Ze względu na wolny rynek.

Z punktu widzenia narodowego taka życzliwość dla TVN jest nietrafiona. Jest to stacja oparta na obcym kapitale i realizująca interesy nie polskie, ale obce. Umiem sobie wyobrazić scenę, w której podczas wojny zagraniczne media w Polsce podają nieprawdziwe informacje – np. że wojska rosyjskie są już w Mińsku Mazowieckim, gdy tak naprawdę idą na przesmyk suwalski. To normalne, że państwa chcą mieć wpływ na swoje bezpieczeństwo informacyjne, Polska nie powinna być tutaj wyjątkiem. Poza tym TVN działa dez-



Fot. Andrzej Wiktor

integrująco na wspólnotę narodową, tworząc kolejne przestrzenie podziału Polaków. Wszystkie te progresywne treści podmywają fundament kulturowy i obyczajowy Polaków.

Konfederacja schowała się także w czasie Strajku Kobiet.

Właśnie przez sojusz z liberałami. Gdyby prześledzić głosowania Konfederacji, to się okaże, że tam nie ma wspólnego stanowiska w bardzo wielu sprawach, a tymczasem ja chciałbym budować spójne środowisko narodowe.

Włączy się pan w działalność partyjną? Będzie kandydował do Sejmu?

Jest za dużo do zrobienia w działalności społecznej, by iść do polityki. Tworzyć środowiska patriotyczne, wpływać na polityków oraz inspirować zmiany można właśnie poprzez prężne stowarzyszenia. Wchodząc w rolę polityka, traci się pewne narzędzia, a dla wielu Polaków traci się wiarygodność.

Moje środowisko miało znaczny wpływ na powstrzymanie marszu Trzaskowskiego po prezydenturę. Ten kluczowy elektorat narodowy poszedł oddać głos na Andrzeja Dudę, nawet gdy w wielu sprawach się z nim nie zgadzał. Lepszy jednak taki prezydent niż awangarda progresyistów – Trzaskowski.

Powojenna Polska nie miała szczęścia do narodowców. Nacjonalistyczna prawica okazywała się często zakorzeniona w PRL (Bolesław Piasecki), prowokatorska (Bolesław

Tejkowski) albo lądowała w salonie III RP (Roman Giertych). Liderzy takich ruchów okazują się narodowcami jedynie z nazwy?

Znam pańskie liczne krytyczne materiały na temat środowiska narodowego, ale w większości z tymi opiniami się nie zgadzam. O moich kolegach z Ruchu Narodowego nie mogę powiedzieć, że działają z jakąś konsekwencją na szkodę państwa polskiego, natomiast mogę powiedzieć, że działają tak jak wszystkie partie – czyli plemiennie.

Co to znaczy?

Konfederacji zdarza się krytykować nawet te dobre rozwiązania rządu tylko dlatego, by brać udział w tej plemiennej wojnie w Polsce. Punktowanie każdego posunięcia PiS może się podobać liberalnym mediom, ale od ruchu narodowego powinniśmy wymagać więcej niż przewidywalnej kopaniny politycznej. Środowiska narodowe powinny umieć wspierać władzę w tych dobrych posunięciach, a nie tylko krytykować dla odróżnienia się i zbierania poparcia wśród niezadowolonego elektoratu.

Poglądy liderów ruchu narodowego są zbieżne z rosyjskim punktem widzenia?

Często pojawiają się takie agresywne ataki na narodowców, ale proszę zrozumieć, że jakiegokolwiek próby wskazywania polityki zagranicznej innej niż prounijna i proamerykańska kończą się oskarżeniami tego typu i wy-

zwiskami, że Konfederacja to „ruskie onuce”. Tymczasem ostatnio to prezydent Duda odwiedził Turcję w poszukiwaniu innego sojusznika. Strategia spod znaku bycia „junior partnerem” USA się nie sprawdziła.

Chodzi mi o coś więcej. Ruchy nacjonalistyczne we wszystkich państwach postkomunistycznych i postsowieckich były spenetrowane przez dawne służby i nie ma powodów przypuszczać, że Polska stała się chlubnym wyjątkiem.

Nie wszystko mi się w Ruchu Narodowym podoba, czasem jestem postrzegany jako polityczna konkurencja dla nich, ale ja znam Krzysztofa Bosaka i Roberta Winnickiego i nie mogę powiedzieć, by byli inspirowani przez Rosję.

Po co więc udzielają wywiadów rosyjskiej agencji Sputnik? To nie są zwykłe media, tylko konkretne narzędzie dezinformacji Kremla.

Jest to poważny błąd, tak jak błędem jest koalicja z liberałami. Nie chcę się jednak skupiać na punktowaniu Konfederacji. Oni idą swoją drogą, a ja swoją – pracy organizacyjnej i społecznej, tworzeniu środowiska, które może coś zdziałać dla Polski bez mandatów w Sejmie. W moim ruchu, w Straży Narodowej czy w Rotach Niepodległości, są nie tylko wyborcy Kon-

federacji, lecz także sympatycy Prawa i Sprawiedliwości czy innych partii. Spotykam się z tymi, którzy chcą silnej Polski i których nie określa jedynie poparcie dla któregoś polityka. I to jest moim

zdaniem klucz do rozwoju ruchu narodowego – łączenie, a nie dzielenie, aktywność społeczna, a nie partyjna

jest moim zdaniem klucz do rozwoju ruchu narodowego – łączenie, a nie dzielenie, aktywność społeczna, a nie partyjna.

Kim był Robert Bąkiewicz, zanim stał się jednym z liderów narodowców?

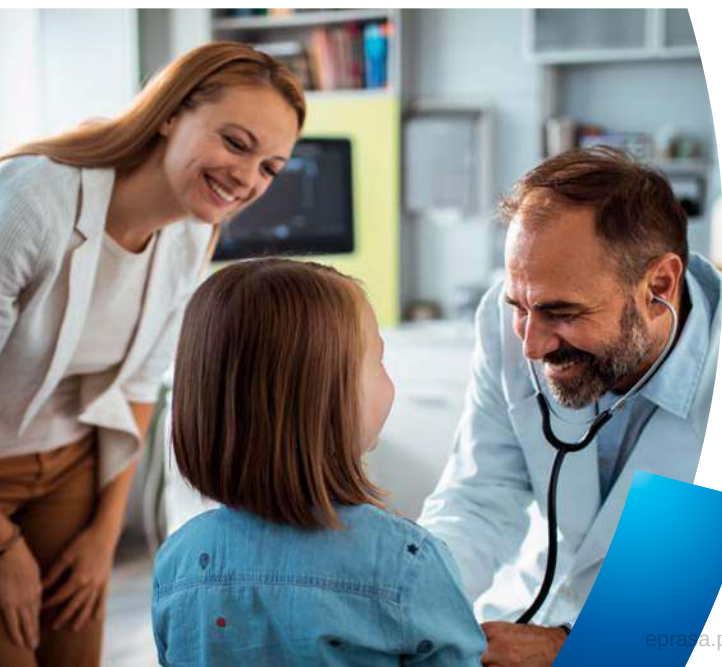
Myślę, że wkraczając w dorosłość w drugiej połowie lat 90., uległem tej liberalnej amerykańskiej kulturze, która kazała się bogacić, pracować

i wygodnie żyć, skupiając się tylko na sobie. Byłem przedsiębiorcą, który tak definiował życiowy sukces. Ale w pewnym momencie w moim życiu osobistym nastąpił zwrot i poczułem, że trzeba się zająć czymś więcej niż tylko sobą. Duże znaczenie miało dla mnie uczestnictwo w Marszu Niepodległości, już wcześniej przeszkadzała mi coraz bardziej liberalna obyczajowo kultura, zrozumiałem, że trzeba bronić wspólnoty narodowej, a nie tylko najbliższego otoczenia.

Liberałowie mówią, że dostał pan od PiS 3 mln zł i za to kupił sprzęt, którym zagłuszył Tuska.

[Śmiech] Gdybym kupił sprzęt do zagłuszania Tuska, to byłby dużo lepszy niż ten ostatnio. Moje stowarzyszenie dostało pieniądze z Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej Dmowskiego i Paderewskiego w sposób legalny i formalny. To i tak kropla środków dla patriotycznych organizacji w morzu funduszy, jakie z międzynarodowych i zagranicznych ośrodków płyną do środowisk LGBT, pseudoekologicznych i innych. Ja się tymi kłamstwami liberałów nie przejmuję, niech oni uprawiają swoją propagandę, a my, narodowcy, zajmujemy się obroną wartości i pracą organizacyjną dla Polski.

REKLAMA



ZDROWIE

**Bo zdrowie
jest najważniejsze**

Centra Medyczne PZU Zdrowie



lekarze
specjaliści



badania
diagnostyczne

Szczegóły oferty naszych placówek: pzuzdrowie.pl

eprasa.pl 7279f75305

Rewolucja w sądownictwie

Zapowiadane przez Jarosława Kaczyńskiego zmiany w sądownictwie to nie kosmetyka, ale prawdziwa rewolucja, której jak ognia boją się dziś skrajnie upolitycznione środowiska sędziowskie. Założeniem zmian jest powrót do reform, które utknęły w labiryncie unijnych intryg i urzędniczej niemocy



WOJCIECH BIEDROŃ

Zarysowane przez Jarosława Kaczyńskiego zmiany polegają w skrócie na likwidacji samodzielnych sądów rejonowych i włączeniu ich do sądów okręgowych. Prezes PiS mówił też o likwidacji sądów apelacyjnych i zastąpieniu ich sądami regionalnymi. Tych będzie więcej niż obecnie sądów apelacyjnych, których jest w Polsce zaledwie 11. Sąd Najwyższy zostanie liczebnie zredukowany. Tak w zarysie wygląda plan Zjednoczonej Prawicy na reformę. Większość projektów jest znana, ale wciąż trwają nad nimi prace, konsultacje i dyskusje.

DLACZEGO TERAZ?

By zrozumieć istotę zmian zaproponowanych przez Jarosława Kaczyńskiego, należy się cofnąć w czasie. W 2017 r. przeprowadzono reformę Krajowej Rady Sądownictwa, zmiany dotyczyły też Sądu Najwyższego. Weta prezydenckie przystopowały jednak nurt reform. Wpłynęło na to miał także konflikt z Komisją Europejską, który pomimo dobrej woli polskiego rządu nie został rozwiązany.

Fiasko rozmów z Brukselą, kolejne orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej oraz rebelia „kasty” sędziowskiej paradoksalnie przyspieszyły reformę sądownictwa. Zaniechane cztery lata temu zmiany wejdą teraz w życie. Oczywiście prace nad ostatecznym kształtem wciąż trwają.

– Ustawy reformujące sądy powszechne i Sąd Najwyższy są gotowe, czekają jedynie na zatwierdzenie przez kierownictwo

polityczne Zjednoczonej Prawicy – mówi nam Sebastian Kaleta, wiceminister sprawiedliwości. – Zmiany te były planowane od początku reformy w sądownictwie, ale wskutek rozmów prowadzonych z Unią Europejską zostały wstrzymane. Mają one spowodować m.in., by rozłożenie prowadzonych spraw pomiędzy sędziami było maksymalnie równe. Chodzi też, by ograniczyć liczbę stanowisk funkcyjnych w sądach poprzez ujednolicenie struktury. Dzięki temu szybciej będzie można rozpatrywać sprawy – twierdzi Kaleta.

– Zmiany w Sądzie Najwyższym mają związek z chaosem, który panuje w tym sądzie i który jest skutkiem działań sędziów, którzy kwestionują porządek ustrojowy Rzeczypospolitej. Ta reorganizacja ma też przyspieszyć sprawność rozpatrywania skarg kasacyjnych poprzez przeniesienie ich na poziom sądów regionalnych – dodaje wiceminister sprawiedliwości.

AWANS SĘDZIÓW REJONOWYCH

Prezes PiS zapowiedział, że dojdzie do spłaszczenia struktury sądownictwa. Znikną sądy rejonowe, które staną się wydziałami sądów okręgowych. To w oczywisty sposób spowoduje awans sędziów rejonowych do okręgu, co oznacza wzrost ich zarobków i ugruntowanie statusu. I właśnie status sędziów rejonowych odgrywa tu najważniejszą rolę. Ci przez lata byli traktowani z góry przez swoich kolegów z sądów okręgowych i apelacyjnych. Tymczasem to na barkach sędziów sądów rejonowych opiera się dziś polskie sądownictwo. To właśnie oni pracują najciężej, na pierwszej linii.

Zmiany dotyczące sędziów były od dawna postulowane przez te środowiska sędziowskie, które nie uczestniczyły w politycznej wojnie stowarzyszeń Iustitia i Themis. Dlatego tzw. kasta sędziowska jest przerażona zapowiedzią reformy. Ślusznie rozumie, że nowe propozycje zostaną zaakceptowane przez większość ich kolegów z sądów rejonowych. „Uważam, że ta reforma nie powinna wywołać żadnych buntów, bo to jest reforma dla sędziów w oczywisty sposób korzystna” – przekonywał prezes PiS.

Zmiana struktury sądów spowoduje, że „kasta” zostanie zrównoważona sędziami sądów rejonowych, którzy nie mają czasu ani ochoty toczyć wojny z demokratycznie wybraną władzą. Wzrosną ich zarobki, nareszcie będą mieli wpływ na kształtowanie systemu sądowniczego. Jest szansa, że spór i chaos wprowadzone przez upolitycznionych sędziów nareszcie się zakończą. Sądy regionalne, które zastąpią sądy apelacyjne, także rozbiją zwartą strukturę zbuntowanej części środowiska sędziowskiego. Spłaszczenie struktury to także lepszy dostęp do sądu dla obywateli.

ZDANIEM SĘDZIÓW

– Spłaszczenie struktury i jednolite stanowisko sędziowskie to są idee przewodnie reformy sądownictwa powszechnego, które są dyskutowane w środowisku od wielu lat. Te dwa elementy uważam za absolutnie kluczowe. Ich realizacja pozwala wyeliminować wiele patologii w wymiarze sprawied-

liwości. Jednolite stanowisko sędziowskie powoduje, że nie ma sędziów lepszych i gorszych. Dzisiaj jest tak, że niektórzy sędziowie od lat zajmują się wyłącznie kontrolowaniem decyzji procesowych swoich koleżanek i kolegów. Przy ujednoliconym stanowisku może się okazać, że sytuacja będzie odwrotna. To zupełnie zmieni perspektywę i spowoduje, że nie wytworzy się w wielu z nich poczucie nieomyślności, a to z niego oraz poczucia bezkarności bierze się myślenie w kategoriach „nadzwyczajnej kasty”. Ta „kasta” istnieje i składa się w większości właśnie z sędziów instancji najwyższych oraz odwoławczych – ocenia sędzia Łukasz Piebiak, były wiceminister sprawiedliwości.

Sędzia przekonuje też, że spłaszczenie struktury jest kwestią uelastycznienia systemu: – Dzisiaj mamy 375 sądów powszechnych podzielonych na rejonowe, okręgowe i apelacyjne. Jeżeli tę strukturę się spłaszczy, a do tego w miejsce niekiedy mikroskopijnych sądów powstaną większe, będzie można w sposób elastyczny dysponować kadrą sędziowską. Konstytucja zakazuje przenoszenia sędziego bez jego zgody, chyba że dzieje się to na skutek orzeczenia sądu dyscyplinarnego. To oznacza, że jeżeli w jednym sądzie jest gigantyczny napływ spraw, a w drugim niewielki, to niemalże nic z tym nie można zrobić, by wspomóc ten potrzebujący. System jest skrajnie nieelastyczny. Dlatego słowa prezesa Kaczyńskiego pokazują dobry kierunek zmian. Jeżeli powstaną sądy z większą pulą sędziów, to rzeczywiście będzie można lepiej alokować zasoby.

Były wiceminister sprawiedliwości zwraca też uwagę na fakt powstania w przyszłości sądów regionalnych, które – jak się wydaje – zastąpią dzisiejsze sądy apelacyjne. Jest przekonany, że powstanie więcej sądów regionalnych niż obecnie działających apelacyjnych, których jest zaledwie 11.

– To oznacza, że często trzeba jechać do tego sądu bardzo daleko. Nie jest to problem, jeśli mamy do czynienia ze sporem korporacyjnym czy rozliczeniami bogatych obywateli. Takie strony sobie zawsze poradzą. Stać ich będzie na przyjazd do odległego miasta. Gorzej, że sądy apelacyjne rozstrzygają typowe sprawy

zwykłych Polaków, takie jak rozwody czy separacje albo sprawy z zakresu ubezpieczeń społecznych. Dlatego z punktu widzenia obywatela jest korzystne, by tych sądów drugiej instancji było więcej niż dzisiejszych sądów apelacyjnych – przekonuje sędzia Piebiak.

Wtórzuje mu sędzia Piotr Schab: – Ja osobiście, jako prezes Sądu Okręgowego w Warszawie, obejmujący swym nadzorem także sędziów sądów rejonowych, jestem gorącym zwolennikiem umożliwienia rozwoju zawodowego sędziom o mniejszym stażu, tym wykształconym w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury. Prezentują oni bardzo wysoki poziom merytoryczny i odmawianie im prawa do karier poprzez najoogólniej formułowany argument o braku „doświadczenia zawodowego” jest całkowicie chybiony. Są to ludzie gotowi do prowadzenia spraw najtrudniejszych i uważam, że ich rola w polskim sądownictwie powinna zostać podniesiona.

PROBLEM Z SĄDEM NAJWYŻSZYM

W założeniach nowej reformy zmienia się też Sąd Najwyższy. Ze słów Jarosława Kaczyńskiego wynika, że ma być on kadrowo okrojony. Obecnie pracuje w nim ponad 90 sędziów. Ilu pozostanie? Z naszych nieoficjalnych ustaleń wynika, że będzie ich około 20. Ta liczba nie jest jeszcze oficjalnie potwierdzona, gdyż prace nad projektem ciągle trwają. Co z sędziami, których kadencja nie zakończy się przed zmianami? Tu także pojawia się kilka pomysłów. Jednym z nich jest przeniesienie ich (wraz z pełnym uposażeniem) w stan spoczynku. Tu pomóc może art. 180 pkt 5 konstytucji, który mówi, że „w razie zmiany ustroju sądów lub zmiany granic okręgów sądowych wolno sędziego przenosić do innego sądu lub w stan spoczynku z pozostawieniem mu pełnego uposażenia”. Inny pomysł, o którym usłyszeliśmy, polega na propozycji przeniesienia sędziów SN do sądów regionalnych. Jedno jest pewne – Sąd Najwyższy nadal będzie orzekał w kwestii ważności wyborów oraz w sprawach dyscyplinarnych, gdyż likwidacja Izby Dyscyplinarnej nie będzie oznaczała bezkarności „kasty” sędziowskiej.



Sylwia Spurek



Grzegorz Braun

Dzieci Palikota

Z jednej strony współczesna „iwasiówszczyzna”, z drugiej przyznanie praw publicznych profanacji i bluźnierstwa – to trudne do przecenienia polityczne dzieło Palikota. Odmieniło ono polską politykę głębiej, niż mogłoby się jeszcze niedawno zdawać



JAN ROKITA

To było już dawno, przeszło dekadę temu, po premierze w jednym ze sławnych polskich teatrów. Z dość naiwną chęcią zrozumienia zapytałem reżysera, dlaczego w jednej z ważnych scen przedstawienia bohater wygłasza długą kwestię... wisząc na jakimś scenicznym urządzeniu głową w dół. Zawsze lubiłem teatr posługujący się moc-

nymi środkami wyrazu, bo „teatralne” to przecież równoznaczne z „przesadne”. Ale tym razem nie umiałem w treści sztuki znaleźć żadnego wytłumaczenia dla tak drastycznego dyskomfortu aktora, któremu krew uderzała do głowy i mimo starań miał trudności z artykulacją tekstu. Reżyser (ze znanym dziś i uznanym nazwiskiem) ucieszył się moim pytaniem. „Widzi pan! – odrzekł. – Nikt dotąd nie wymyślił takiej sceny w teatrze, ja jestem pierwszy. I udało mi się przyciągnąć pańską uwagę. O nic więcej tu nie chodziło. I niech pan nie próbuje niczego rozumieć, bo w teatrze przecież nie o to chodzi”. Jak widać, wziąłem sobie do serca tamtą odpowiedź i pamiętam ją niemal słowo w słowo, po upływie sporej liczby lat.

PIĘTNO BŁAZNA

Bliskie pokrewieństwo teatru i polityki – to w kulturze zachodniej truizm, co najmniej od dwóch i pół tysiąca lat. Wiadomo więc, że przemiany konwencji obowiązujących w teatrze i polityce oddziałują na siebie nawzajem. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy ów zyskujący naonczas sławę reżyser wpadł na pomysł, aby dla przyciągnięcia uwagi kazać aktorowi wygłaszać monolog w pozycji wiszącej, głową w dół, ówczesny poseł Platformy Obywatelskiej Janusz Palikot, z identyczną motywacją, kładł na stole w programie TVN24 ociekający krwią świński leń, odgrywając przy tym scenę błagań skierowanych



Franciszek Sterczewski



Klaudia Jachira

do Lecha Kaczyńskiego, aby ten złożył prezydenturę. Lech świński nie miał wiele wspólnego z dymisją prezydenta, podobnie jak wiszenie aktora z fabułą tamtej sztuki. Nie mam całkowitej pewności, czy w Polsce to teatr inspirował przełom konwencji w polityce, czy też było odwrotnie. Choć pamiętając szukające rozgłosu przez skandal, także przez pornografię, spektakle pewnego sławnego w tamtych latach warszawskiego teatru, mam wrażenie, że Palikot – człowiek obyty i inteligentny, niewątpliwie ojciec komedianckiego stylu w polskiej polityce, mógł być wtórny w swoim konceptie wobec zyskujących w tamtym czasie rozgłos reżyserów teatralnych.

O Palikocie, w latach jego największego politycznego powodzenia, pisano zazwyczaj jako o błaznie. Ta ówczesna potoczna opinia brała się z niedoceny znaczenia, jakie ów niby-błazen miał dla gruntownego przeobrażenia polskiej polityki. Dziś widać, że w ciągu dwóch minionych dekad XXI w. nie było w Polsce – oczywiście poza Kaczyńskim i Tuskiem – innego polityka, który tak mocno i tak trwale wpłynąłby na kształt polskiego życia publicznego. Jeśli z dzisiejszej perspektywy szukać polityka, który dokonał przełomu dającego skrajnej wulgarności prawo obecności

na scenie publicznej na równi z wszystkimi tradycyjnymi formami politycznej ekspresji, wiadomo, że jednoznaczna odpowiedź brzmi: to Palikot. A jeśli z naszym dzisiejszym bagażem doświadczeń zapytać, kto amorficzną antyreligijną ruchawkę połączoną z profanowaniem krzyża jako pierwszy przekształcił w zorganizowane polityczne przedsięwzięcie skierowane przeciw polskiemu katolicyzmowi, by w ten sposób spróbować dobić się władzy – równie pewna odpowiedź brzmi: to Palikot.

FANATYCY

Z jednej strony współczesna „iwasiówszczyzna”, z drugiej przyznanie praw publicznych profanacji i bluźnierstwa – to trudne do przecenienia polityczne dzieło Palikota. Odmieniło ono polską politykę głębiej, niż mogłoby się jeszcze niedawno zdawać. Ale od czasu jego prowokacyjnych wystąpień w różowej marynarce, z wywieszonym językiem i modelem penisa w dłoni, ciągnie się też za polską polityką marzenie o łatwej politycznej sławie i karierze, jaką można by zrobić dzięki skandalowi czy efekciarstwu.

W jakimś sensie dziećmi Palikota są polityczni fanatycy, którzy mniemają,

że ich skrajne idee są tylko dlatego nieprzyjmowane przez większość, gdyż nie mogą się przebić z powodu panującej zмовy milczenia na ich temat. Dlaczego utalentowany reżyser filmowy Grzegorz Braun, który został posłem Konfederacji, z trybuny parlamentarnej nawołuje do batożenia gejów, zapowiada przyszłą karę śmierci ministrowi zdrowia (którego zresztą niekonsekwentnie uważa za chorego psychopata) i co dwa tygodnie wywołuje widowiskowy happening usuwania go z sali sejmowej za nieprzestrzeganie wymogów epidemicznych? I dlaczego zdolna prawniczka Sylwia Spurek, wybrana na lewicową europosłankę, zapowiada nam co rusz, a to że będziemy się jeszcze ciężko wstydzić tego, iż jemy jajka i pijemy mleko, a to że doprowadzi do całkowitego zakazu łowienia ryb?

To jasne. Bo polityczny fanatyk musi mieć odwagę bycia skandalistą, aby wytworzyć wokół siebie aurę plebejskiej ciekawości wobec odmienca. Jednak co charakterystyczne, prawdziwi fanatycy samych siebie i swoje szalone idee traktują nazbyt serio, aby w pełni podążyć tropem Palikota, czyli wejść w rolę organizatora ludycznych happeningów. Ich błąd polega na tym, że owszem, chcieliby szokować, ale wiara w powagę idei, które głoszą, zmusza ich do zachowania ponurego i pryncypialnego stylu działania, tak charakterystycznego zresztą od wieków dla fanatyków. Sam Palikot nigdy fanatykiem, nawet

w najmniejszym stopniu, nie był. Owszem, po zerwaniu z Tuskiem otoczył się antyreligijnymi obsesjonatami po to, by zbudować pierwszą w Polsce partię walczącą z chrześcijaństwem. Ale sam był przecież cynikiem próbującym tych wszystkich sztuczek tylko jako sposobu na polityczną karierę.

KOMEDIANCI

Przeciwieństwem fanatyków są komediani. Oni też są w polskiej polityce dziećmi Palikota, tyle że brak im już jego cech diabolicznych: odwagi, inteligencji i wyrafinowania w posługiwaniu się metodą skandalu. Można by ich nazwać postpalikotowymi prostaczkami, którzy od mistrza (coś jakby kot Behemot od messer Wolanda) przejęli zamiłowanie do happeningu, sztuczki i zabawy jako sposobów na publiczne istnienie. Dzisiejsi „młodzi” platformersi, tacy jak najślawniejsi spośród nich – posłowie Klaudia Jachira czy Franciszek Sterczewski (oboje rocznik 88), nie są już ani wyzywająco wulgarni, ani jakoś szczególnie przebiegli, ani też nie uderzają spektakularnie bardziej niż inni w utrwalone wartości wspólnoty, po to by wzbudzić szok i skandal. W ich happeningach nie ma niczego z demoniczności, raczej bliższe są one szkolnym psotom albo infantylnym wygłupom.

Sterczewski będzie szczęśliwy, jeśli uda mu się chwilę uciekać przed strażnikami na granicy, co sfilmują kamery telewizyjne, albo wzbudzi medialną debatę na temat swoich butów, założonych na uroczystą inaugurację parlamentu. Do tych sztubackich happeningów poseł będzie mógł potem dorabiać ideologię humanitaryzmu (na granicy) albo własnej „nowej definicji kultury wysokiej” (jak będzie z całą powagą opowiadać o butach).

Z kolei Jachira wyrecytuje z patosem z trybuny sejmowej własną przeróbkę „Roty”, wstawiając tam Rzepicę zamiast Piasta, PiS zamiast Niemca, no i w końcu Tuska i Lempart zamiast Pana Boga. Ale nawet ta ostatnia podmiana, niby intencjonalnie bluźniercza, w wydaniu posłanki jedynie rozwesela, zwłaszcza gdy (w nagraniu, które właśnie odsłuchałem

na YouTube) po skończonej prezentacji poetyckiej słychać ciche westchnienie prowadzącej obrady wicemarszałek Gosińskiej: „O mój Boże!”.

Tym niemniej widać, ile satysfakcji czerpią owi posłowie komediani z tego, że ich dość ubogie happeningi nabierają rozgłosu i są zwielokrotniane komentarzami w sieci oraz w telewizyjnych kanałach informacyjnych, niczym jakieś wystąpienia Tuska czy Kaczyńskiego. Całkiem zresztą możliwe, że komediani stawiają sobie dość pragmatyczne cele, które chyba udaje im się osiągać. Chcą być wyświetleni na smartfonach nastolatków, którzy za dwa lata pójda po raz pierwszy głosować i może nawet oddadzą na nich głos, bo na kogo w końcu mają go oddać, jak nie na happenerów, którzy choć już podstarzali (mają po 33 lata), to przynajmniej słabo się mogą kojarzyć z dorosłością.

O ile fanatycy występują z reguły w małych partiach skrajnych (Lewica, Konfederacja), o tyle komediani są specjalnością PO. Aż trochę dziw, że zamiłowania do happeningu nie widać w ogóle pośród najmłodszych posłów pisowców

NIE W ICH STYLU

O ile fanatycy występują z reguły w małych partiach skrajnych (Lewica, Konfederacja), o tyle komediani są specjalnością Platformy. Aż trochę dziw, że zamiłowania do happeningu nie widać w ogóle pośród najmłodszych posłów pisowców. Przejrzałem ostatnio pokrótce w sieci dossier na temat najmłodszych wiekiem posłów PiS: Roberta Gontarza (rocznik '93), Jacka Ozdoby, Jana Kanhaka czy Anny Gembickiej (wszyscy rocznik '91). I muszę przyznać, że wiedza, jaką na ich temat dysponuje opinia publiczna, sprowadza się w większości do nudnawych, politycznych wypowie-

dzi naśladowujących język starych polityków. No, może z wyjątkiem wiceminister Gembickiej, która robi wrażenie swoimi profesjonalnymi wystąpieniami na temat biznesu i pieniędzy. I jeszcze barwną anegdotą na temat posła Kanhaka, który procesem sądowym próbuje dowiedzieć, iż nie spotykał jakiegos tam działacza lewicy w krakowskim klubie gejowskim (jak ów złośliwie rozgłasza). W każdym razie widać wyraźnie, że pod tym względem dwie wielkie partie są najzupełniej od siebie odmienne.

Sam Palikot zaczynał swoją komediacką karierę w PO pod czujnym okiem Tuska, a jego spuścizna happeningu, jako metody politycznej, pozostała uprzywilejowanym dziedzictwem tej partii. Młodzi politycy PiS nie mają żylki do takiego stylu uprawiania postmodernistycznej polityki.

Czy Platforma ma jakiś polityczny zysk ze swoich młodych posłów komedianów? Chyba niewielki albo zgoła nawet żaden. Jachira jest częścią „dobrodziejstwa inwentarza”, jakie Schetyna wziął na siebie po polknięciu Nowoczesnej. Z kolei Sterczewski złapał fuksem mandat w Poznaniu, nie tyle dzięki partii, ile sobie samemu i swojemu środowisku. Co więcej, domagał się odejścia na emeryturę dziadka Tuska, musi zatem być świadom, co w Platformie teraz się na niego czai za każdym węglem. Palikot był niegdyś dla Tuska bezcenny, ale tylko dlatego, że były to czasy, w których istniało ciągle silne poczucie tabu, np. w materii

religii czy seksu. Palikot tymczasem cieszył się, jak mógł, gdy szokował sprośnością albo profanacją, podczas gdy nikt inny tego wówczas nie robił. Od tamtego czasu życie publiczne odmieniło się całkowicie, a od bluźnierców i bezwstydników aż się w nim roi.

Jeśliby Tusk uznał, iż dla jego politycznych interesów przydałyby mu się znów prawdziwie bluźniercze czy obsceniczne happeningi, to na skinienie palcem ma tutaj zastępy aktorów i aktorów, reżyserów i reżyserów, profesorów i profesorów, intelektualistów i intelektualistek, z których każdy i każda bez zahamowań wcieli się chętnie w rolę jeszcze jednego dziecka Palikota. 

Dbamy o zrównoważony rozwój Polski



**Dbamy o lokalne
społeczności**



**Odnawiamy
kultowe miejsca**



**Skracamy czas
dojazdu**



**Zwiększamy
komfort podróży**



**Pielęgnowujemy
regionalne
historie**



**Tworzymy
funkcjonalne
miasta**

Rozbudzone



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wielu młodych ludzi nie chce pracować za niskie stawki na umowach śmieciowych. Dla starszego pokolenia taka postawa jest często niezrozumiała i uważana za roszczeniową. Tyle że to właśnie starsze pokolenie rozbudziło aspiracje swoich dzieci. I nie ma w tym niczego zaskakującego. Bo skoro standard życia się podniósł, to wzrosły również oczekiwania

Czy młodzi ludzie domagający się na samym starcie kariery wysokich pensji i ośmiogodzinnego dnia pracy są – jak twierdzą niektórzy – leniwi i roszczeniowi? Czy też, przeciwnie, są znacznie bardziej świadomi niż ich rodzice swoich praw i nie chcą być wykorzystywani przez pracodawców?

Dyskusja na ten temat pojawia się co jakiś czas, a ostatnio zainicjował ją na łamach „Polityki” prof. Marcin Matczak, który – odnosząc się do młodych ludzi o lewicowych poglądach – powątpiewał, czy są oni „gotowi pracować po 16 godzin na dobę, aby osiągnąć sukces”, dodając, że „indywidualne niepowodzenia bardzo często służą im potem jako uzasadnienie dla zmian systemowych”. Mówiąc inaczej, banda rozkapryszonych leniów chciałaby tak zmienić rzeczywistość, aby lenić się legalnie bez narażania na społeczny ostracyzm.

GENERACYJNY KONFLIKT

W pewnym sensie Matczak uderzył tu taj w samą istotę współczesnej lewicy, która dąży dziś do autoryzowania wszelkich ludzkich słabości i popędów oraz przedstawiania ich jako niezbywalnych praw człowieka. Nic więc dziw-

nego, że na Matczaka, który wystąpił w roli obrońcy starych „niehumanicznych” zasad, spadła wielka fala krytyki ze strony lewicy. Prawnik, zarabiający spore pieniądze w jednej z renomowanych warszawskich kancelarii, został przedstawiony jako bogaty, pozbawiony empatii wyznawca dzikiego liberalnego kapitalizmu. Na jednym z wielu memów krążących w internecie Matczak odmawia swojemu pracownikowi wolnego dnia z powodu śmierci dziadka: „Panie Arczku, ale jaki urlop na żądanie? Dlatego, że panu dziadek zmarł, to ma się pan nie samorealizować?” – pyta na obrazku Matczak. Bycie bohaterem memów nie jest powodem do chwały. Z pewnością nie o taki rodzaj odpowiedzi chodziło mocno zakochanemu w sobie warszawskiemu prawnikowi.

Obok memów pojawiły się jednak i poważniejsze komentarze. Adrian Zandberg stwierdził, że propagowanie „kultu 16-godzinnych dniówek” jest niehumaniczne. „Polskie prawo zabrania Panu, i słusznie, zatrudniania w takim wymiarze. Trochę nie dowierzam, że muszę o tym przypominać naczelnemu obrońcy konstytucji i praworządności” – ironicznie odpowiedział Zandberg

na wcześniejszą uwagę Matczaka, że lewica kpi z osób, które ciężko pracują.

Dyskusja, do której dołączyli inni uczestnicy, przerodziła się potem w dłuższą bitwę na słowa, w której starli się lewicowcy z liberałami, czy też – jeśli sprawę potraktować pokoleniowo, bo ma ona głównie taki wymiar – młodzi z dziadkami. W tej potyczce wyraźnie ujawnił się zazwyczaj mało dostrzegany w Polsce konflikt generacyjny, którego podłożem jest rosnące rozczerowanie młodego pokolenia rzeczywistością zbudowaną przez ich rodziców.

WYŚCIG BEZ CELU

Czy jednak młodzi, krytyczni wobec obecnej rzeczywistości, nie mają sporo racji? Wbrew temu, co twierdzi prof. Matczak, jasne jest, że bardzo trudno osiągnąć sukces samą ciężką pracą. Pytanie zresztą, jak ten sukces definiujemy? Czy jest nim zarabianie milionów, czy wystarczy skromne, ale stabilne życie? To ważne pytanie, ponieważ dotyczy ono aspiracji. A aspiracje młodych ludzi, zwłaszcza tej krytykowanej przez Matczaka wielkomiejskiej młodzieży, bardzo mocno w ostatnich



aspiracje

latach wzrosły. Wielu z nich wychowywało się w znacznie lepszych warunkach niż ich rodzice, są – można powiedzieć – ofiarami ich sukcesu. Nie wyobrażają sobie teraz porzucania stosunkowo bezpiecznego życia i budowania wszystkiego od nowa, bez gwarancji powodzenia, zwłaszcza że nie każdy ma na tyle ustosunkowanych rodziców, aby startować z odpowiednio wysokiego poziomu. Nie przekonuje ich również słuszna skądinąd zasada, że każde pokolenie powinno dokładać swoją ciężką pracę kolejną cegielkę do budowy pomyślnego życia, jeśli jeszcze nie własnego, to być może swoich dzieci i wnuków. Dziś liczy się bowiem tylko tu i teraz. Nagroda ma być natychmiastowa. Inna rzecz, że wielu młodych ludzi wychowano w takim właśnie przekonaniu, że profity są gwarantowane i z pewnością nadejdą bardzo szybko. Tyle że to nieprawda. Nieprawdą jest jednak także to, że młodzi są wyłącznie roszczeniowymi leniami. Przeciwnie, większość z nich przeszła przez morderczy wyścig szczurów, który rozpoczął się już w szkole podstawowej.

Edukacja pokolenia, które dziś wkracza w dorosłość, była bowiem zupełnie inna niż ich rodziców. Kiedyś od samego początku było jasne, że nie wszyscy dociągną do matury, a studiowanie jest przywilejem dla najbardziej uzdolnionej mniejszości. System nastawiony był na selekcję młodych, co siłą rzeczy urealniali ich plany na przyszłość. Inna rzecz, że społeczeństwo było mocno spauperyzowane i mało kto nastawiał

Większość młodych ludzi przeszła przez morderczy wyścig szczurów, który rozpoczął się już w szkole podstawowej. Wmawiano im, że zwycięzcy będą dużo zarabiać i żyć na wysokim poziomie

się na komfortowe życie. Niektórzy więc szukali szczęścia za granicą.

Wielu wychowanych w tamtych czasach ludzi przenosi więc dziś swoje niespełnione wówczas aspiracje na własne dzieci. Młodzi harują teraz często od najmłodszych lat, najpierw w szkole, a potem na rozlicznych kursach i korepetycjach. Rzadko po szkole widują się z kolegami i koleżankami, nie istnieją podwórka, wspólne wypadki na rower czy do kina. Bo nie ma na to czasu. Trzeba przecież jak najlepiej pozdawać testy i dostać się do jak najlepszych szkół, w których wyborze pomagają rozliczne rankingi. Nastolatkom wmawia się przy tym, że muszą wytrzymać takie tempo, bo dzięki temu będą potem dużo zarabiać i żyć na wysokim poziomie.

Dodatkowym problemem jest to, że obecne programy szkolne, często przeładowane niepotrzebnymi informacjami, w ogóle nie promują wiedzy ani samodzielności. Idealem jest uczeń

z czerwonym paskiem, chodzący komputer o wielkiej pamięci, który potrafi wypłuć z siebie dowolną wktą informację. Tyle tylko, że często brakuje mu erudycji i wiedzy, ale nie z tego powodu, że jest głupi, lecz dlatego, że zabrakło mu czasu na własne zainteresowania i poszerzanie horyzontów.

Potem rzeczywistość okazuje się zwykle brutalna. Rynek pracy nie jest w stanie wchłonąć tylu – nawet uzdolnionych – absolwentów uczelni. Okazuje się, że ich pensje są niższe niż tych, którzy machnęli na wszystko ręką i skończyli szkoły branżowe. To musi rodzić frustrację.

SPÓŹNIONA SELEKCJA

Prof. Matczak proponuje w tej sytuacji, aby młodzi – zamiast popadać w gnuśność – zaraz po studiach lub jeszcze w ich trakcie szli do pracy, nawet na kiepskich warunkach, na niskopłatne staże, a wtedy najlepsi z nich na pewno znajdą stabilne zatrudnienie, a z czasem lepszą pensję i wyższą pozycję zawodową. To oczywiście prawda, ale dotyczy to jedynie części – pewnie tej mniejszej – która przetrwa ostrą selekcję. Pozostali będą musieli zapewne pracować poniżej swoich kwalifikacji.

Bo problem jest właśnie w selekcji. Kiedyś przeprowadzano ją jeszcze na poziomie szkoły podstawowej i średniej. To pozwalało uniknąć potem ogromnych rozczarowań. Tymczasem dziś ta selekcja jest przeprowadzana znacznie później, już po studiach, a to rodzi

poczucie krzywdy i przekonanie, że padło się ofiarą oszustwa. Bo przecież wszyscy dookoła obiecywali, że jak będę uczyć się od świtu do nocy, to w dorosłym życiu spotka mnie za to hojna nagroda. Otóż niekoniecznie. To już tak dziś nie działa. Dobre wykształcenie ciągle jeszcze daje prestiż, ale często nie przekłada się na wysokie zarobki i pracę zgodną z kwalifikacjami, co zresztą nie powinno dziwić w takim kraju jak Polska, który nie wyzwolił się jeszcze z pułapki peryferyjności, gdzie atutem jest „tania praca”. Bo „tania praca” to zwykle praca nieskomplikowana, niewymagająca kończenia wyższych szkół.

Nie oznacza to jednak, że problem dotyczy tylko wielkomiejskiej młodzieży z nadmiernie rozbudowanymi przez rodziców aspiracjami. Ich niekiedy słabiej wykształceni i często mniej zamożni rówieśnicy z mniejszych miejscowości i wsi mają również pod górkę. Tyle że tam jest to ciągle uważane za normalną kolej rzeczy. Przyjmuje się, że każdy, kto chce awansować, musi być gotów na ciężką pracę i wiele wyrzeczeń. Nic więc dziwnego, że ambitni przybysze z prowincji robią zwykle większe kariery w dużych miastach niż rozczarowani swoimi kiepskimi perspektywami tubylcy.

MIEJSCOWI KONTRA PRZYJEZDNI

Pojęcie kiepskich perspektyw jest również względne. Chodzi bowiem o punkt odniesienia. Komuś, kto przyjechał do dużego miasta z odległej wsi i łączy studia z pracą w sklepie, rzeczywistość może się wydawać zupełnie inna niż komuś, kto od urodzenia mieszka w tym mieście i nie musi – dzięki rodzicom – walczyć o swoje. Przybysz z zewnątrz nie ma odwrotu, bo za dużo już zainwestował w swoje wykształcenie i karierę. Będzie więc za wszelką cenę, nawet pracując przez pewien czas poniżej kwalifikacji i na gorszych warunkach, parł do przodu. W końcu – jak wierzy – złapie lepszą pracę i pozycję pozwalającą mu na w miarę ustabilizowane życie.

Inaczej świat widzi młody mieszczuch. On żył dotąd i nadal żyje pod

opieką rodziców. Jest przyzwyczajony do pewnego standardu i nie musi walczyć o przetrwanie w mieście, bo mieszka w nim od urodzenia. Skończył niezłe szkoły i ma wbite do głowy, że ze swoimi wynikami i zdolnościami zasługuje na coś więcej. Nie będzie więc godził się na pracę w sklepie na umowie śmieciowej, bo uważa to za niesprawiedliwość. Chce mieć zapewniony start na poziomie, na który jego rodzice musieli pracować zwykle wiele lat. W pewnym sensie ma rację. Teoretycznie nie ma bowiem żadnego powodu, aby po ponad 30 latach od tzw. transformacji standardem w Polsce były tandetne umowy śmieciowe i oszczędzanie na pracowniku.

Rynek pracy nie jest w stanie wchłonąć tyłu – nawet uzdolnionych – absolwentów uczelni. Okazuje się, że ich pensje są niższe niż tych, którzy machnęli na wszystko ręką i skończyli szkoły branżowe

Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Skoro ciągle tkwimy w pułapce „taniej siły roboczej”, to trudno się dziwić, że wszyscy na pracy oszczędzają. Przy czym to prawda, że zaoszczędzone na pracowniku pieniądze wcale niekoniecznie idą na rozwój firmy. Gdyby wielu pracodawców oszczędzało na sobie tak, jak oszczędzają na swoich pracownikach, to pewnie nie mielibyśmy tylu luksusowych aut na polskich drogach. Skądś ludzie mają przecież na to pieniądze. I raczej nie są to pieniądze zarobione na etacie. Poczucie niesprawiedliwości jest więc często uzasadnione.

Wygląda więc na to, że mamy tu jeszcze jeden konflikt interesów, pomiędzy wielkomiejską młodzieżą domagającą się lepszych warunków pracy i płacy oraz przybyszami spoza miasta, którzy

są na tyle zdeterminowani, że godzą się na niższy standard życia i pracy, byleby utrzymać się na powierzchni. Jest to przy okazji ilustracja pokazująca nierównomierny rozwój Polski. W dużych miastach, gdzie koszty życia zbliżyły się już do zachodnioeuropejskich, oczekiwania są zupełnie inne niż poza nimi. I nie ma w tym niczego dziwnego. To zjawisko będzie się jeszcze bardziej nasilać wraz ze wzrostem ogólnej zamożności.

CZASY SIĘ ZMIENIŁY

Skoro wiemy, że im jesteśmy bogatsi, tym nasze wymagania są wyższe, to nie powinniśmy się dziwić, że młode pokolenie wychowane w innych warunkach niż jego rodzice, chce dziś więcej. Zwłaszcza że wraz z aspiracjami rosną też potrzeby, często sztucznie rozbudzone przez konsumpcjonizm. Dziś wielu młodym nie wystarczy – tak jak ich rodzicom – wycieczka w góry pod namiot, zwłaszcza tym, którzy przyzwyczaili się do wakacji w kilkugwiazdkowym hotelu nad ciepłym morzem. Dlaczego mieliby z tego rezygnować? Dlaczego też mieliby rezygnować z markowych ubrań i drogich gadżetów?

Alnie tylko o to tu idzie. Kryzys demograficzny, który przeżywa Polska i wiele krajów Zachodu, ma oprócz cywilizacyjnych przyczyn, takich jak kryzys rodziny, również ekonomiczne podłoże. Trudno bowiem wyobrazić dziś sobie, i nie dotyczy to już tylko tej „rozkapryszanej” wielkomiejskiej młodzieży, aby młodzi ludzie, także ci ciężko pracujący, mogli zdecydować się na założenie rodziny, nie mając zagwarantowanych stabilnych dochodów.

I nie jest tu rozwiązaniem praca w wymiarze 16 godzin, jaką proponuje prof. Matczak. Bo jeżeli młody człowiek musi pracować aż 16 godzin na dobę, aby się utrzymać, to oznacza to, że na żadną rodzinę czasu mieć nie będzie. A więc niekoniecznie i nie zawsze chodzi tu o lenistwo czy rozkapryszenie młodzieży. Czasem chodzi też o zdrowy rozum, kalkulację lub o zwykły instynkt samozachowawczy.

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

NAJWIĘKSZEGO MECENASA SPORTU I KULTURY W POLSCE!

Ponad

16

MLD ZŁ

łączna kwota dopłat
przekazana na polski
sport i kulturę narodową
w latach 1994-2020

Ponad

1

MLD ZŁ

rekordowa suma
dopłat przekazana
na te dwie ważne
dziedziny życia
społecznego
w 2020 roku



#WielkieChwile

exiprasa.pl 7279173305

Po prostu chcemy pomagać ofiarom

W 2020 r. fundacja Profeto, której prezesem jest ks. Michał Olszewski, ze swoim projektem „Archipelag – wyspy wolne od przemocy” została jedynym zwycięzcą w konkursie Funduszu Sprawiedliwości na „wsparcie i rozwój instytucjonalnego systemu pomocy osobom pokrzywdzonym przestępstwem i świadkom” na lata 2020–2024. Od tamtej pory media atakują fundację, informując, że miliony trafią do byłego egzorcyisty, który teraz chce budować imperium na wzór innego duchownego. Władze Wilanowa nie wydały zgody na budowę ośrodka

Z ks. *Michałem Olszewskim* ze Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego rozmawia Dorota Łosiewicz

W mediach liberalnych częściej występuje ksiądz jako były egzorcyista, który zasłynął opowieściami o tym, jak wypędzał złe duchy z wegetarianki za pomocą salcesonu, niż jako ksiądz ze Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego. Skąd ta etykieta?

Michał Olszewski: Zdanie to zostało wyciągnięte z kontekstu i od lat wykorzystywane jest jako coś, co z jednej strony miało wzbudzić sensację, a równocześnie zdyskredytować mnie jako osobę i podważyć zaufanie do mnie. Przez tyle lat nikt nie zainteresował się setkami innych historii z mojej posługi jako egzorcyisty, rekolekcjonisty czy zwyczajnego księdza, które przywołuję w publicznych wypowiedziach, książkach czy codziennie publikowanych vlogach. Dziennikarze często też mieszają porządki. Posługa egzorcyisty była związana stricte z moim powołaniem kapłańskim, czego dziś używa się jako zarzutu wobec innych aktywności prowadzonych przez naszą fundację w zupełnie innych obszarach.

Teraz do meritum. Fundacja Profeto, którą ksiądz kieruje, stała się bohaterką mediów po tym, gdy wygrała

konkurs na prowadzenie centrum pomocy dla ofiar przestępstw, z tymczasowymi mieszkaniem dla pokrzywdzonych. Fundusz Sprawiedliwości przyznał 43 mln zł dofinansowania. Jaki jest pomysł fundacji?

Chcemy się całościowo zająć pomocą człowiekowi doświadczającemu przemocy – poczynając od dzieci, a kończąc na seniorach. Poszczególne grupy docelowe obejmujemy pomocą psychiatryczną, psychologiczną, terapeutyczną. Planujemy też docieranie do młodzieży zmagającej się z depresją. Po przez szeroko rozumianą sztukę – muzykoterapia, arteterapia, teatr – chcemy pomagać im z tej depresji wychodzić. Zależy nam na tym, żeby objąć opieką dzieci w wieku 9–12 lat. Jak pokazują badania, wtedy zaczynają się wszystkie problemy wieku dorastania. Archipelag ma być też miejscem dla tych, którzy – w wyniku przestępstw czy przemocy – nagle znajdują się w trudnej sytuacji. Chcemy stworzyć taką przestrzeń, która zapewni im poczucie bezpieczeństwa. Zagwarantuje to grono wykwalifikowanych specjalistów. Zależy nam na kompleksowej pomocy, żeby ktoś, kto trafi do nas, nie był odsyłany na drugi koniec

miasta do specjalisty, ale by wszystko, czego potrzebuje, otrzymał w jednym miejscu. Będziemy się starać postawić go na nogi pod względem psychicznym, zapewnić bezpieczeństwo bytowe, zatroszczyć się o jego przyszłość pod kątem zawodowym. Nie ukrywam, że jestem księdzem, a fundacja Profeto zbudowana jest na wartościach chrześcijańskich, ale nie będziemy legitymować ofiar przemocy i wypytywać o przynależność do takiej czy innej religii albo o zbiór przekonań moralnych czy politycznych. Zależy nam na człowieku, skutecznej mu pomocy czy rozwiązaniu konkretnego życiowego problemu.

Jakie fundacja ma doświadczenie w sprawie pomocy ofiarom przestępstw?

Profeto od lat prowadzi działalność charytatywną, również związaną z pomocą osobom pokrzywdzonym przemocą, ale dotychczas szeroko o tym nie informowaliśmy. Nigdy też nie oczekiwaliśmy ani wdzięczności, ani uznania. Współpracując z innymi stowarzyszeniami i fundacjami, włączamy się w realizację programów pomocowych, głównie o charakterze profilaktycznym i edu-



kacyjnym. Fundacja, realizując różne projekty na przestrzeni lat, dostrzegła potrzebę stworzenia takiego miejsca, w którym zajęto by się człowiekiem w potrzebie od początku do końca, nie odsyłając go do innych ośrodków czy specjalistów. Mieliśmy takie doświadczenia z osobami, z którymi współpracowaliśmy – jako ofiary przemocy nie mogły uzyskać kompleksowej pomocy w jednym miejscu. W ogłoszonym konkursie, o którym pani wspomniała, dostrzegliśmy szansę, by plany, które mieliśmy od lat, mogły zostać zrealizowane. Obserwując działania fundacji, które zajmują się pomocą osobom pokrzywdzonym, także z ich strony otrzymywaliśmy podobne sygnały, że tego typu ośrodki, w którym człowiek jest zaopiekowany od A do Z, jest bardzo potrzebny i kibicują nam w tym, żeby takie miejsce powstało. Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego, które powołało fundację Profeto, w swojej misji ma przede wszystkim działalność społeczną wśród osób potrzebujących wsparcia. Sercanie na całym świecie niosą pomoc ofiarom przestępstw, przeciwdziałają dysfunkcjom i dysproporcjom społecznym. W Polsce do tej

pory nie było to tak bardzo wyeksponowane, a możemy to zrobić, korzystając z bogatego doświadczenia naszych braci z wielu kontynentów, tworząc właśnie Archipelag.

Władze Wilanowa nie wyraziły jednak zgody na budowę takiego ośrodka. Chodzi m.in. o to, że zgodnie z planem zagospodarowania przestrzennego na działce należącej do Profeto nie może powstać obiekt z tymczasowymi mieszkaniami. Według mediów w waszym projekcie brakuje też np. planów przyłączenia budynku do sieci kanalizacyjnej.

Trwa zwyczajna procedura administracyjna. Nie zgadzamy się z decyzją władz Wilanowa i odwołaliśmy się od niej do urzędu wojewódzkiego. Czekam na decyzję pana wojewody. Natomiast istotą problemu nie jest sam plan zagospodarowania przestrzennego, tylko interpretacja jego zapisów. Urzędnicy Wilanowa zinterpretowali działalność naszego ośrodka jako mieszkalnictwo zbiorowe, którego nie ma w planie, a my wyrażnie w całej dokumentacji wskazujemy, że będziemy prowadzić działalność charytatywną i socjalną, którą plan

przewiduje. Plan zagospodarowania przestrzennego umożliwia prowadzenie w tej lokalizacji działalności społecznej, religijnej, kulturalnej czy oświatowej. Cała działalność naszego ośrodka wpisuje się właśnie w te obszary. W wyborze działki w tej lokalizacji nie było żadnego przypadku. Uważamy, że to położenie i plan zagospodarowania przestrzennego idealnie wpisują się w nasz projekt. Jeśli chodzi o przyłącza do sieci kanalizacyjnej czy innych mediów, to dysponujemy poświadczeniami dostawców, że takie instalacje będą mogły być zrealizowane.

W projekcie fundacji jest stworzenie sali widowiskowej, pięciu studiów nagrańowych, trzech reżyserek postprodukcji, czterech serwerowni i dwóch biur open space. Czy tego rzeczywiście potrzebują ofiary przestępstw?

Cały nasz projekt pomyślany jest tak, żeby ofiarom przemocy pomagać kompleksowo, m.in. przez terapię muzyką, sztuką, teatrem. Oprócz klasycznej pomocy terapeutycznej i zapewnienia aklimatyzacji społecznej po kryzysie, którego doświadczyła rodzina czy konkretna osoba, nie chcemy stworzyć

zamkniętego szpitala dla tych ludzi, ale „wyspy wolne od przemocy”, w których osoby na ścieżce terapeutycznej będą mogły także rozwijać swoje pasje. Potrzebujemy sceny, żeby młodzi mogli na niej prezentować swoje talenty aktorskie czy muzyczne, które będą mogli oglądać mieszkańcy Wilanowa i całej Warszawy. Studia są po to, żeby – także w ramach terapii – prowadzić warsztaty muzyczne, uczyć pracy z dźwiękiem, by w końcu nasi podopieczni mogli nagrywać i wydawać własne płyty. Nie sposób to zrobić bez odpowiednich przestrzeni, zaaranżowanych studiów czy fachowych narzędzi, takich jak różnego rodzaju multimedia i sprzęt IT. Jeśli chcemy zaopiekować się ludźmi na najwyższym poziomie, to nie możemy im oferować miejsc na poziomie najniższym. Żeby skutecznie i kompleksowo pomagać, potrzebujemy profesjonalnego zaplecza. Jeszcze raz powtórzę, nie budujemy zamkniętego szpitala, w którym będą tylko sale dla pacjentów i gabinety terapeutów – to ma być tętniące życiem miejsce, w którym ludzie – chociaż w procesie terapeutycznym – będą realizować swoje pasje i rozwijać odkrywane w sobie talenty. Tak właśnie postrzegamy prawdziwe wychodzenie z kryzysu.

Jednak media, które atakują was od miesięcy, sugerują, że fundacji nie chodzi o pomaganie ofiarom przestępstw, ale raczej o budowę imperium medialnego. To prawda?

Jak budując salę teatralną, studia nagrań czy serwerownię, można stworzyć imperium medialne? I to w ośrodku dla ofiar przemocy? Poprzez porównywanie do innych podmiotów, którym przyklejono taką łatkę, próbuje się nas zdyskredytować. To kolejna niekonsekwencja naszych krytyków, którzy zarzucają Kościołowi, że nie pomaga potrzebującym, także tym zranionym w Kościele, a gdy chce to zrobić, to mu się na to nie pozwala. Zarzuca się też nam brak doświadczenia, a gdy chcemy wykorzystywać narzędzia z obszaru, który od kilku lat rozwijamy, to też czyni się z tego zarzut. Paradoksalnie ci, którzy „troszczą się”, żeby środki przeznaczone na pomoc ofiarom przestępstw zostały dobrze wydane, działają na ich

niekorzyść, kwestionując sens budowy Archipelagu.

Wątpliwości budzi także to, że choć konkurs dotyczył świadczenia pomocy w latach 2020–2024, fundacja informuje, że ośrodek ruszy w styczniu 2024, czyli mógłby służyć ofiarom przez rok. Co stanie się z budynkiem, kiedy projekt się skończy?

Sam fundator Profeto, czyli Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego, jest gwarantem, że pomoc w tym ośrodku będzie świadczona także po zakończeniu projektu, nawet jeśli nie mielibyśmy zewnętrznego finansowania. Kwota przyznanej dotacji na budowę centrum może robić wrażenie, ale nie zapominajmy, że fundacja i zgromadzenie przeznaczyły jedną czwartą własnych środków potrzebnych na ten cel.

W ramach tego konkursu startowały także inne fundacje, które wsparcia nie dostały i protestują, a jednak mają większe doświadczenie w pomaganiu ofiarom przemocy. Czy ich rozczarowanie nie ma podstaw?

To prawda, że mamy mniejsze doświadczenie niż inne podmioty startujące w tym konkursie, ale doświadczenie nie było jedynym kryterium rozstrzygającym. Do konkursu przedstawiliśmy projekt stworzony m.in. przez ofiary przemocy, które z niej wychodziły i wiedzą, czego osoby w takich sytuacjach najbardziej potrzebują. W każdym konkursie przegrani bywają rozczarowani. Ale mamy nadzieję, że właśnie te organizacje, które mają ogromne zasługi i doświadczenie w pomocy ofiarom przestępstw, zechcą się z nami podzielić doświadczeniami i będziemy mogli razem pomagać tym, którzy potrzebują wsparcia.

Czy ma książkę wrażenie, że media liberalne rozpętały wokół księdza kampanię hejtu?

Kocham ludzi i współpracę z nimi – niezależnie od tego, czy są wierzący, czy nie. Na co dzień spotykam się z mnóstwem osób. Dobrze, że się różnimy, bo może to przynosić wiele dobrych owoców. Były wprawdzie takie momenty, kiedy uważałem niektóre stwierdzenia za niesprawiedliwe czy wręcz za wydane na

mnie wyroki, ale nie odbierałem tego jako agresji czy hejtu na siebie, ale motywowało mnie to zawsze do jeszcze lepszego działania.

Jak udaje się projekt ewangelizacji przez media? Jak to się zaczęło w księdza przypadku?

Dziesięć lat temu poprowadziłem pierwsze rekolekcje internetowe „Ciemne noce Nikodema”. Zobaczyłem, że jest wielka grupa ludzi, która poszukuje tego typu treści. Nikt nie przypuszczał, że tak szybko nam się ta przestrzeń rozwinie, a pandemia jeszcze to zainteresowanie pogłębi. Dziś już nie wyobrażamy sobie życia Kościoła bez obecności w tego typu mediach czy aplikacjach, takich właśnie jak Profeto. Najpierw powstał portal, później radio, wydawnictwo i sektor IT, gdzie tworzymy oprogramowanie dla Kościoła. Cieszymy się, że portal i radio trafiły do odbiorców, którzy oczekiwali religijnych treści, ale wolnych od polityki. Grupa naszych odbiorców systematycznie rośnie, a ludziom odpowiada to, że nie ma u nas newsów i publicystyki, zwłaszcza politycznej. Stawiamy wyłączenie na modlitwę, komentowanie Słowa Bożego, nowoczesną muzykę chrześcijańską, transmisje z wydarzeń ewangelizacyjnych. Także z perspektywy projektu, jakim jest Archipelag, uważamy to za kluczowe, że jesteśmy wolni od bieżącej polityki.

Czy ewangelizacja przez media będzie się rozwijać?

Chcemy rozwijać zarówno portal, jak i radio, zapraszając autorów – zwłaszcza świeckich – którzy z naszymi czytelnikami i słuchaczami będą się dzielić swoim doświadczeniem codziennego życia Ewangelią. Będziemy też rozwijać przestrzeń IT, by dawać nowoczesne narzędzia w ewangelizacji.

Co dalej z projektem w Wilanowie?

Wierzmy, że uda nam się stworzyć „Archipelag – wyspy wolne od przemocy”. Dziś bardzo wiele osób – w różnym stopniu – doświadcza przemocy, coraz częściej mierzymy się z depresją i innymi zaburzeniami psychicznymi. Chcemy tym wszystkim ludziom nieść pomoc. Jesteśmy dobrej myśli. 



POLSKI KOMPAS 2021

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH

PROJEKT POLSKA PLUS
- JAK WRÓCIĆ Z KRYZYSU NA ŚCIEŻKĘ ROZWOJU

Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania
na **gb.pl** oraz na:



Pobierz darmowe
e-wydanie



ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA
ANALIZY I KONTROLA EKONOMICZNA W POLSCE

PARTNER ZŁOTY:



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:



Ofiary obławy augustowskiej mają swój dom

W lipcu 2021 r. Instytut Pileckiego nabył w centrum Augustowa Dom Turka, czyli po NKWD-UB-MO. Obiekt stał pusty i straszył nad Netą swoją krwawą historią. Środowiska patriotyczne zabiegały od lat o utworzenie w nim instytucji pamięci, aż wreszcie spełniły się ich marzenia. W Domu Turka powstanie Muzeum Obławy Augustowskiej, jako oddział Instytutu Pileckiego w Warszawie

Będziecie mieli podobną placówkę jak Muzeum Powstania Warszawskiego. Będzie tu przyjeżdżał cały świat! – zapowiedziała z radością prof. Magdalena Gawin, wiceminister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu, na uroczystości inauguracji muzeum. To ona głównie współpracowała z premierem Mateuszem Morawieckim, aby pozyskać z rąk prywatnych kamienicę przy ul. 3 Maja 16 wybudowaną w 1900 r., w której w latach 30. XX w. mieściła się lubiana cukiernia prowadzona przez Bośniaka Kamila Tia-kosza, nazywanego potocznie „Turkiem”. Podczas okupacji sowieckiej, w latach 1940–1941 i w 1944 r., kamienica była siedzibą NKWD i NKGB. Areszt umieszczono w podziemiach, na wyższych kondygnacjach zaś znajdowały się biura. W latach 1945–1956 w budynku mieścił się PUBP, w latach 1956–1981 była tam siedziba MO, a w okresie 1981–1992 – Wojskowej Ochrony Pogranicza. W 2006 r. budynek zwrócono spadkobiercom rodziny Rechtmanów, którzy sprzedali ją prywatnemu przedsiębiorcy Włodzimierzowi Kudraszewiczowi.

Zakup kamienicy przez Instytut Pileckiego nie był łatwy, gdyż właściciel zdobył już od władz decyzję o zbudowaniu w tym miejscu galerii handlowej. Całe szczęście, że dzięki wspólnemu i zdecydowanemu działaniu środowisk patriotycznych udało się 1 kwietnia 2011 r. wpisać obiekt w rejestr zabytków. Prof. Małgorzata Gawin odczytała od premiera Morawieckiego list, w którym wyraził nadzieję, że przyszłe muzeum odda sprawiedliwość bohaterom walczącym o wolną Polskę i że była katownia stanie się miejscem pośmiertnego ich zwycięstwa. „Męczennicy tutaj cierpieli i ginęli za Polskę niepodległą, dziś Polska niepodległa służy im dług. Mają oni teraz swój symboliczny dom” – napisał polski premier.

Do czasu przeprowadzenia badań archeologicznych, prac budowlano-konserwatorskich, remontu Domu Turka Muzeum Obławy Augustowskiej będzie funkcjonować nieopodal, w wynajętej kamienicy przy ul. 3 Maja 49. Tymczasową siedzibę otwarto 13 października 2021 r. z udziałem miejscowych weteranów, rodzin ofiar obławy, władz państwowych, samorządowych i mieszkańców Augustowa. Wcześniej odbył się koncert pieśni Jacka Kaczmarskiego „A źródło wciąż bije...” w wykonaniu Jacka Bończyka z zespołem oraz otwarcie wystawy „Lipcowi. Twarze obławy augustowskiej”.



* * *

Ekspozycja „Lipcowi”, na której pokazano twarze ofiar obławy lipcowej, jest najbardziej wstrząsająca. Podświetlane portrety ofiar – świetnie zrekonstruowane cyfrowo – zaprezentowano bowiem na działce przed Domem Turka oraz w czeluściach jego okien, które do niedawna były zabite deskami. Twarze świecą szczególnie w nocy, przypominając tę największą powojenną zbrodnię komunistyczną, domagając się jednocześnie odkrycia prawdy o niej oraz miejsca zakopania ciał ofiar. Większość portretów, wraz z opisami, postawiono na ziemi, otwierając po raz pierwszy od lat wrota, którymi przywożono polskich patriotów do tego miejsca kaźni. Prawdopodobnie wiele ofiar zakatowano w Domu Turka na śmierć i zakopano na tej posesji, stąd oglądając wystawę, ma się wrażenie, że stąpa się po cmentarzysku...

* * *

Marian Tananis ps. Murka z Sejn (1929–2019), młodociany partyzant z oddziału AKO Władysława Stefanowskiego „Groma”, zapamiętał dobrze swój pobyt w tym areszcie. Męczono go w nim przez dwa tygodnie, od 21 stycznia 1946 r. Do końca życia nosił blizny po zrywaniu paznokci i łamaniu palców. Jeszcze bardziej bolesne było bicie łańcu-

chami w stopy. W mojej książce (T. Kaczorowska, „Obława augustowska”, Warszawa 2015) wspominał: „Bili nas za to, że byliśmy w AK. Nade mną pastwił się też Jan Szostak, szef UB. W piwnicach augustowskiego PUBP działy się straszne rzeczy...”.

Z kolei Tadeusz Jagłowski ze wsi Kopiec gm. Sztabin w powiecie augustowskim (rocznik 1931, młodociany łącznik AKO) wspominał, że w Domu Turka więziono aż troje jego rodzeństwa: Piotra (rocznik 1925, partyzant, który od jesieni 1942 r. walczył z bronią w rękę, najpierw przeciwko Niemcom, a w 1945 r. przeciwko Sowieciom), Konstantego (rocznik 1928, żołnierz AK i AKO) i siostrę Stanisławę (sanitariuszka). Braci zabrano z domu nocą 12 lipca 1945 r. jako „bandytów” i w siedzibie PUBP krwawo przesłuchiowano – po nocach, przez kilkanaście dni. Z 14 aresztowanych we wsi tego dnia mężczyzn wypuszczono tylko dwóch: Konstantego oraz Eugeniusza Duchnińskiego. Wrócili do swojej puszczańskiej wsi Kopiec pod koniec lipca 1945 r.

„Mój brat miał całe ciało sino-fioletowe – pamięta doskonale Tadeusz Jagłowski. – Opowiadał, że wszyscy byli torturowani, bici, głodzeni. Spali na cemencie, w ścisku, jeden obok drugiego. Potrzeby fizjologiczne załatwiali do beczek. Przesłuchiwał ich oficer pochodzenia żydowskiego, w stopniu kapitana. Miał do dyspozycji, w pogotowiu, kilku sowieckich bojów – katowali żołnierzy polskiego podziemia na jego skinienie”.

Konstanty Jagłowski po uwolnieniu już nigdy nie doszedł do siebie. Po brutalnych przesłuchaniach i okrutnych torturach w Domu Turka mocno okaleczony, pozostał inwalidą. Natomiast jego starszy brat Piotr, podobnie jak inni pojmani w lipcu 1945 r. Polacy, został wywieziony pod koniec lipca 1945 r. w nieznanym kierunku. Konstanty zapamiętał, jak samochód wywożący więźniów wracał po około dwóch godzinach po kolejną partię aresztowanych. Wszyscy pragnęli z Domu Turka wyjechać jak najszybciej, bo choć otoczeni bagnetami Sowieci, sądzili, że trafią do łagrów – jak wielu z tej ziemi – albo zostaną osadzeni w więzieniach w kraju. Nie mogli się spodziewać, że są transportowani na śmierć... Nie wiedzieli, że nikt wywieziony z augustowskiego PUBP już nie wraca. Może ta niewiedza była dla nich ostatnią łaską losu? Nie mogli oczywiście przypuszczać, że nikt do dziś nie pozna nawet miejsca ich zgładzenia ani zakopania ciała. Że będzie to zbrodnia doskonała...

Z kolei jego siostrę, sanitariuszkę AK Stanisławę Jagłowską, aresztowano w marcu 1946 r. i też osadzono w kazamatach słynnej siedziby PUBP w Augustowie. Więziono ją w Domu Turka przez osiem dni, które wydały się jej wiekiem...

Do czasu przeprowadzenia badań archeologicznych, prac budowlano-konserwatorskich, remontu Domu Turka i urządzenia w nim Muzeum Obławy Augustowskiej instytucja będzie funkcjonować nieopodal, przy ul. 3 Maja 49. Tymczasową siedzibę otwarto 13 października 2021 r.

Ostatnim akcentem rozpoczęcia działalności Muzeum Obławy Augustowskiej był pokaz w miejscowym kinie Iskra filmu „Nazajutrz” (15 października), a po nim dyskusja panelowa z udziałem trojga historyków: prof. Grzegorza Motyki (PAN), dr. Marcina Zwolskiego (Muzeum Sybiru w Białymstoku) oraz dr. Teresy Kaczorowskiej (publicystki, autorki trzech dokumentalnych książek o obławie augustowskiej). Film „Nazajutrz” został zrealizowany przez Instytut Pileckiego w 2020 r., na 75. rocznicę zakończenia II wojny światowej. Autorami filmu są Wojciech Saramonowicz i Grzegorz Czerniak. Prawie godzinny dokument przedstawia walkę Polaków na wszystkich frontach świata – od pierwszego dnia wojny w 1939 r. aż do jej końca w 1945 r., a potem polskie losy w nowej sytuacji geopolitycznej. W filmie występują wyłącznie świadkowie historii, m.in. byli żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, lotnicy Dywizjonu 303, więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych, ocaleni z rzezi na Woli 1944, z sowieckich gułagów, ubeckich kaźni w PRL, świadkowie obławy augustowskiej i wielu innych. Wykorzystano też materiały archiwalne m.in. z Filмотeki Narodowej, a także muzykę Krzysztofa

Komedy w wykonaniu Leszka Możdżera (pierwotnie z filmu „Prawo i pięść” w reż. Jerzego Hoffmana).

Debatę po tej momentami wstrząsającej opowieści o historii XX w. prowadził pełnomocnik dyrektora Instytutu Pileckiego ds. powołania Muzeum Obławy Augustowskiej Bartosz Gralicki. Nowe muzeum ogłosiło akcję zbierania pamiętek, świadectw i zdjęć na temat obławy augustowskiej, wydało okolicznościowe pocztówki, a jego edukatorzy prowadzili w augustowskich liceach warsztaty oparte na grze decyzyjnej „Dylematy powojnia”.

„W imieniu Instytutu Pileckiego obiecuję, że pamięć o obławie augustowskiej będzie trwała, zadbam, aby przyszłe muzeum otrzymało właściwą aranżację” – powiedział jego dyrektor dr Wojciech Kozłowski. Pomoc obiecali mu dyrektor IPN w Białymstoku, wojewódzki konserwator zabytków, miejscowe władze i społecznicy.

„To miejsce jest dla nas miejscem świętym” – dziękował za jego ocalenie ks. Stanisław Wysocki, świadek wydarzeń z lipca 1945 r., kiedy to stracił w obławie ojca oraz dwie siostry. W 2009 r. kapłan założył Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej 1945 r., który razem z innymi środowiskami patriotycznymi zabiegał o ocalenie niszczonego Domu Turka, aby upamiętnić ofiary i utworzyć w nim instytucję pamięci.

Teresa Kaczorowska

Nowy rywal Viktora Orbána

Prawybory wśród węgierskiej opozycji zakończyły się zaskakującym wynikiem. Czy nowy kandydat na premiera będzie w stanie zagrozić władzy Fideszu?



Péter Márki-Zay zwyciężył w wyborach na lidera węgierskiej opozycji



GRZEGORZ GÓRNY

Od grudnia zeszłego roku węgierska scena polityczna jest areną wyjątkowego eksperymentu. Cała opozycja (od prawa do lewa) postanowiła się zjednoczyć i wystartować wspólnie w wyborach, by odsunąć od władzy Fidesz Viktora Orbána. W skład owej pstrokatej koalicji weszły dwa ugrupowania postkomunistyczne (Koalicja Demokratyczna i Węgierska Partia Socjalistyczna), dwie zielone (Dialog na rzecz Węgier i Polityka Może Być Inna), jedna liberalna (Ruch Momentum) oraz niegdyś nacjonalistyczna, a dziś zielono-lewicowa (Jobbik).

WYJĄTKOWY EKSPERYMENT

Ponieważ niemożliwe jest sprawne funkcjonowanie formacji politycznej z sześcioma równorzędnymi liderami, drugim etapem jednoczenia opozycji stało się zorganizowanie prawyborów na kandydata na premiera, który wiosną przyszłego roku stanąłby do walki przeciw Orbánowi. Przeciwnicy Fideszu doszli do wniosku, że już dziś muszą rozstrzygnąć, kto personalnie, po wygranych ewentualnie wyborach, będzie tworzyć nowy rząd. Pozostawienie tej sytuacji otwartej do

ostatniej chwili mogłoby skutkować późniejszym konfliktem i rozpadem koalicji.

W tym celu zorganizowane zostało bezprecedensowe w skali Europy przedsięwzięcie, a mianowicie głosowanie, w którym na terenie całego kraju do urn poszli zwolennicy opozycji, by wskazać kogo widzą na czele przyszłego gabinetu. W rywalizacji wzięło udział pięciu polityków: Gergely Karácsony (burmistrz Budapesztu), Klára Dobrev (eurodeputowana z Koalicji Demokratycznej i wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego), Péter Márki-Zay (burmistrz miasta Hódmezővásárhely), Péter Jakab (przewodniczący Jobbiku) i András Fekete-Győr (lider Ruchu Momentum).

W pierwszej rundzie wzięło udział 634 tys. osób, co jak na 10-milionowe Węgry jest frekwencyjnym sukcesem. Żaden z kandydatów nie uzyskał bezwzględnej większości. Najlepszy wynik osiągnęła 49-letnia Klára Dobrev, prywatnie żona byłego premiera i przewodniczącego Koalicji Demokratycznej Ferenc Gyurcsány, która uzyskała 35 proc. głosów. Na drugim miejscu (27 proc.) uplasował się popularny wśród stolecznej młodzieży burmistrz Budapesztu 46-letni Gergely Karácsony, którego nazwać można węgierskim odpowiednikiem Rafała Trzaskowskiego. Trzeci natomiast z 20-procentowym wynikiem był Péter Márki-Zay, lat 49, władarz 50-tysięcznego powiatowego miasta Hódmezővásárhely nad Cisą w południowo-wschodniej części kraju. Do drugiej tury prawyborów przeszła zatem wspomniana trójka.

Choć pierwsza runda zakończyła się zwycięstwem Dobrev, komentatorzy większe szanse na wygraną dawali Karácsonyowi. Tym bardziej że z obozu opozycji dochodziły głosy, iż Péter Márki-Zay ma zamiar wycofać się z wyścigu i poprzeć burmistrza Budapesztu. Rzeczywiście, niemal w ostatniej chwili przed głosowaniem doszło do rezygnacji jednego z kandydatów, ale niespodziewanie okazał się nim główny faworyt, czyli Gergely Karácsony, który opowiedział się za wyborem Pétera Márki-Zayego. W rezultacie druga runda, w której wzięło udział 662 tys. osób, przyniosła sukces burmistrzowi Hódmezővásárhely, który uzyskał 56,7 proc. głosów.

NIE BĘDZIE WYMARZONEGO PRZECIWNIKA

Wynik prawyborów przyjęty został z rozczarowaniem zwłaszcza w kierownictwach dwóch partii, które liczyły na zwycięstwo Kláry Dobrev: jej macierzystej Koalicji Demokratycznej oraz Fideszu. Dla Viktora Orbána wymarzoną sytuacją byłoby bezpośrednie starcie z żoną Ferenc Gyurcsány. Wspomniana para małżonków ma bowiem tak duży elektorat negatywny w społeczeństwie, że odpycha wyborców niezdecydowanych. Oboje należą do pokolenia złotej postkomunistycznej młodzieży, która zdążyła jeszcze obficie korzystać z przywilejów władzy w końcowym okresie realnego

Działacze Fideszu nazwali Pétera Márki-Zayego kolejnym aktorem w spektaklu reżyserowanym przez Gyurcsány, jednak widać, że są zaskoczeni i nie mają jeszcze pomysłu, jak rywalizować z nowym liderem opozycji

socjalizmu. Jej dziadkowie byli wysokimi funkcjonariuszami komunistycznymi, należącymi do tzw. wewnętrznego kręgu partii na Węgrzech i w Bułgarii. On z kolei swoją karierę zaczynał jako lider komunistycznej młodzieżówki KISZ, by po transformacji ustrojowej zamienić się w biznesmena i jednego z najbogatszych ludzi w kraju.

Większość mieszkańców pamięta, że to właśnie Gyurcsány jako premier doprowadził do finansowego kryzysu, który sprawił, iż Węgry znalazły się niemal w takiej samej sytuacji jak Grecja, wręcz na skraju bankructwa. Madziarzy wciąż mają też w pamięci słynną mowę wygłoszoną na zamkniętym spotkaniu partii socjalistycznej w 2006 r., której nagranie wydostało się na zewnątrz i zostało wyemitowane w radiu. Ówczesny

premier, podsumowując zwycięską kampanię wyborczą, mówił do swych partyjnych towarzyszy: „Kłamaliśmy przez ostatnie półtora roku. [...] Kłamaliśmy w dzień i w noc. [...] Nie mieliśmy wyboru, bo spies...doliliśmy gospodarkę, i to nie tylko trochę, ale bardzo. [...] Nie znajdziecie ani jednego znaczącego posunięcia, z którego moglibyśmy być dumni”. W tym samym przemówieniu Gyurcsány aż trzy razy nazwał Węgry „tym ku...ewskim krajem”.

Ci, którzy zapomnieli o tamtym wystąpieniu lub byli za młodzi, by je pamiętać, mają teraz okazję, by się z nim zapoznać, ponieważ prawnicowe media powtarzają je na okrągło. Poza tym 21 października na ekrany węgierskich kin wszedł film pt. „Elk...truk”, co w tłumaczeniu na język polski brzmi „Spies...doliliśmy”. Tytuł obrazu nieprzypadkowo nawiązuje do słynnych słów z przemówienia Gyurcsány. Film fabularny, którego twórcą jest angielski reżyser Keith English, opowiada o fikcyjnych osobach, których przygody dzieją się na tle autentycznych wydarzeń w Budapeszcie w 2006 r., takich jak ujawnienie kompromitujących „taśm Gyurcsány” czy brutalne tłumienie przez policję demonstracji z okazji 50-lecia antykomunistycznego powstania.

To wszystko byłoby idealnym tłem do starcia Viktora Orbána z Klárą Dobrev, o której wszyscy wiedzą, iż została wystawiona do boju tylko dlatego, że jej mąż jest zbyt niepopularny, a jednak to właśnie on z tylnego siedzenia kieruje całą jej kampanią. Prawyborzy sprawiły jednak, że ktoś inny stanie się twarzą opozycji.

UPADEK I ODRODZENIE GYURCSÁNYA

Zwycięstwo Pétera Márki-Zayego z zaledwie przyjęte zostało również w głównej partii opozycyjnej, czyli Koalicji Demokratycznej Ferenc Gyurcsány. Jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się, że jest to polityk tak skompromitowany, iż jego kariera publiczna została definitywnie pogrzebana. Stał się obciążeniem nawet dla własnego ugrupowania, które w 2009 r. najpierw usunęło go

ze stanowiska premiera, a potem zmusiło do rezygnacji z szefowania partii socjalistycznej. Dwa lata później opuścił więc szeregi macierzystej formacji i założył Koalicję Demokratyczną. Niewiele osób wierzyło w powodzenie jego inicjatywy. W 2014 r. zdobyła ona cztery mandaty w parlamencie, a w 2018 r. już dziewięć. Obecnie, na skutek kryzysu innych środowisk opozycyjnych, stała się po lewicowo-liberalnej stronie największą siłą polityczną.

To właśnie Ferenc Gyurcsány był inicjatorem zjednoczenia wszystkich formacji opozycyjnych. Wiedząc, jak bardzo jest osobiście niepopularny, uznał, że jedyną szansą na powrót do władzy jest zbudowanie jak najszerzego obozu, w którym będą dominować inne twarze. On sam pozostawałby w cieniu, będąc jednak głównym rozgrywającym. Wewnątrz zjednoczonej opozycji zawarł też nieformalny układ z Péterem Jakabem, co sprawiło, że Koalicja Demokratyczna i Jobbik stały się najważniejszymi siłami, współpracującymi razem i dominującymi nad resztą politycznego planktonu.

Jeszcze kilka lat temu taki alians wydawał się niemożliwy, ponieważ stanowił połączenie ognia z wodą. Na szerokie wody nacjonalistyczny Jobbik wypłynął przecież w 2006 r. na skutek demonstracji ulicznych przeciw Gyurcsányowi, który jawił się narodowcom jako wróg publiczny nr 1. Obecnie jest sojusznikiem nr 1. W deklaracji założycielskiej Jobbiku z 2003 r. możemy przeczytać, iż „podstawowym zadaniem jest odebranie władzy politycznej partii komunistycznej oraz zjednoczonych z nią ekstremistycznych liberalów”. Dziś właśnie z tymi siłami Jobbik idzie ramię w ramię po władzę.

Były lider tej partii w latach 2006–2018 Gábor Vona napisał niedawno: „Choć może to zabrzmieć dziwnie, największe pokrewieństwo emocjonalne rozwinęło się między wyborcami Jobbiku i DK [Koalicji Demokratycznej]. Są to dwie siły, które konsekwentnie sprzeciwiają się polityce rządu najgłośniej i najczęściej, co sprawia, iż doszliśmy teraz do punktu, w którym DK i Jobbik stały się statkiem transportowym, którym ich wyborcy płyną razem ze sobą. Nowy pakt między obu stronami został więc od dawna zawarty przez ich zwolenników”.

W tym kontekście zwycięstwo w prawyborach Pétera Márki-Zayego stanowi pomieszenie szyków dwóm głównym siłom opozycyjnym. Tym bardziej że zwycięski polityk jest outsiderem niereprezentującym żadnej z sześciu partii skupionych w antyrządowym bloku. Z jednej strony może to być jego atutem, ponieważ jest postrzegany jako osoba nieuwikłana w międzypartyjne rozgrywki, z drugiej natomiast będzie stanowić zasadniczą trudność, gdyby doszło do formowania nowego rządu. Na czele gabinetu stanąłby bowiem polityk pozbawiony jakiegokolwiek zaplecza w parlamencie. Jak mogło dojść do takiej sytuacji?

PLAN SOROSA?

Ogólnokrajowy rozgłos Péter Márki-Zay zdobył w lutym 2018 r., gdy wygrał przedterminowe wybory na burmistrza Hódmezővásárhely, ogłoszone po śmierci zmarłego poprzednika. Miasto od lat było bastionem Fideszu, a muiowanym faworytem do zwycięstwa wydawał się przedstawiciel partii rządzącej. Przegrał jednak z nieznanym szerzej działaczem lokalnym, i to dość wyraźnie: 41,63 do 57,49. Porażka Fideszu nie nastąpiła dlatego, że stracił on poparcie miejscowej ludności, lecz dlatego, że cała zjednoczona opozycja poparła jednego kandydata.

Było to 40 dni przed planowanymi na kwiecień 2018 r. wyborami parlamentarnymi. Kilka dni później portal Origo ogłosił, że wszystkie partie lewicowo-liberalne postanowiły zawrzeć pod patronatem George'a Sorosa zakulisowy układ, by w każdym ze 106 okręgów jednomandatowych wycofać wszystkich swoich kandydatów za wyjątkiem jednego – tego, który ma największe szanse na pokonanie reprezentanta Fideszu. Chodziło o to, aby efekt Hódmezővásárhely powtórzyć w skali całego kraju. Nie udało się tego zrealizować, ponieważ było za mało czasu i karty wyborcze z nazwiskami wszystkich kandydatów zostały już wydrukowane, a poza tym do porozumienia nie dołączył Jobbik pod wodzą Gábora Vony. Ostatecznie elekcja zakończyła się zwycięstwem przez Fidesz trzeci raz z rzędu większości konstytucyjnej.

W przyszlucznych wyborach opozycja chce powrócić do tamtego planu. Tym razem przygotowania zaczęła już kilkanaście miesięcy przed głosowaniem, do pomysłu udało się zaś przekonać Jobbik pod nowym kierownictwem Pétera Jakaba. Po ostatnich prawyborach twarzą przedsięwzięcia okazał się ten, którego przykład dał impuls do zjednoczenia opozycji, czyli Péter Márki-Zay.

Dla Fideszu może być on trudnym rywalem. Nielatwo bowiem katolika ze szlacheckim rodowodem, deklarującego się jako konserwatysta, członka rady parafialnej z dyplomatem na katolickim uniwersytecie oraz męża jednej żony i ojca siedmiorga dzieci, zaklasyfikować jako człowieka lewicy. Ten ekonomista z wykształcenia pracował głównie na stanowiskach kierowniczych i menedżerskich (w tym w latach 2004–2009 w Kanadzie i USA) oraz jako wykładowca na uniwersytecie w Szegedzie. Na burmistrza rodzinnego Hódmezővásárhely był wybierany dwukrotnie: w 2018 i 2022 r.

W swym przemówieniu po zwycięstwie w prawyborach mówił, że pragnie Węgier, w których nikt nie będzie czuł się wykluczony: ani Żydzi, ani Cyganie, ani geje, ani mieszkańcy wiosek, ani miast, ani zwolennicy lewicy, ani prawicy, w tym także Fideszu. Zapowiedział, że jego celem jest nie tylko zastąpienie Fideszu i Orbána, lecz także dotychczasowej kultury politycznej, aby rządziła miłość zamiast nienawiści.

Działacze Fideszu nazwali Pétera Márki-Zayego kolejnym aktorem w spektaklu reżyserowanym przez Gyurcsány, jednak widać, że są zaskoczeni i nie mają jeszcze pomysłu, jak rywalizować z nowym liderem opozycji. Niektórzy publicyści piszą, iż stanowi on poważne niebezpieczeństwo dla rządzących, ponieważ może przejąć część elektoratu prawicy.

Kilka dni po prawyborach fundacja Századvég przeprowadziła sondaż wśród osób, które widziałyby obecnego burmistrza Hódmezővásárhely jako przyszłego premiera Węgier: 44 proc. z nich określiło swoje poglądy jako lewicowe, a 45 proc. jako prawicowe. Aż 93 proc. wszystkich zwolenników Pétera Márki-Zayego chce też głosować na zjednoczoną opozycję. Przed Fideszem staje więc nowe wyzwanie.



Francuski Trump

Konserwatywny publicysta Éric Zemmour chce zdobyć Pałac Elizejski, ale jeszcze bardziej zależy mu na stworzeniu nowej siły na francuskiej prawicy, w chwili gdy polityczna gwiazda Marine Le Pen zaczyna blaknąć



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Francja umiera. Nie, Francja jest już martwa. Nasze elity polityczne, gospodarcze, administracyjne, medialne, intelektualne oraz artystyczne pluja na jej grób i depczą jej płonące zwłoki – ostrzegał Éric Zemmour, pisarz, eseista oraz publicysta dziennika „Le Figaro”, w 2014 r. w swojej

książce „Francuskie samobójstwo” (Le suicide français). Było to swoiste rozliczenie z krajem, który niszczy się sam. „Oni piszą właśnie ostatnie akapity naszej historii” – przekonywał. Dekonstruuja wszystko to, co stanowi fundamenty Francji. Jej tradycje, zwyczaje, wartości, aż zostanie tylko nic. „Oni” to oczywiście gnuśne liberalne elity. A na ratunek – konstatował Zemmour – jest już za późno.

Ale to było siedem lat temu. Od tego czasu publicysta, bezlitośnie piętnujący poświęcanie „wszystkiego co francuskie” na ołtarzu wielokulturowości, zmienił zdanie. Wszystko nie jest jeszcze stracone. Napisał więc kolejną książkę „Francja nie powiedziała swojego ostatniego słowa” (La France n’a pas dit son

dernier mot), która stała się z miejsca bestsellerem (sprzedał w ciągu dwóch tygodni ponad 130 tys. egz.), oraz ogłosił, że rozważa kandydowanie w wyborach prezydenckich zaplanowanych na wiosnę 2022 r. Tytuł książki stał się hasłem jego kampanii. Program Zemmoura jest prosty: Francja upada z powodu masowej imigracji, lewicowej ideologii, dyktatu Brukseli oraz skorumpowania zakochanej w sobie i zepsutej politycznej elity. Upadkowi można jeszcze zapobiec, ale czasu jest mało. „Musimy działać teraz, natychmiast!” – apeluje.

Francji nie uratuje jednak ani Emmanuel Macron, obecny prezydent oraz przedstawiciel krytykowany przez publicystę gnuśnych elit, ani nawet Marine

Fot. mact/roland/shutterstock



Le Pen, która łagodząc swój przekaz polityczny w ostatnich latach, zdaniem Zemmoura zdradziła wspólne prawicowe ideały. Ani podzielona centroprawica. Nie, ratować Francję musi on sam.

TRZECI NA PODIUM

Początkowo francuskie elity medialno-polityczne nie traktowały zapowiedzi startu Zemmoura w wyborach poważnie. Uznały ją za zabieg piarowski, mający wypromować jego książkę. Tymczasem jego notowania rosły. Z najnowszego sondażu opublikowanego 20 października przez instytut Ifop-Fiducial wynika, że prezydent Macron może liczyć w pierwszej turze na wynik 24–27 proc. głosów. Na drugim miejscu znalazła się przewodnicząca Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen z poparciem 17–18 proc. Podium zamyka właśnie Zemmour (16–17 proc. głosów). To sporo, biorąc pod uwagę, że nadal nie ogłosił oficjalnie swojej kandydatury i nikt do końca nie wie, czy rzeczywiście to zrobi. Na czwartym miejscu uplasował się reprezentujący centroprawicowych Les Républicains (LR) Xavier Bertrand z 15 proc. głosów, a za jego plecami inni kandydaci ze środowiska Republikanów – Valérie Pécresse i Michel Barnier, były unijny negocjator ds. brexitu – oboje w okolicy 10 proc.

Żaden z kandydatów lewicy oraz skrajnej lewicy nie ma szans na przekroczenie 10 proc. poparcia. Francja jest prawicowa. Francuzów martwią: masowa imigracja, radykalny islam i bezpieczeństwo wewnętrzne. Pandemia COVID-19 tylko przyspieszyła skręt społeczeństwa ku politycznej prawicy, obnażając słabości państwa. Przekaz Zemmoura trafia więc na podatny grunt. Pod koniec czerwca br. w wielu gminach (było ich ponad tysiąc) pojawiły się plakaty z podobizną publicysty oraz hasłem: „Zemmour na prezydenta”. Rozwiesiło je stowarzysze-

nie Przyjaciele Érica Zemmoura. Akcja odbyła się tuż po porażce Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen w wyborach samorządowych. Wsparli ją liczni samorządowcy, np. burmistrz gminy Orange, położonej w dolinie Rodanu, na północ od Awinionu. Jacques Bompard to jeden ze współzałożycieli Frontu Narodowego, który opuścił w 2005 r. Dziś kieruje własną partią o nazwie Liga Południowa. Bompard, podobnie jak wielu innych rozczarowanych byłych politycznych towarzyszy Marine Le Pen, widzi w Zemmourze szansę na pokonanie politycznego establishmentu w Paryżu, do którego zalicza dziś także liderkę Zjednoczenia (a dawniej Frontu) Narodowego. Dla Bomparda i coraz liczniejszych rozczarowanych Le Pen porzuciła zarówno tożsamościowe postulaty partii (Francja chrześcijańska), jak i souwerenistyczne (wyjście Francji z Unii Europejskiej, a co najmniej odzyskanie części władzy decyzyjnej od Brukseli), w zamian za poparcie wyborców centrum i dostęp do salonu. Zdaniem Bomparda Le Pen jest „prosta i wulgarna” i po licznych nieudanych próbach zdobycia fotela prezydenckiego ma dziś taką samą szansę nim zostać, jak on sam ma szansę zostać biskupem. A przyszłoroczne wybory prezydenckie będą przypominały te z 2017 r.: ci sami kandydaci – Macron i Le Pen, te same postulaty, ten sam wynik. A w tle 30 lat nieskutecznej polityki w dziedzinie migracji i bezpieczeństwa.

POLITYCZNIE NIEPOPRAWNY

Na tym tle Zemmour jawi się jako światło w tunelu. Świeży, nieskalany udziałem w politycznej machinie nad Sekwaną. Wierny wartościom, którym hołdują zwolennicy tożsamościowej prawicy. Bompard już stworzył pierwsze komitety poparcia dla Zemmoura. Zbierane są fundusze na jego kampanię

prezydencką. Zemmour otrzymał także poparcie pisarza Michela Houellebecqa, autora „Uległości” (Soumission), który zadeklarował w wywiadzie z pismem „Les Inrockuptibles”, że wprawdzie już dawno nie głosuje w wyborach, ale jeśli miałby to zrobić, to oddałby swój głos właśnie na Zemmoura. Le Pen może, jego zdaniem, zatrzymać masową imigrację, ale nie zatrzyma islamizacji. Jest to proces duchowy, zmiana paradygmatu. Francja muzułmańska wciąż byłaby suwerennym państwem, ale nie byłaby już Francją. „Eric, on to rozumiał. Obawiam się jednak, że Francuzi nie chcą podjąć ryzyka ratowania samych siebie. Nie obchodzi ich dusza Francji” – zaznaczył pisarz.

Skoro tak, to jakie byłyby realne szanse Zemmoura w tym wyścigu? Mainstreamowe media od dawna przedstawiają go jako nienawidzącego kobiet rasistę oraz islamofoba. Po tym jak w 2019 r. nazwał muzułmanów „kolonizatorami”, został skazany na grzywnę w wysokości 10 tys. euro za podżeganie do nienawiści (był to już drugi raz, za to samo został już skazany w 2011 r.). Jednocześnie ma on niekwestionowane atuty. Jest postacią spoza polityki, popularną (jego program na kanale CNews oglądało średnio milion osób), znaną z ostrej retoryki oraz odwagi: nie boi się mówić, co myśli, nawet jeśli narusza to zasadę poprawności politycznej. Jest to coś, na co wielu mainstreamowych polityków, także tych na prawicy, nie może sobie pozwolić. Ponadto jego przekaz mobilizuje wyborców. Tych, którzy dawno przestali chodzić do urn, oraz tych z konserwatywnej elity, do których nie trafia przekaz Le Pen. Elektorat Zemmoura to dawny elektorat François Fillona, który wypadł z wyścigu prezydenckiego w 2017 r. z powodu zarzutów o korupcję. A miał spore szanse na zwycięstwo.

Wypełnia on także programową pustkę na prawicy, gdzie aż kłębi się od potencjalnych kandydatów (w LR jest ich aż kilkunastu), ale brakuje idei. Nikt nie wie, o co chodzi centroprawicy, a najmniej wie to ona sama. Tymczasem przekaz Zemmoura jest radykalny, ale jasny. Od 20 lat mówi to samo. O elitach, które nad niczym nie panują, kapitulują przed islamem. A jak pokazują badania, 70 proc. Francuzów uważa, że politycy i media mówią o rzeczach, które ich nie dotyczą, przemilczając te, które są dla nich istotne,



np. bezpieczeństwo. Zemmour daje więc głos tym, którzy są niesłyszalni. Mówi o rzeczach, o których mówić nie wolno, jak rzeczywistość życia w imigranckich gettach. – Zemmour korzysta na poważnym kryzysie reprezentacji, który toczy Francję. Im bardziej jest stygmatyzowany, tym bardziej rośnie mu poparcie w sondażach, bo ludzie się z nim utożsamiają – podkreśla politolog Dominique Reynié. Jest wyrazem sprzeciwu wobec zepsutego systemu. Czymś w rodzaju francuskiego Trumpa.

BRAK DOŚWIADCZENIA

To, co stanowi jego siłę, jest jednocześnie jego słabością. – Zemmour niczym nigdy nie zarządzał i nagle musiałby zarządzać państwem. Podczas głosowania wyborca zawsze się zastanawia, czy postać odpowiada funkcji. Taka jest różnica między intencją głosowania a aktem głosowania – ostrzega politolog Olivier Rouquan. Według niego publicysta może się ograniczać do analizowania błędów, wytykania elitom przewinień. Polityk musi mieć program pozytywny. Propozycje jak to, co zostało zepsute, naprawić. A Zemmour takiego programu zwyczajnie nie ma. Bo trudno traktować poważnie jego wypowiedzi o tym, że część muzułmanów mieszkających we Francji należy wywieźć do ich krajów pochodzenia.

„Éric to mój przyjaciel. Rozumiem, że chce się angażować w tę walkę, ale to nie jest dobry pomysł. Kampania prezydencka to ogromna machina. On nigdy nie robił takiej kampanii i nie ma za sobą partii politycznej. Nie uda mu się zgromadzić wokół siebie wyborców. Wywieszanie plakatów zwyczajnie nie wystarczy” – powiedziała tygodnikowi „L’Express” Nadine Morano, europosłanka Les Républicains. To oczywiście nie do końca prawda. Zemmour zebrał wokół siebie doświadczonych specjalistów od kampanii politycznych, byłych współpracowników Nicolasa Sarkozy’ego czy Alaina Juppé, oraz zapewnił sobie solidne finansowanie. Biznesmen Charles Gave, który opuścił Francję po zwycięstwie wyborczym François Mitterranda w 1981 r., wpłacił na jego kampanię już ponad 300 tys. euro.

Otoczył się także wieloma byłymi współpracownikami Marine Le Pen. Jednak nie wszyscy są przekonani, że kampania, mimo licznych podróży Zemmoura po kraju i spotkań z wyborcami, zakończy się ogłoszeniem jego kandydatury. Zdaniem niektórych francuskich mediów publicysta ma przesunąć punkt ciężkości debaty w kierunku tematów, takich jak masowa migracja czy bezpieczeństwo, by osłabić pozycję Macrona, który walczy o reelekcję. Jest zającem w tym wyborczym wyścigu, który z niego odpadnie daleko przed metą. No bo jak miałby rządzić bez partii wspierającej go w parlamencie? Macron też partii nie miał, ale ją szybko stworzył (La République en Marche), i nawet jeśli jest ona dziś wydmuszką, grupą poparcia prezydenta ze słabym

Zemmour otrzymał także poparcie pisarza Michela Houellebecqa, autora „Uległości”, który zadeklarował, że jeśli miałby głosować w wyborach, to właśnie na publicystę „Le Figaro”

osadzeniem w terenie, to jest. Zemmour nie ma nawet tego. On sam twierdzi, że taką partię jeszcze stworzy, po wyborach prezydenckich, pozyskując chętnych z centroprawicy i otoczenia Le Pen. Podstawę nowego ugrupowania ma stanowić stowarzyszenie, które go popiera i jest już mocno osadzone w gminach. Jak twierdził Zemmour w rozmowie z radiem Europe 1, trzy czwarte kandydatów w wyborach parlamentarnych, które odbędą się tuż po prezydenckich, już znalazł. Listy są cały czas tworzone. Swoją kandydaturę w wyścigu o najwyższy urząd w państwie ma natomiast ogłosić na przełomie października i listopada.

NOWA PRAWICA

Największe obawy Zemmour wywołuje zresztą w obozie Le Pen. Jeśli uda

mu się uzyskać choćby 15 proc. głosów w pierwszej turze wyścigu o Pałac Elizejski, znacznie osłabi liderkę Zjednoczenia Narodowego przed drugą turą. Nie wspominając o ryzyku, że uzyska większe od niej poparcie i sam do niej wejdzie. Im bardziej rośnie mu bowiem w sondażach, tym bardziej spada Le Pen. We francuskiej prawicy się gotuje, a Zemmourowi udało się ożywić nudną i przewidywalną kampanię, na której końcu miał stać ten sam pojedynek co w 2017 r. Ponadto czas Le Pen zaczyna powoli mijać. Dwa starty w wyborach prezydenckich i dwie porażki każą nawet jej zwolennikom wątpić, czy jest ona zdolna do zdobycia Pałacu Elizejskiego. Kolejna porażka otworzyłaby drogę dla nowego ruchu politycznego na prawicy. W sam raz na wybory w 2027 r. Z Zemmourem na czele czy bez. Byłby to ruch o wiele większy niż Zjednoczenie Narodowe, obejmujący wszystkie odłamy prawicy. Tej wywodzącej się z chadecji, ruchu La Manif Pour Tous, centroprawicy i ugrupowań tożsamościowych. Taki jest długofalowy cel Zemmoura i jego doradców. I to może się udać w kraju, gdzie rozdzwięk między elitami a obywatelami jest tak duży i z każdym dniem rośnie.

Zemmour byłby oczywiście z punktu widzenia Polski kandydatem (a jeśli wygrałby wybory prezydentem) kłopotliwym. Jest otwarciem prorosyjski, wielokrotnie podkreślał, jak bardzo podziwia Władimira Putina i jak bardzo mu się nie podoba, że Rosja jest „osaczona przez NATO”. Tą postawą nie odróżnia się on jednak znacząco od reszty kandydatów na tożsamościowej prawicy, którzy okupują podobne pozycje, takich jak Marine Le Pen, Nicolas Dupont-Aignan, oraz tych na skrajnej lewicy, jak Jean-Luc Mélenchon, kandydat Francji Niepokornej (La France Insoumise). Wszystkim im marzy się Europa od Atlantyku po Ural, a Putin jawi się jako instrument powstrzymania zepsucia – Zachodu lub kapitalizmu. Urzędujący prezydent Macron także raczej do rusofobów nie należy. W zeszłym roku podjął kolejną już próbę zbliżenia z Kremlm. W końcu Macron jest zadeklarowanym gaullistą, podobnie jak Zemmour, i jest to jedyna rzecz, która ich obecnie łączy.

Witajcie w erze ubóstwa energetycznego

To jest rewolucja. Zielona rewolucja. Nieprzypadkowo wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Frans Timmermans wybrał dzień 14 lipca, a więc rocznicę wybuchu rewolucji francuskiej. Skutek ma być ten sam: zmienić Europę nie do poznania. Holenderski polityk ogłosił wówczas pakiet legislacyjny „Fit for 55”, którego celem jest walka ze zmianami klimatycznymi. Program stawia przed krajami Unii wysrubowane zadania: zmniejszenie do 2030 r. emisji gazów cieplarnianych o 55 proc. w stosunku do roku 1990 oraz osiągnięcie zerowej emisji netto do 2050 r.

BEZ PRĄDU

Jeśli plan zostanie wcielony w życie, odczują to na swoim grzbiecie wszyscy mieszkańcy Europy, zwłaszcza ci najouboźsi. Nadchodzi czas, by wprowadzić do naszego słownika wyrażen politycznych nowe pojęcie „ubóstwo energetyczne”. Taki wniosek wynika z rozmowy, jaką niedawno na antenie czeskiej telewizji Nova przeprowadzili dwaj eksperci: Petr Kušý – członek państwowej Rady Urzędu Regulacji Energetyki, oraz Václav Bartuška – specjalny ambasador ds. bezpieczeństwa energetycznego w MSZ.

Obaj twierdzą, że polityka klimatyczna UE doprowadzi w krótkim czasie do drastycznego wzrostu cen energii. Wzrośnie też zagrożenie przerwami w dostawach prądu w całej Europie, co może pozbawić elektryczności miliony gospodarstw domowych. Wymusza się bowiem rezygnację z tradycyjnych źródeł pozyskiwania energii, nowe (czyli odnawialne) nie są zaś w stanie szybko ani efektywnie ich zastąpić. Panele fotowoltaiczne i farmy wiatraków nie dają takiej pewności działania jak elektrownie węglowe, ponieważ nie da się rozkazywać słońcu i wiatrowi. Ostatniej zimy przekonali się o tym mieszkańcy Bawarii i Austrii, którym groziło wyłą-

Politycy forsujący Nowy Zielony Ład nie mówią o kosztach tego programu, np. drastycznych podwyżkach cen energii czy przerwach w dostawach prądu

czenie prądu, jednak ciągłość dostaw została w ostatniej chwili uratowana dzięki przesyłowi energii z elektrowni węglowych w Czechach.

We wspomnianej rozmowie pojawiło się stwierdzenie, że Nowy Zielony Ład, forsowany obecnie przez Komisję Europejską, może doprowadzić do sytuacji, w której wyniku jedna trzecia ludności UE (ponad 100 mln) może popaść w ubóstwo energetyczne. W 10-milionowych Czechach może to być nawet 3,5 mln osób. Drastyczne podniesienie cen energii zmniejszy bowiem konkurencyjność gospodarki. Pociągnie to za sobą koszty społeczne, związane z bankructwami dużych przedsiębiorstw, masową utratą miejsc pracy oraz koniecznością przekwalifikowania się całej branży przemysłowej, co wiąże się z kolejnymi obciążeniami finansowymi.

WIDMO PODWYŻEK

Koszty zielonej transformacji energetycznej ponoszone są już zresztą obecnie. Nie trzeba czekać na osiągnięcie planowanych przez Brukselę celów, by się o tym przekonać. Wprowadzanie Nowego Zielonego Ładu dokonuje się już bowiem od jakiegoś czasu i niesie ze sobą konkretne skutki finansowe. W ciągu ostatniego roku cena energii w strefie euro wzrosła o 32 proc., a szy-

kują się nowe podwyżki. W Czechach pod koniec roku ma dojść do skoku cen prądu nawet o 50 proc. Także Polski nie ominie podobne zjawisko.

Nawet w Niemczech, które są liderem Green Dealu, rośnie niezadowolenie z powodu zielonej transformacji. W marcu Federalny Trybunał Obrachunkowy opublikował raport, który nie pozostawił suchej nitki na rządowej polityce energetycznej. Na miazdzącą ocenę złożyły się dwa czynniki: zagrożenie bezpieczeństwa dostaw energii oraz olbrzymie koszty przerzucane na barki zwykłych obywateli. Oblicza się, że tzw. Energiewende ma kosztować 520 mld euro (w tym budowa nowych tras przesyłowych, która opóźniona jest już o pięć lat – ok. 85 mld). Wszystkie te inwestycje mają być finansowane z opłat sieciowych, czyli z kieszeni odbiorców prądu. Już teraz jednostkowy koszt energii elektrycznej w przeciętnym niemieckim gospodarstwie domowym jest wyższy o 43 proc., niż wynosi średnia w UE, w przyszłości planowane są zaś kolejne podwyżki.

AWARIA SYSTEMU

Podobne problemy dotyczą USA, gdzie w kwietniu Joe Biden przedstawił ambitny plan zakładający, że do 2030 r. gospodarka Stanów Zjednoczonych będzie emitować o połowę mniej gazów cieplarnianych niż w roku 2005, do 2035 r. wszystkie elektrownie w USA zaś będą zeroemisyjne.

Co miałyby to konkretnie oznaczać? Amerykański naukowiec Roger Pielke Jr zauważa, że dziś w USA działają 1852 elektrownie węglowe i gazowe. Jeśli projekt Bidena miałby zostać zrealizowany, to do 2035 r. wszystkie one będą musiały zostać zamknięte lub przekształcone w elektrownie zeroemisyjne (dodajmy: przy użyciu technologii wychwytywania i składowania dwutlenku węgla, które obecnie jeszcze



nie istnieją). Oznacza to, że począwszy od dziś, w USA będzie musiało być zamykanych każdego miesiąca ponad 11 elektrowni na paliwa kopalne.

Już teraz stany, które przodują we wprowadzaniu Nowego Zielonego Ładu, mają olbrzymie problemy z energią. Na początku lata Komisja Usług Publicznych w Kalifornii wysłała do mieszkańców zalecenie, by w godzinach szczytu poboru energii (między 16 a 21) z powodu przewidywanych przerw w dostawie prądu nie robili prania, rozwieszali uprane ubrania zamiast używać suszarek elektrycznych, wyłączali światła zewnętrzne, nie otwierali niepotrzebnie lodówek i zamrażarek, poprzysuwali meble w pokojach w taki sposób, by nie utrudniały one naturalnej cyrkulacji powietrza, zaciemniali okna, nie ładowali telefonów komórkowych i laptopów, a zamiast przyrządzać potrawy w piekarniku elektrycznym, upiekli coś na grillu na świeżym powietrzu.

Podobne uciążliwości dręczą mieszkańców Teksasu, którzy zimą cierpieli na braki dostaw prądu z powodu mrozów i śniegów, a latem z powodu upałów. W obu przypadkach wynikało to z niewydolności systemu opartego w zbyt dużej mierze na słońcu i wietrze. W związku z tym władze stanowe poprosiły mieszkańców, by podczas najgorętszych dni unikali włączania klimatyzacji i innych energochłonnych urządzeń, bo w przeciwnym razie może dojść do awarii całego systemu.

SKUTKI DEKARBONIZACJI

Wydawać by się mogło, że tego rodzaju kłopoty ominą Chiny. Nic bardziej mylnego. Jak podaje agencja AsiaNews, kryzys energetyczny w Państwie Środka przeżywa obecnie aż 16 z 31 prowincji. Przerwy w dostawach prądu dotyczą nie tylko fabryk czy portów, lecz także prywatnych mieszkań. W sieciach społecznościowych miejscowa ludność skarży się na brak ogrzewania, wyłączanie sygnalizacji świetlnej i lamp ulicznych oraz niemożność korzystania z wind. Na kryzys wpłynęły m.in. ograniczenia dostaw węgla oraz wzrost ceny tego surowca, co spowodowało w niektórych prowincjach podwyżki energii elektrycznej o 10 proc.

Według AsiaNews wspomniane perturbacje wynikają z polityki dekarbonizacji prowadzonej przez rząd w Pekinie. W zeszłym roku Xi Jinping bowiem ogłosił, że jego kraj do 2060 r. wyeliminuje emisję zanieczyszczeń z elektrowni węglowych. Wprowadzanie tego planu rozpoczęła już część lokalnych komisji ochrony środowiska. Co znamienne, wspomniane działania wywołały sprzeciw wielu europejskich i amerykańskich firm (zwłaszcza z branż chemicznej i farmaceutycznej), które mają swoje fabryki w Chinach. Krytykują one zbyt radykalny program klimatyczny niektórych prowincji, skarżąc się, iż wyłączanie prądu zagraża ich działalności, zwłaszcza ciągłości dostaw towarów do krajów przeznaczenia.

KREW, POT I ŁZY

Jest regułą, że Nowy Zielony Ład wszędzie na świecie wprowadzany jest odgórnie, metodami administracyjnymi, bez liczenia się z uwarunkowaniami ekonomicznymi. Wszędzie wymusza on gwałtowne zmiany na rynku energetycznym, które powodują takie same konsekwencje. Dla obywateli przede wszystkim podniesienie kosztów życia, dla większości państw – stagnację gospodarczą. Im ktoś mniej zamożny, tym mocniej odczuje to na swojej skórze.

Politycy najczęściej tłumaczą Green Deal koniecznością walki ze zmianami klimatycznymi. Nie przedstawiają jednak ludziom ceny, jaką przyjdzie zapłacić za tę politykę. Jeśli Nowy Zielony Ład ma być kontraktem społecznym, jak to się często przedstawia, to obywatele powinni wiedzieć, na co się godzą. Powinni mieć świadomość, że wyrażają zgodę na podwyżki, zubożenie, przerwy w dostawach prądu, regres ekonomiczny, wzrost bezrobocia czy rezygnację z wielu udogodnień (np. korzystanie z tanich linii lotniczych, które mają zniknąć). To cena, jaką przyjdzie zapłacić Europejczykom za energetyczną transformację. Politycy powinni zaś mieć odwagę, by – tak jak Churchill – powiedzieć swoim wyborcom, że obiecują im „krew, pot i łzy”.

Grzegorz Górny

*W zatrudnianiu
prywatnych firm
i formacji wojskowych
do rozwiązywania
różnego rodzaju
konfliktów na
świecie prym
wiodą Amerykanie.
Kroku zaczynają im
dotrzymywać Rosjanie,
a także Turcy*

Powrót najemników

Matt Powers, amerykański major pracujący w Dowództwie Połączonych Sztabów, napisał w specjalistycznym portalu War on the Rocks, że mało znana światowej opinii publicznej prywatna turecka kompania wojskowa SADAT „jest najlepszym przykładem ewolucji prywatnego sektora wojskowego” i turecką odpowiedzią na działanie podobnych formacji rosyjskich w rodzaju Grupy Wagnera czy firm amerykańskich. Ta prywatna firma, powołana przez Adnana Tanriverdiego, generała brygady w stanie spoczynku, znanego ze swych islamistycznych sympatii, uznawana jest przez specjalistów za jedno z najistotniejszych narzędzi asertywnej polityki zagranicznej, jaką uprawia Recep Tayyip Erdoğan.

Kiedy jesienią ubiegłego roku wybuchła wojna między Azerbejdżanem

a Armenią, światowe media obiegly informacje o syryjskich najemnikach walczących po stronie Baku. Mieli oni być werbowani z grona protureckich milicjantów w syryjskim Idlibie i wysyłani na front właśnie przez firmę Tanriverdiego. Wcześniej ludzie zatrudnieni w SADAT wspierali rząd Libii, który zmagał się z ofensywą samozwańczego marszałka Chalify Haftara, po którego stronie walczyli zresztą rosyjscy najemnicy z Grupy Wagnera. Dziś uważa się, że sukces rządu w Trypolisie, któremu udało się powstrzymać ofensywę Haftara i przejść do kontruderzenia, był możliwy dzięki poparciu Turcji. W praktyce polegało to na tym, że Ankara wysłała do Libii przede wszystkim ludzi z prywatnej firmy wojskowej SADAT, w mniejszym stopniu ryzykując życie żołnierzy z regularnych sił zbrojnych.

BRUTALNI WAGNEROWCY

Ta strategia Turcji była zresztą lustrzanym odbiciem tego, co zrobili Rosjanie, którzy do Libii przerzucili z Syrii co najmniej tysiąc najemników z Grupy Wagnera. Zdobyty latem tego roku przez dziennikarzy BBC laptop należący do jednego z wagnerowców pozwolił ustalić, że w Libii zajmowali się oni m.in. podkładaniem min pułapek w obszarach zurbanizowanych, min w zabawkach dla dzieci, co jest zabronione przez międzynarodowe konwencje, a także, iż dysponowali tam ciężkim sprzętem, takim jak czołgi i wyrzutnie rakietowe, oraz dronami bojowymi, co nie byłoby możliwe, gdyby nie cieszyli się poparciem najwyższych czynników państwowych.

Oficjalnie wagnerowców – firmy kierowanej przez emerytowanego pułkownika rosyjskich wojsk po-



Fot. Shutterstock

wietrznodesantowych Dmitrija Utkina, a powiązanej, jak się uważa, z „kucharzem Putina” Jewgieniem Prigożynem – w Libii nie było. Władimir Putin pytany w styczniu 2020 r. o to, co robią oni w Libii, powiedział, że „jeśli są tam obywatele Rosji, to nie reprezentują interesów państwa rosyjskiego ani nie otrzymują żołdu od Rosji”. Ta druga część deklaracji Putina wydaje się prawdziwa, bo w przejętym laptopie znaleziono dokumenty świadczące o tym, że finansowanie zapewniała firma znana z Syrii, która otrzymała tam od rządu Asada koncesje na poszukiwanie i eksploatację złóż ropy naftowej, kapitałowo powiązana właśnie z Prigożynem. Wagnerowcy w Syrii, a wcześniej w Donbasie, dali się poznać – są na to dziesiątki dowodów, również w postaci filmów – formacja niezwykle brutalna, nie tylko mordująca, lecz również tortu-

rująca swoich jeńców. I to jest jeden z powodów wykorzystywania jej przez Moskwę – ci „współcześni wikingowie”, jak sami się określają najemnicy z Grupy Wagnera, mogą łamać międzynarodowe konwencje i stosować terror wymierzony również w ludność cywilną po to, aby w ten sposób zastraszyć przeciwników i skłonić ich do ustępstw. Są przy tym politycznie wygodni, bo ewentualne ofiary z ich grona nie obciążają rosyjskich sił zbrojnych i Moskwa może twierdzić, że „ich tam niet”.

Wagnerowcy są też w Republice Środkowoafrykańskiej, Mozambiku, w Sudanie. Rosyjscy dziennikarze ustalili, że Prigożyn, który zresztą prowadzi też znaną farmę trolli w Olgino pod Petersburgiem, oferuje afrykańskim dyktatorom „pakiet pomocy” obejmujący ochronę i wsparcie Grupy Wagnera, politycznych doradców i techniki obecności w internecie umożliwiające kontrolowanie przebiegu wyborów i wpływania na opinię publiczną. Zdaniem ekspertów ds. strategicznych, takich jak Michael Kofman z amerykańskiego think tanku CNA, Rosja realizuje obecnie coś w rodzaju strategii nękania swych przeciwników, angażując się w konflikty o niewielkiej skali, zupełnie nieporównywalne z wojnami przeszłości. Chodzi o to, aby utrzymywać napięcie, angażować siły przeciwnika, nie ryzykując pełnowymiarowej wojny. Formacje w rodzaju Grupy Wagnera, a wcześniej „zielone ludziki” na Krymie czy „traktorzyści” w Donbasie pozwalają Moskwie to właśnie osiągnąć. Niskim kosztem destabilizować sytuację, nie ponosząc jednocześnie pełnej odpowiedzialności politycznej za prowadzone działania.

TAŃSZE WOJSKO

Jednak prywatyzacja wojny to niewyłącznie domena Rosjan ani Turków. Zdecydowanie to Amerykanie dzierżą w tym zakresie palmę pierwszeństwa. Na masową skalę zatrudniają prywatne firmy i formacje wojskowe już od czasów inwazji na Irak. W tym wypadku głównym motywem są, jak się wydaje, finanse. Prywatni kontraktorzy są po

prostu znacznie tańsi niżli regularne siły zbrojne. Płaci im się wyłącznie za udział w operacjach, nie oczekują rozbudowanych pakietów socjalnych, nie przechodzą na przyspieszoną emeryturę. William Hartung, badacz z Uniwersytetu Browna, obliczył, że nawet połowa z 14 bln dol., jaką Stany Zjednoczone wydały na 20-letnią interwencję w Afganistanie, trafiła do prywatnych firm wojskowych – kontraktorów Pentagonu. Zajmowali się oni nie tylko logistyką czy naprawami oraz konserwacją sprzętu, lecz również uczestniczyli w działaniach bojowych czy ochraniali główne obiekty amerykańskie w rodzaju bazy lotniczej w Bagram. Spora część tych środków trafiła zresztą do lokalnych, afgańskich warlordów, którzy przekształcili swoje oddziały w prywatne firmy świadczące usługi ochrony.

Rosnące znaczenie prywatnych firm wojskowych w amerykańskiej strategii dobrze oddają analizy Government Accountability Office, instytucji kontrolnej Kongresu, której specjaliści obliczyli, że na jednego amerykańskiego żołnierza wysłanego do Iraku przypadł jeden kontraktor z prywatnej firmy, jednak w Afganistanie proporcja ta zmieniła się w ten sposób, że 70 proc. zaangażowanych sił stanowili pracujący dla prywatnych firm wojskowych. Sean McFate z waszyngtońskiego National Defence University jest zdania, że „kontraktowanie stało się nowym amerykańskim sposobem prowadzenia wojny, a linie trendów wskazują, że Stany Zjednoczone mogą w przyszłości outsource'ować 80 do 90 proc. przyszłych wojen”. W tym wypadku zdecydują względy ekonomiczne. Biuro budżetowe Kongresu obliczyło, że utrzymanie w warunkach wojennych batalionu piechoty lekkiej kosztuje amerykańskiego podatnika przez miesiąc 110 mln dol., podczas gdy prywatnej firmie za wystawienie podobnego oddziału nie płaci się więcej niż 99 mln dol. miesięcznie. W czasie pokoju jest jeszcze taniej, bo zwyczajnie rozwiązuje się kontrakt, podczas gdy miesięczne koszty utrzymania podobnej jednostki regularnych sił zbrojnych wynoszą 60 mln dol.

SIĘGAJĄ NAWET KOSMOSU

Zjawisko prywatyzacji wojny nie ogranicza się jedynie do mocarstw i państw aspirujących do tego miana. „The New York Times” donosił przy okazji zaangażowania najemników z Kolumbii w zamordowanie prezydenta Haiti, że od lat werbowani są oni przez rząd Zjednoczonych Emiratów Arabskich i wysyłani, aby walczyć w Jemenie z proirańskimi powstańcami Huti. Co rok z kolumbijskich sił zbrojnych na wcześniejsze emerytury, nieprzekraczające 400 dol. amerykańskich miesięcznie, przechodzi 10 tys. żołnierzy i oficerów. Państwo, które przez lata toczyło wyniszczającą wojnę domową z lewacką partyzantką i handlarzami narkotyków, obecnie, kiedy po zawarciu pokoju sytuacja się uspokoiła, nie potrzebuje ani nie ma środków na to, aby utrzymać tak dużą armię. W efekcie 40-letni, emerytowany żołnierz z Kolumbii, będący – jak powiedział dziennikarzom „The New York Timesa” Isaías Suache, szef jednego ze stowarzyszeń weteranów – „maszynami do zabijania”, trafiają na rynek międzynarodowy.

Nawet w Armenii działają na zlecenie władz prywatne firmy wojskowe w rodzaju Phoenix School of Bravery, które prowadzą treningi wojskowe dla mieszkańców wsi położonych przy granicy z Azerbejdżanem.

Prywatyzacja wojny to nie tylko formacje w rodzaju Blackwater Erica Prince’a czy turecki SADAT, lecz setki niewielkich wyspecjalizowanych przedsiębiorstw aktywnych we wszystkich dziedzinach. Dziś właściwie nie ma już domeny zastrzeżonej wyłącznie dla wojska. Prywatni kontraktorzy mają bazy i pilnują swobody żeglugi w regionach zagrożonych działaniem piratów, zdominowali ochronę w cybersferze, wchodzą w domeny – wydawałoby się – hermetyczne, jakimi są wywiad i kosmos.

W swym ostatnim raporcie poświęconym kwestii rozwoju satelitarnych usług telekomunikacyjnych firma konsultingowa Euroconsult formułuje tezę, że do roku 2030 wartość tego rynku wyniesie 20 mld dol., a w trzech czwartych zosta-

nie on opanowany przez firmy prywatne, co oznacza, że dotychczasowa dominacja instytucji i agencji państwowych przechodzi do historii. Eksperci Euroconsultu są zdania, że w ciągu najbliższych pięciu lat 90 proc. nowych mocy w zakresie satelitarnej transmisji danych, które wejdą do eksploatacji, będzie należało do prywatnych firm w rodzaju One Web czy Starlink lub innych start-upów kosmicznych.

Nawet połowa z 14 bln dol., jaką USA wydały na 20-letnią interwencję w Afganistanie, trafiła do prywatnych firm wojskowych. Zajmowali się oni nie tylko logistyką, lecz również uczestniczyli w działaniach bojowych

Innymi słowy kosmos, a przede wszystkim przesył danych i systemy obserwacji satelitarnej właśnie się komercjalizują w przyspieszonym tempie, co wymusi w nieodległej przyszłości liczne zmiany, w tym również w wojskowości i w działalności wywiadowczej. Erik Lin-Greenberg z Massachusetts Institute of Technology i Theo Milonopoulos z Uniwersytetu Pensylwania w artykule opublikowanym na łamach prestiżowego periodyku „Foreign Affairs” formułują tezę, że w najbliższej przyszłości w związku z rewolucyjnymi zmianami w zakresie możliwości umieszczania na orbitach geostacjonarnych przez sektor prywatny małych i tanich sztucznych satelitów uformuje się coś na kształt partnerstwa publiczno-prywatnego w tym zakresie. Już nie ociąża i niezwykle kosztowne agencje finansowane z funduszy publicznych, które zazwyczaj pochłaniają miliardy i relatywnie niewiele w zamian dają, ale sprawnie poruszające się na szybko rosnącym rynku podmioty prywatne

będą odpowiedzialne za obserwację satelitarną, łączność i transmisję danych również w celach wojskowych, a podmioty publiczne, w tym wywiad i armia, będą kupować ich usługi. Mało tego, w związku z zachodzącą na naszych oczach rewolucją technologiczną będą to systemy tańsze i trudniejsze, z racji wielkiej liczby sztucznych satelitów Ziemi, do zniszczenia.

Zdaniem ekspertów wywiad i analiza dostępnych danych, bezpieczeństwo w cybersferze, szkolenia, rozpoznanie strategiczne, ochrona danych wrażliwych, a nawet usługi w zakresie operowania dronami bojowymi, których użycie przesądziło o wyniku ostatniej wojny między Azerbejdżanem a Armenią, mogą być z powodzeniem wykonywane przez zakontraktowane firmy prywatne. Nie tylko lepiej poruszają się one w szybko zmieniających się domenach współczesnej wojny, lecz są dużo tańsze niż tradycyjne siły zbrojne, bo nie „ciągną” za sobą całego ogona socjalnego, począwszy od sortów mundurowych i mieszkań wojskowych, na przyspieszonych emeryturach skończywszy.

Wojna, w opinii Seana McFate’a, prywatyzuje się i jest to trend, którego nie da się zatrzymać. Obserwowane procesy rodzą też istotne zagrożenia. Jednym z najpoważniejszych jest obniżenie prognozy rozpoczęcia konfliktu. Jeśli można użyć „zielonych ludzików”, które nie wiadomo dla kogo działają, ich aktywność nie pociąga takiego ryzyka politycznego jak tradycyjna wojna, to politycy mogą zacząć myśleć: „Dlaczego nie spróbować?”. Mogą chcieć sprawdzić, na ile państwo postrzegane w kategoriach rywal jest wewnętrznie zjednoczone i zdolne odpowiedzieć na zagrożenie. Doświadczamy tego właśnie na naszej granicy z Białorusią. McFate uważa, że „najemnicy wrócili” i nic już nie powstrzyma rewolucyjnych zmian w sztuce prowadzenia wojny, które wiążą się z ich ponownym pojawieniem się. Państwa będą się musiały przystosować do nowych realiów i zacząć używać w swej polityce również narzędzi tego rodzaju. Może w związku z tym warto pomyśleć o polskim Academi, znanym wcześniej jako Blackwater?

Marek Budzisz

A portrait of Andrzej Szczerski, a middle-aged man with short grey hair, wearing a dark blue suit, a light blue shirt, and a blue tie. He is standing with his arms crossed in front of a colorful, patterned background that looks like a textile or tapestry. The title 'Historia polskiej nowoczesności' is overlaid on the bottom half of the image.

Historia polskiej nowoczesności

Styl narodowy przypominał, że trzy rozdzielone przez ponad 100 lat ziemie mają nie tylko wspólny język, lecz łączy je również wspólna kultura artystyczna, która jest na tyle wartościowa, że potrafi wypracować swój własny styl. Przekonanie to przyczyniało się w oczywisty sposób do wzmocnienia poczucia odrębności kulturowej wobec zaborców – mówi prof. Andrzej Szczerski



Huci
S
zna

Z prof. Andrzejem Szczerskim, dyrektorem Muzeum Narodowego w Krakowie, o wystawie „Polskie style narodowe 1890–1918” rozmawia Piotr Słabek

Czym jest polski styl narodowy i jak moglibyśmy go określić na tle innych stylów w Europie?

Prof. Andrzej Szczerski: Zaczniemy od tego, że idea stylu narodowego znana była w całej Europie przełomu XIX i XX w. Przekonanie, że warto studiować regionalizmy, inspirować się sztuką ludową, cieszyło się popularnością w wielu krajach europejskich. Dlatego z jednej strony widać podobieństwa w sposobie konstruowania stylów narodowych, np. na Węgrzech, w Polsce czy Finlandii – wszędzie sięgano przecież do sztuki ludowej – z drugiej to jednak kompletnie odmienne ornamenty czy kolorystyka, dające inne efekty artystyczne. Można więc powiedzieć, że polskim artystom udało się wypracować oryginalną koncepcję stylu narodowego i przedstawić ją w przekonujący sposób. Właściwie

każda realizacja tego stylu, od architektury, poprzez wystrój wnętrz, po projekty graficzne – jest nowatorska. Polscy twórcy stylu narodowego mówią tym samym językiem, którym mówiła Europa, ale o specyficznie polskich treściach.

Jakie to treści?

Po pierwsze, styl narodowy to nowa forma artystyczna, która zrywa z akademizmem i eklektyzmem, charakterystycznym dla historyzmu końca XIX w. Po drugie, styl narodowy ma wymiar społeczny i wspiera budowę nowoczesnej wspólnoty narodowej opartej na wspólnej tradycji kulturowej. Oczywiście w tej wspólnocie istnieje wiele różnic, ale kultura wszystkich łączy – i to wyraźnie podkreślano. Nie było to tak oczywiste jeszcze do połowy XIX w., gdy kulturę elitarną, szlachecką

przeciwstawiano kulturze chłopskiej, traktowanej jako mniej wartościowa. Promotorzy stylu narodowego, choćby Stanisław Witkiewicz, widzieli potrzebę syntezy tych dwóch, de facto odrębnych kultur. Stąd propagowane przez nich hasło solidaryzmu narodowego. Zdawali sobie sprawę z tego, że trudno będzie odzyskać niepodległość, jeżeli mieszkają obok siebie „dwa narody”, które łatwo skłócić, co czynili np. Austriacy, buntując chłopów przeciwko szlachcie w czasie rabacji 1846 r. Trzeci aspekt to kwestia ekonomiczna. Styl narodowy był konsekwentnym programem modernizacyjnym wsi polskiej. Zakładał promowanie rękodzieła, czyli tzw. przemysłów ludowych, które pozwoliłyby chłopom uzyskać dodatkowe dochody, tworząc w ten sposób silną ekonomicznie warstwę chłopską, która przyczyni się do rozwoju prowincji i do wzmocnienia żywiołu polskiego.

Kwestie artystyczne, społeczne oraz ekonomiczne łączyły się zatem w przemyślaną całość, stąd też nie powinniśmy postrzegać stylu narodowego jako jeszcze jednej stylizacji i zastąpienia jednej ornamentyki drugą. Ważny był również kontekst polityczny – chciano pokazać Polakom, że stanowią odrębną, zintegrowaną wspólnotę narodową z własną kulturą, która ma prawo do niepodległości i jest do niej dojrzała. Styl narodowy rozwija się na przełomie wieków,



kiedy po kilku dekadach kryzysu irredenty w efekcie porażki powstania styczniowego, idea niepodległości powraca i zyskuje nowych zwolenników.

Można zatem powiedzieć, że styl narodowy odegrał ważną rolę w odzyskaniu niepodległości?

Z pewnością tak. Styl narodowy przypominał, że trzy rozdzielone przez ponad 100 lat ziemie mają nie tylko wspólny język, lecz łączy je również wspólna kultura artystyczna, która jest na tyle wartościowa, że potrafi wypracować swój własny styl. Przekonanie to przyczyniało się w oczywisty sposób do wzmocnienia poczucia odrębności kulturowej wobec zaborców.

Symptomatyczne są też konkretne okoliczności historyczne. W 1912 r. w parku Jordana w Krakowie odbyła

się wystawa architektury, na której zaprezentowano modelowe domy dla czterech grup społecznych, od szlachty po chłopów, kościół, a także pawilon ogrodowy. Formy tej architektury miały w założeniu być specyficznie polskie. Po zakończeniu wystawy większość budynków zdemontowano, pawilon jednak pozostał. I to właśnie sprzed tego pawilonu, stojącego przy ulicy Oleandry, wymaszerowała w 1916 r. Kadrówka. W budynku mającym świadczyć o istnieniu polskiej narodowej formy zaczyna się historia walki o niepodległość.

W tym momencie trudno nie zapytać o styl zakopiański. Jaka jest jego geneza?

Kluczowe znaczenie miała działalność Stanisława Witkiewicza i skupionych

wokół niego zawodowych architektów, uważających, że na Podhalu zachowały się pierwotne formy budownictwa polskiego, które zgodnie z regułami współczesnej architektury chcieli przekształcić w odrębny styl narodowy. Nie możemy jednak zapomnieć o drugiej grupie propagującej styl – samych górach, którzy akceptowali plany Witkiewicza i wysoko go oceniali. Oni również włączają się w rozwój stylu, wnosząc znajomość materiałów i narzędzi oraz własną wyobraźnię artystyczną. Przykładem może być Wojciech Brzega, mistrz snycerski, tworzący razem z Witkiewiczem „Kolibę”, pierwszą willę w stylu zakopiańskim. Dlatego też za błędną uważam głoszoną dziś czasem tezę, że styl zakopiański był kolonizacją Podhala przez artystów z Krakowa czy Warszawy.



Część wystawy „Polskie style narodowe...” poświęcona jest kulturze huculskiej, nieco mniej rozpoznawalnej...

To prawda, skala inspiracji kulturą huculską była mniejsza niż podhalańska. Przede wszystkim dlatego, że sami Huculi nie identyfikowali się w tak oczywisty sposób z Polską, jak górale. Kultura huculska miała znaczenie jako przykład regionalizmu, pozostając dla polskich twórców ważnym źródłem inspiracji aż po lata 30. Kafle, pisanki czy stroje huculskie często były elementem wyposażenia polskich domów, ale nie wpisywano w nie treści narodowych, jak to było w przypadku stylu zakopiańskiego.

Na wystawie pokazujemy jednak Huculszczyznę przede wszystkim po to, aby podkreślić, że na przełomie wieków wielu twórców uważało, że nie powinniśmy ograniczać poszukiwania narodowej formy tylko do Podhala i należy docenić bogactwo kultury ludowej z wielu miejsc we wszystkich zaborach. Ta myśl wynikała z przekonania, że powinniśmy stworzyć styl, który mówi o kulturowej tożsamości nie tylko Polski, ale całej Rzeczypospolitej, a zatem także

Styl narodowy pokazywał, że to, co narodowe, jest wartością, że sztuka powinna być zakorzeniona w konkretnej tradycji kulturowej, a przez to być oryginalna, wartościowa i odrębna od innych. Warto dodać, że hasła te miały w jakimś sensie charakter prowokacji, wprowadzenie narodowych inspiracji ludowych na salony nie było dotąd powszechne

wielu narodów i grup etnicznych, które je tworzyły.

Gdzie szukać początków stylu narodowego? Czy możemy wyznaczyć jakieś ramy czasowe?

Początków możemy szukać jeszcze w okresie romantyzmu – np. Cyprian Kamil Norwid pisał o specyficznej polskiej chacie drewnianej. Kolejny etap rozpoczyna się na przełomie lat 50. i 60. XIX w., kiedy teoretycy i architekci szukają polskich wersji stylów historycznych, chociażby nadwiał-

sko-bałtyckiego gotyku. Pierwsze realizacje w takich stylach przypadają na kolejne dwie dekady. Ale nowatorska koncepcja stylu, którą pokazujemy na wystawie, to dopiero lata 90. Artyści nie chcą naśladować stylów historycznych, ale konstruować całkowicie nowy język artystyczny oparty na ludowości, traktowanej jako skarbiec pierwotnej narodowej formy. Ten nowy sposób myślenia podkreśla, że istnieją specyficznie polski styl i tożsamość narodowa, które mogą zostać wyrażone także przez architekturę i rzemiosło artystyczne.

Trudniej odpowiedzieć na pytanie o to, jak długo trwał styl narodowy. Pojęcia tego używano jeszcze w latach 30., ale nie miało już takiego znaczenia jak na przełomie XIX i XX w. Ostatnią konsekwentną prezentacją wywodzącą się z czasów Młodej Polski idei stylu narodowego był Pawilon Polski na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu w 1925 r. To znakomity przykład spójnej koncepcji, łączącej elementy ludowości i modnej wówczas geometryzacji, mającej być przykładem oryginalnej formy polskiej. W latach 30. mówiono już raczej o regionalizmach, ceniono sztukę ludową, ale poddawano ją modernistycznym uproszczeniom, czego przykładem jest działalność Spółdzielni Artystów „Ład”. To zresztą zjawisko widoczne także poza Polską. Świetnym przykładem świadomego wspierania takiej twórczości jest Skandynawia, potrafiąca ze swoich regionalnych tradycji stworzyć to, co nazywamy modernizmem organicznym, który w II połowie XX w. stał się znany na całym świecie.

Styl narodowy to nie tylko obrazy czy architektura, lecz również przedmioty użytkowe, takie jak meble...

Koncepcja stylu zakłada, że jest on kompletny i obejmuje wszystkie dziedziny sztuki. A zatem to nie tylko budynki, ale też ich wnętrza i wyposażenie, po detale takie jak sztućce czy nakrycie stołu. Niektórzy twórcy posuwali się tak daleko, że dostosowywali wnętrza do poszczególnych pór dnia, projektowali stroje dostosowane do kolorystyki mebli, a nawet wygląd posiłków, które miały pasować do wyposażenia jadalni.



Dotykamy tutaj ważnej kwestii, o której również mówi wystawa – wartości piękna w życiu codziennym. Styl narodowy przejął romantyczne, norwidowskie hasło mówiące o potrzebie tworzenie pięknego otoczenia człowieka, dzięki czemu piękno miało nam stale towarzyszyć i kształtować w szlachetny sposób nasze człowieczeństwo. Piękno należy się wszystkim – nie tylko tym, którzy mogą sobie pozwolić na kupno drogich obrazów. Dlatego piękne powinny być powszechnie dostępne przedmioty użytkowe: meble, ubranie czy dekoracja wnętrz.

Jaka jest relacja między stylem narodowym a Młodą Polską?

Styl narodowy jest częścią Młodej Polski, którą charakteryzowała wielość tendencji – od symbolizmu, przez dekadentyzm, po treści narodowe. Co ciekawe, artyści w tamtym czasie wyraźnie je sobie przeciwstawiali. Na przykład Wyspiański odżegnywał się od secesji, którą uznawał za powierzchowną stylizację, w odróżnieniu od swojej własnej twórczości, pełnej ekspresji i złożonych treści ideowych. W czasach Młodej Polski doceniano właśnie „polską formę”, a najwybitniejsi twórcy: Witkiewicz, Wyspiański czy Mehoffer, mówili o tym wprost. Styl narodowy wyrastał z tego sposobu myślenia, pokazywał, że to, co narodowe, jest

wartością, że sztuka powinna być zakorzeniona w konkretnej tradycji kulturowej, a przez to być oryginalna, wartościowa i odrębna od innych. Warto dodać, że hasła te miały w jakimś sensie charakter prowokacji, wprowadzenie narodowych inspiracji ludowych na salony nie było dotąd powszechne.

Młoda Polska to także czas podkreślania korespondencji sztuk – powiązań między malarstwem, muzyką, poezją, ale i sztukami stosowanymi. Wielu artystów zajmowało się wtedy różnymi dziedzinami sztuk, choćby Wyspiański, Witkiewicz, Włodzimierz Tetmajer czy Ferdynand Ruszczyc. Styl narodowy odnosił się do tej idei i podkreślał związki między formą obrazów, mebli, plakatów czy kilimów.

Co chciałby pan powiedzieć jeszcze o samej wystawie i głównej idei jej przyświecającej?

Wystawa „Polskie style narodowe 1890–1918” w Muzeum Narodowym w Krakowie stara się pokazać styl narodowy jako punkt odniesienia dla dyskusji o polskiej nowoczesności w XX w., ale i współcześnie. Kontestuje przeciwstawianie tego co tradycyjne, temu co nowoczesne i zrywające z przeszłością. Pokazujemy, że istotna do dziś debata o polskiej nowoczesności zaczyna się wtedy, gdy dochodzimy do wniosku, że opie-

rając się na narodowej tradycji, możemy modernizować Polskę. To także początek cyklu wystaw w naszym muzeum, które będą dotyczyć miejsca Polski w historii nowoczesności, stawiając tezę, że nasz kraj ma w tej historii swoje podmiotowe miejsce. Nie powinniśmy oceniać nowoczesności jako czegoś, co zostało nam narzucone z zewnątrz. Polska potrafiła wypracować oryginalne wzorce nowoczesności, które są równie ważnym dorobkiem naszej kultury, jak sarmatyzm czy romantyzm. Bez docenienia historii polskiej nowoczesności nie będziemy mogli w właściwy sposób modernizować Polski w czasach nam współczesnych. ▶

Prof. dr hab. Andrzej Szczerski

– dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, wykładowca w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wykładał także na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie nad Menem i Uniwersytecie St. Andrews. Autor publikacji poświęconych sztuce i architekturze XIX i XX w. w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej, kurator wystaw m.in. „Lwów. Miasto, architektura, modernizm” (Muzeum Architektury we Wrocławiu, 2016) „#dzie dzictwo” (Muzeum Narodowe w Krakowie, 2017) i „Young Poland. An Arts and Crafts Movement” (William Morris Gallery, Londyn 2021).

Kanadyjczyk Bruce (Xiaoyu) Liu zwycięzcą Konkursu Chopinowskiego



ADAM CIESIELSKI

Gdy przed blisko stu laty, w 1927 r., pianista i pedagog Jerzy Żurawlew powoływał Konkurs Chopinowski, chyba nie zdawał sobie sprawy, że uruchamia jedno z najbardziej znaczących wydarzeń kulturalnych w historii. Jego międzynarodowy prestiż rósł w miarę pojawiania się kolejnych zwycięzców, legendarnych pianistów, inspirowanych się twórczością Fryderyka Chopina. Wydarzeniem globalnym stał się konkurs w XXI w., za sprawą internetu. Teraz jego światowy rezonans jeszcze się powiększył. Tylko drugi etap XVIII Konkursu oglądało na YouTube ponad 4,5 mln internautów. Najczęściej w Japonii, Korei Płd., Polsce i USA. W dniu ogłoszenia wyników trzeciego etapu okienko czatu pękało w szwach, bo okresami pojawiało się nawet 16 komentarzy na sekundę, a łącznie w ciągu dnia było ich 70 tys. – informował Narodowy

Do białości świat kultury rozżarzył warszawski XVIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Trzytygodniową batalię młodych uzdolnionych artystów śledziły nie tylko tysiące melomanów w Filharmonii Narodowej, lecz także rzesze odbiorców TVP Kultura, Polskiego Radia oraz kolejne miliony w internecie

Instytut Fryderyka Chopina. Dla milionów zainteresowanych na całym świecie relacje i komentarze wysyłało 130 akredytowanych dziennikarzy, w tym 50 zagranicznych. Konkurs obserwowali impresariowie, szefowie festiwali muzycznych i członkowie towarzystw chopinowskich z całego świata.

Sam pierwszy raz na koncercie laureatów konkursu – z pamiętnym udziałem Marthy Argerich i Arthura Moreiry Limy – byłem w 1965 r. Nie zapomnę atmosfery konkursu w roku 1980, z kontrowersjami wokół Ivo Pogorelicia. W kolejnych latach już nie tylko bywałem na konkursach, lecz i o nich pisywałem. Obecna edycja odzwierciedla olbrzymie zmiany.

Zarówno w wizerunku imprezy i artystów w niej występujących, wykorzystaniu mediów elektronicznych, jak i w atmosferze. W tej dzisiejszej dominowała mieszanka radości, wynikającej z uczestniczenia w wielkim wydarzeniu po długich miesiącach zakazów, ze świadomością wciąż istniejących zagrożeń.

XVIII Konkurs, przełożony z powodów pandemii o rok (z października 2020 r. na październik 2021 r.), był przedsięwzięciem niezwykle skomplikowanym. Po decyzji o przesunięciu terminu trzeba było sprawdzić, kto z wyselekcjonowanych kandydatów (spośród 500 zgłoszeń) jest gotów przyjechać na eliminacje do Warszawy w lipcu 2021 r. Zrezygnowało

tylko kilka osób. Ostatecznie do konkursu zakwalifikowano 87 młodych artystów, w tym 22 z Chin, 16 z Polski, 14 z Japonii i po kilkoro z kilkunastu innych krajów. Wszyscy oni tuż przed startem przesłuchań musieli przejść testy covidowe, podobnie jak osoby im towarzyszące. Także 17-osobowe międzynarodowe jury pod przewodnictwem prof. Katarzyny Popowej-Zydrón. W samej Filharmonii Narodowej obowiązywał bezwzględny nakaz noszenia maseczek, w przypadku rzadkich prób omijania tego przepisu natychmiast interweniowały panie bileterki lub służby porządkowe. Sala była wypełniona już od porannych i popołudniowych przesłuchań pierwszego, drugiego i trzeciego etapu. Na trzy wieczory finałowe bilety można było zdobyć tylko cudem. Gmach filharmonii był codziennie obleżony.

Uczestnicy konkursu mogli zawsze liczyć na ciepłe, serdeczne przyjęcie. W miarę trwania przesłuchań coraz większe brawa dostawali faworyci. Niemal od początku jednym z nich był 24-letni Bruce (Xiaoyu) Liu, urodzony w Paryżu Kanadyjczyk o euro-azjatyckich korzeniach. Ma fenomenalną technikę, inteligencję, wrażliwość. Ukończył konserwatorium w Montrealu w klasie cenionego prof. Richarda Raymonda, obecnie doskonali się pod kierunkiem Dang Thai Sona, zwycięzcy Konkursu Chopinowskiego w roku 1980, jurora obecnego konkursu. Oczywiście, zgodnie z regulaminem Dang Thai Son nie mógł głosować na swego studenta. Jego klasę we wszystkich trzech etapach dostrzegł jednak inni jurorzy. Zachwylił Sonatą b-moll op. 35, mazurkami, z czułością zagrał w finale

Koncert e-moll. Wygrał. 40 tys. euro nagrody to pewnie tylko kropla w morzu pieniędzy, które otrzyma z przyszłych koncertów i nagranych kontraktów.

– Ponadroczną przerwę pandemiczną wykorzystałem na pogłębienie kontaktu z muzyką Chopina, czuję wielkie emocje, grając teraz jego utwory przed publicznością, mam zamiar sięgać do nich podczas tras koncertowych – powiedział nam Bruce Liu. I wyznał, że relaksu po zajęciach muzycznych szuka w pływaniu i ściganiu się na gokartach.

Poziom uczestników tegorocznego konkursu był bardzo wysoki, zdaniem niektórych wyższy niż kiedykolwiek wcześniej. Dlatego jury zdecydowało się zrobić wyłom w regulaminie i przyznało nie sześć, ale aż osiem nagród. Nie brakowało jednak zaskoczeń. Obok Bruce'a Liu do grona faworytów na konkursowej giełdzie długo zaliczano doświadczoną Włoszkę Leonorę Armellini i 17-letnią Evę Gevorgyan reprezentującą Rosję i Armenię. Pierwsza z nich dostała V lokatę, druga została bez nagrody. Z Polaków najwyżej (IV nagroda i laur Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków) zaszedł 25-letni Jakub Kuszlik. W finale grał jeszcze Kamil Pacholec. Więcej spodziewaliśmy się po Szymonie Nehringu, finaliście w Konkursie Chopinowskim sprzed sześciu lat, zwycięzcy Konkursu im. Artura Rubinsteina w Tel Awiwie. Skończył tym razem na III etapie.

Do ostatecznej rozgrywki nie awansował także inny finalista Konkursu Chopinowskiego, tyle że sprzed lat II – Rosjanin Nikolay Khozyainov. Ten błyskotliwy pianista, z powodzeniem rozwijający międzynarodową karierę, postanowił

raz jeszcze spróbować szczęścia w Warszawie. Znawca i pasjonat twórczości Chopina, który nagrał wszystkie dzieła naszego genialnego rodaka, nauczył się polskiego, by móc czytać nie tylko jego nuty, lecz również komentarze czy listy. Efektownie przeszedł pierwszy i drugi etap, w trzecim rewelacyjnie zagrał Sonatę h-moll. Nie wszedł do finału, choć trafili tam niespodziewani Alexander Gadjev (Włochy/Słowenia – II nagroda ex aequo z Japończykiem Kyoheiem Soritą) czy Martín García García (Hiszpania, III nagroda).

W historii konkursów jedną z najtrudniejszych prób dla kandydatów do nagród było wykonanie jednego z dwóch koncertów fortepianowych Fryderyka Chopina. Zdarza się, że młodzi wykonawcy z orkiestrą grają pierwszy raz w życiu. Skutki bywały różne. W tym roku ogromnym wsparciem służył im dyrektor Andrzej Boreyko z zespołem Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Narodowej. Maestro nie tylko gestem i uśmiechem ośmielał artystów, lecz także pomagał im w trudnych momentach. Ani po nim, ani po zespole nie widać było trudu, jaki wkładali we wspólną produkcję. Bo trzeba pamiętać, że przez trzy dni finałów warszawscy filharmonicy zagrali dziewięć razy Koncert e-moll op. 11 oraz trzy razy Koncert f-moll op. 21. Czyli 12 kilkudziesięciominutowych koncertów, do czego trzeba doliczyć kolejnych 12 koncertów podczas porannych prób. Czapki z głów! Jedynym pianistą, który podczas próby poprosił o przegranie nie całego Koncertu e-moll, a jedynie jego fragmentów był... Bruce Liu, późniejszy triumfator. Czy tak był pewny swego? 



Zdejmowanie masek



Agata Buzek w filmie „Moje wspaniałe życie”

Wszyscy mamy tę dwoistość w sobie – mówi Agata Buzek. A odnosi to nie tylko do bohaterki filmu „Moje wspaniałe życie”. I dodaje: – Obojętne, na czym ona polega, czy jest to dwoistość naszych pragnień, czy dwoistość ról, które jesteśmy zmuszeni grać; rozbieżność między życiem prywatnym a zawodowym czy rozdarcie wewnętrzne



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Są aktorzy jednej roli, jednej szuflady, jednego wizerunku, jednej twarzy. Ci ostatni czasem nawet spod masek Bustera Keatona potrafią wydobyć nieoczywistość i tajemnicę Sfinksa. Gdy ich rysy ożywają, efekt jest piorunujący.

PODWÓJNE ŻYCIE „JO”

Łukasz Grzegorzek – nagrodzony w na tegorocznym festiwalu w Gdyni za reżyserię obrazu „Moje wspaniałe życie” – oparł swój projekt na osobowości, charyzmie i wizualnej nieoczywistości głównej aktorki. To dzięki niej filmowa Joanna „Jo” Lisiecka tak przekonująco potrafi łączyć dwa zupełnie różne wcielenia.

Z jednej strony szanowana społeczność kilkudziesięciotysięcznego miasta (gra je rodzinna Nysa reżysera) oddana żona dyrektora liceum, nauczycielka angielskiego, empatyczna matka dwóch synów (dorosłego i maturzysty), córka z oddaniem opiekująca się chorą na alzheimera matką, wreszcie pani domu „ogarniająca” potrzeby żyjącej pod wspólnym dachem siedmioosobowej rodziny (także synowej i wnuka).

Z drugiej, skoncentrowana na własnych potrzebach, uciekająca od obowiązków i zobowiązań, wyzwolona „Jo”. W opuszczonym przez matkę mieszkaniu organizująca nie tylko korepetycje z angielskiego, lecz także żywiołowe, uatrakcyjniane paleniem skrętów, schadzki z kolegą z pracy.

Podwójne życie udaje się ukrywać bohaterce jedynie do czasu, gdy ktoś zaczyna jej wysyłać anonimy, grożąc ujawnieniem na forum zarejestrowanych smartfonem nieobyczajnych zachowań.

GORZKI HUMOR

„Moje wspaniałe życie” przedstawiane jest czasem jako... komedia obyczajowa. Jeśli już, to zdecydowanie gorzka. Owszem, nie brak na ekranie podszytych humorem scen, ale humor jest tu obarczony bynajmniej nie radosnym kontekstem.

Ostatecznie reżyser domyka filmową historię happy endem. Czy możliwym? Zachowując proporcje, trochę też z powodu skojarzeń z tytułem debiutanckiego „Kampera”, „Moje wspaniałe życie” przywołuje wspomnienie innego obrazu – słodko-gorzkiej komedii drogi „Mała miss” i pokazanej w niej dysfunkcyjnej rodziny.

Obsadzona tam w głównej kobiecej roli Toni Collette miała jednak o wiele mniej do zagrania niż Agata Buzek. W filmie Grzegorzka w doborowym towarzystwie (m.in. Jacek Braciak, Małgorzata Żajczkowska, Adam Woronowicz) odtwórczyni postaci „Jo” może zaskoczyć widzów paletą odtwarzanych emocji. Widocznych nie tylko w plastyce ciała, lecz również twarzy. Dojście do takiego ekranowego efektu – szerokiego, naturalnego, swobodnego – zajęło aktorce ponad dwie dekady. Warto było czekać.

CÓRKA PREMIERA

Od początku przygody z aktorstwem (warszawską Akademię Teatralną ukończyła w 1999 r.) Agata Buzek – najpierw mimo-



Kadry z filmów „Niewinne”, „Zemsta”, „Wiedźmin”

wolnie, potem coraz bardziej świadomie – czyniła atut ze swojej fizyczności. Nieprzystająca do obowiązujących kanonów urody, wizerunkowo bliższa wymogom modowych wybiegów, wypracowywała własny styl. Nauczyła się korzystać ze swojej oryginalności.

Z twarzą bez emocji wcielała się w kolejne, często odległe od siebie postaci. Jednocześnie plastyczność rysów pozwalała jej – przy zachowaniu charakterystycznej „maski” – na kameleonie zmiany przed kamerą. Bycie zarówno bezbarwną, wpisaną w tło, jak i wyraziście nieciekawą czy brzydką, ale też hipnotyzująco atrakcyjną, wyjątkową.

Jeszcze jako studentka Akademii Teatralnej zagrała w kilku telewizyjnych spektaklach i wygrała casting do włoskiego filmu „Ballada o czyszcicielach szyb” (1998) Petera Del Montego. Zarówno na duży, jak i mały ekran wchodziła przede wszystkim jako córka urzędującego premiera, Jerzego Buzka.

Z taką etykietką zadebiutowała w kinowym drugim planie u Roberta Glińskiego („Kochaj i rób co chcesz”, 1998) oraz na scenie stołecznego Teatru Ateneum (jako Mela w „Moralności pani Dulskiej” w inscenizacji Tomasza Zygadły, 1999).

Potem była m.in. Klara Raptusiewiczówna w kinowej „Zemście” (2002) Andrzeja Wajdy czy Pavetta, królowa Cintry z „Wiedźmina” (2001) Marka Brodzkiego.

Jeszcze podczas realizacji filmu Wajdy młoda aktorka postanowiła zostać... modelką. W wywiadzie z tamtego czasu mówiła: „To był mój pomysł na Paryż. Miałam 23 lata [...] i dawałam sobie zadania aktorskie, np. jesteś królową i nie możesz dać po sobie poznać, że zamordowałaś króla”.

CUDZE MARZENIA

Pracę na wybiegu uzupełniły – już w 2004 r. – artystyczne i społeczne działania założonej przez Buzek fundacji Przestrzeń Wymiany Działań „Arteria”. Realizacje teatralne, wspieranie „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie (orga-

nizując wyjazd wolontariuszy do Kijowa, poznała męża), walka o prawa człowieka na Białorusi i prawa zwierząt (włączyła się w niej jako aktywna wegetarianka). Została też ambasadorem organizowanej przez Polską Akcję Humanitarną Kampanii Wodnej (celem było sponсорowanie budowy studni w Sudanie).

Równolegle przeniosła się na zagraniczne plany filmowe. Kontakt z niemieckim agentem pomógł jej nawiązać spotkania podczas realizacji „Zemsty” wybitny charakterystyczny Waldemar Pokromski. Efektem była m.in. wysoko oceniana przez krytykę tytułowa rola „Valerie” (2006) – przeżywającej kryzys top modelki w filmie w reż. Birgit Möller.

Agata Buzek tak ją wspominała: „Pracując nad »Valerie«, wiedziałam, jak wygląda świat mody i mogłam się skupić na sensie tej opowieści, wejść w problemy podwójności ludzkiego życia, udawania, niemożności przyznania się, że mamy problem i nie radzimy sobie w życiu. Zastanawiałam się, jak żyjemy i jak łatwo wziąć wyobrażenia innych o nas za nasze, przejmować się nimi i ulegać obowiązującym wzorcom. Spełniać cudze marzenia zamiast swoich”.

PO DRUGIEJ STRONIE

W 2007 r. aktorka trafiła na plan „Nightwatching” Petera Greenaway, ale prawdziwy przełom w zawodowym doświadczeniu przyszedł w 2009 r. wraz z tragicomiczną postacią Sabiny z czarno-białego „Rewersu” Borysa Lankosza. Buzek miała w nim do zagrania dwie role – wychowanej w inteligenckim przedwojennym domu dobiegającej trzydziestki starej panny, która musi się odnaleźć w stalinowskich realiach, oraz 80-letniej staruszki. Na planie spotkała Annę Polony i Krystynę Jandę, ale to właśnie jej przypadła na festiwalu w Gdyni w 2009 r. nagroda za główną rolę. Odbierała ją jako 33-latkę.

Cztery lata później trafiła do najbardziej chyba znanej międzynarodowej produkcji w swojej karierze – filmu

„Koliber” Stephena Knighta. Z czasem do filmowych osiągnięć dopisała także „11 minut” (2015) w reż. Jerzego Skolimowskiego czy polsko-francuskie „Niewinne” Anne Fontaine (opowieść o zbiorowym gwałcie na polskich zakonnicach, dokonany przez sowieckich żołnierzy, 2016).

W 2018 r. pojawiła się w dwóch zagranicznych produkcjach – „Pearl” Elsy Amiel (wcielała się tu w kulturystkę) oraz „High Life” Claire Denis (filmie SF z udziałem m.in. Roberta Pattinsona i Juliette Binoche), a na polskich ekranach – w „Córce trenera” Łukasza Grzegorzka (zagrała z obecnym partnerem Jackiem Bracia-kiem). Kolejny rok to m.in. role w „Ciemno, prawie noc” Borysa Lankosza oraz w prze-wrotnym opisie świata celebrytów „Ja te-raz kłamię” Pawła Borowskiego.

TWARZ SPOD MASKI

Postać „Jo” z filmu „Moje wspaniałe życie” jest pierwszą – od 12 lat – główną rolą Agaty Buzek. Wygrywa w niej awers i rewers historii swojej bohaterki. Zdejmuje z jej twarzy maski. Uwalnia też swoją twarz.

W wywiadzie udzielonym przy okazji premiery filmu na tegorocznym festiwalu Nowe Horyzonty aktorka przyznała, że złożoność „Jo” bardzo jej odpowiada. Tworzenie podobnych postaci jest „podwójnie interesujące, rozwijające, uczące i zarazem podwójnie trudne”. Jednocześnie takie bohaterki – przez swoją niejednoznaczność i złożoność – są niezwykle poruszające i prawdziwe.

– Wszyscy mamy tę dwoistość w sobie – podkreśla Buzek. – Obojętne, na czym ona polega, czy jest to dwoistość naszych pragnień, czy dwoistość ról, które jesteśmy zmuszeni grać; rozbieżność między życiem prywatnym a zawodowym czy rozdarcie wewnętrzne.

Pytana, w jakim miejscu chciałaby się dziś znaleźć, odpowiada jednak: – Jest mi dobrze w moim życiu. Nie wyobrażam sobie innego.



ROBERT TEKIELI

Każda cywilizacja wyrasta z religii. Od wielu wieków dominująca część zachodnich elit dąży do zakwestionowania nadprzyrodzoności, na której oparł się Zachód. Jest to działanie w swej istocie bezrozumne, choć wielu kontestatorów w swym działaniu powołuje się na intelekt. Zdechrystianizowana „stara” Europa nie chciała się nawet przyznać w dokumentach europejskich do oczywistości, że chrześcijaństwo jest ważnym elementem jej tradycji. A bez odniesień duchowych społeczeństwa się degenerują. Człowiek nie jest bowiem w stanie funkcjonować w duchowej pustce. Żyjemy w świecie, w którym każda bzdura może znaleźć swego wyznawcę. Przynajmniej 12 mln ludzi na całym świecie wierzy, że 75 mln lat temu zły galaktyczny władca imieniem Xenu panował nad 76 przeludnionymi planetami. Pojmał 13,5 bln istot i zesłał je na Ziemię, wrzucając do wulkanów i unicestwił za pomocą bomb. Ich radioaktywne dusze – thetany – rozproszyły się, aż zostały wylapane przez elektroniczne pułapki rozmieszczone w at-

3 MIŁOŚCI

Światło widzi

mosferze, po czym wszczepiono im fałszywe idee, w tym pojęcie Boga, Chrystusa i innych religii. Tak brzmi zarys doktryny scjentologicznej. Daje ona również „wytlumaczenie” ludzkiego cierpienia. Scjentologia głosi bowiem, że wiele z tych bytów podłączyło się do istot ludzkich, z którymi pozostają do dziś. Z ich działania biorą się wszystkie problemy ludzi.

Poglądy scjentologiczne są mieszaniną myśli zaczerpniętych z religii Wschodu, magii, medycyny i psychologii. Założyciel sekty, autor tandetnych powieści science fiction Ron Hubbard, ogłosił, że znalazł klucz do osiągnięcia szczęścia. Trzeba tylko pozbyć się „engramów”, czyli aberracji umysłowych, które są wynikiem urazów z wczesnego dzieciństwa.

Doktryn równie irracjonalnych jak wierzenia członków „Kościoła” scjentologicznego istnieją dziś na Zachodzie setki, a może i tysiące. Istnieje nawet Kościół Jedi, którego nieumyślnymi prorokami stali się scenarzyści „Gwiezdnych wojen”. Hubbard wielokrotnie mówił publicznie, że najlepszym sposobem na wzbogacenie jest powołanie do życia własnej religii. Na swój użytek robią tak dziś setki milionów ludzi, czerpiąc z różnych tradycji i tworząc synkretyczne duchowości. Identyfikacja było w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy to naszej religii towarzyszyły setki odmian gnostycyzmu. Ale choroba duchowa toczy również ludzi uznających się za chrześcijan. Kilkuwiekowe kwestionowanie nadprzyrodzoności na Zachodzie doprowadziło do tego, że nawet część chrześcijan nie jest zdolna skorzystać z transcendentnej pomocy.

Jak doświadczam Boga? Częściej Go nie doświadczam. Kiedyś pewna

opętana powiedziała: „Szatan jest taki konkretny, o co go poprosiłam, miałam, a Bóg taki nieuchwytny...”. Ta nieuchwytność jest nam potrzebna. Dla pogan bóg był kimś, kogo warto mieć po swojej stronie. Starali się go używać do realizacji swoich celów. Dla chrześcijan taka postawa jest pokusą. Boga nie da się zmanipulować. A manipulując, próbując Boga używać, się kaleczy.

Nieuchwytność Boga jest łaską. Trudno to przyjąć, gdy przywaleni tysiącami problemów prosimy Go o pomoc. Wtedy zaczynamy wątpić, gdy nie słyszymy odpowiedzi, nie widzimy ratunku. Wątpić w to, że jest, albo, przynajmniej, że się nami interesuje. Bóg czasami „zostawia” nas, „opuszcza”, byśmy chcieli z Nim być nie w zamian za coś, ale po prostu, bezinteresownie. Bóg chce, żebyśmy cały czas się rozwijali, żebyśmy byli z dnia na dzień lepsi dla swoich bliskich i dalekich. A popkultura wpaja nam, że to, co rodzi dyskomfort, jest złe. Ale przecież wyrzuty sumienia są zbawienne, tak samo jak ból, który mówi nam, że mamy leczyć swoje ciało.

Nie jest wykluczone, że w ciągu jednego pokolenia Kościół powszechny stanie się w Polsce kilkuprocentowym marginesem. Również na własne życzenie. Ale najistotniejszą przyczyną, dla której ludzie nie zaczynają prawdziwej walki o swoją duszę, jest rosnąca niechęć do stawiania sobie wymagań. Cywilizacja sprawia, że żyje się nam coraz wygodniej. Z chęcią wypieramy fakt istnienia śmierci i grzechu. A bez prawdy nie ma miłości. Również bez prawdy o sobie samym.

Czy doświadczenie niewidomego jest dowodem na nieistnienie światła? Nie. Czy jest prawdziwe? Tak. Niewidomy nie widzi światła. Jednak Światło widzi niewidomego. /



WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Ewentualnie Dziewięcioodcinkowy thriller zatytułowany „*Squid Game*” rozbil globalny popkulturowy bank. Jest dla mnie niebywałą zagadką, dlaczego ten południowokoreański serial osiągnął wyżyny oglądalności. Co sprawiło, że przy naprawdę niskim budżecie zarobił prawie miliard dolarów? Wspiąć się na pierwsze miejsca list najchętniej oglądanych propozycji Netflixu w 90 krajach, to nie było co.

W serialu wszystko kręci się wokół pieniądza. A właściwie jego braku. Przeżuci przez system, przyparci do muru problemami finansowymi, żyjący w ubóstwie, decydują się na udział w śmiertelnej grze. Żyjący na koszt matki przegryw, złodziejka, uciekinierka z Korei Północnej, wykształcony oszust bankrut, 456 osób walczy o nagrodę w wysokości prawie 40 mln dol. Ktoś stworzył sytuację, która jest kwintesencją świata mierzącego wartość człowieka wyłącznie stanem konta. Świata, w którym jesteśmy jedynie nawozem, w którym nikogo nie obchodzi śmierć drugiego człowieka. A ludzie doprowadzeni przez los do krawędzi jak brzytwy chwytają się nadziei wygranej. Choćby była w sposób oczywisty iluzoryczna.

W myśl ideologii głoszonej przez organizatorów gry Korea Południowa nie jest lepsza od Północnej, a patologiczna rozgrywka, w której uczestniczą desperaci, jest usprawiedliwiona, ponieważ najważniejszą zasadą w niej panującą jest równość uczestników i dobrowolność uczestnictwa. „W prawdziwym świecie cierpieli z powodu nierówności. My dajemy im ostatnią szansę na uczciwe zwycięstwo, na uczciwą walkę”.

Ekran spływa krwią. Jeden z krytyków wyznaje: „Jako odbiorca dawno jednak nie czułem się postawiony przed tak bezpośrednio zadaniem pytaniem o to, czemu oglądam akurat to, co oglądam”. W moim przypadku odpowiedź jest prosta. Gdybym był tylko widz, oglądanie „*Squid Game*” zakończyłoby się na drugim, może trzecim odcinku, gdy zużył się efekt zaskoczenia i gra przestała być nieoczywista.

Jednak miliony ludzi oglądają „*Squid Game*”. Dlaczego? Mamy tu zderzenie dobrze, wręcz paradoksalnie sfilmowanego świata realnej nędzy darwinowskiego kapitalizmu z popkulturowo infantylnymi sceneriami, po których graczy przepędzają ludzie w czerwonych kostiumach niczym z „*Domu z papieru*”. Naturalizm beznadziei i pastelowa sztuczność. Krew na placu zabaw. Hogwart z lego, dziecięcy pastelowy pokoik wielkości fabrycznej hali.

Lubimy makabrę, różnego typu killing game, tu mamy jeszcze egzotykę, dystopijny klimat i rwaną akcję. Gdy na ekranie trwa gra, jest świetnie. Gdy zaczynają gadać, ziewasz z nudów i masz ochotę przewinąć dłużyzny. Do tego irytujący fabularny schematyzm, sytuacje całkowicie nieprawdopodobne psychologicznie i tak samo niewiarygodne sylwetki niektórych bohaterów.

Jednak coś kusi mnie do konstatacji, że jakaś, może nawet niechciana przez twórców prawda, tkwi w niedopowiedzeniach i niedoróbkach serialu.

Śmiesz squiregame'owa wizja dekadencji elit. Dosłownie: jak mały Jaś wyobraża sobie wielki świat. Lepiej byłoby, gdyby twórcy serialu nie czuli się zmuszeni doprowadzać niektórych wątków do ich logicznych konsekwencji. Gra jako eklektyczna mordercza zabawka umierającego multimiliardera – czy można gorzej pokombinować?

Przedstawiona przypadkowość śmierci odrealnia i nuży, ale z drugiej strony prawdziwy jest całkowity irracjonalizm powodów, dla których podejmuje się najważniejsze życiowe decyzje. Tak jasno widoczny po latach.

Mamy XXI w. Problemy finansowe dotyczą ludzi na całym globie. Upadły wszystkie mity. Już dawno, ten o pucybutach milionerze dzięki ciężkiej pracy, ostatnio: wykształcił się i weź kredyt, ba, upadł nawet nasz rodzimy pierwszymilionusi-kruś. Koniec modelu gospodarczego ukierunkowanego na ciągły wzrost jest już dla wszystkich ewidentny. A „*Squid Game*” to „*Igrzyska śmierci*” czasów pandemii. Rzeczywistość dogania dystopię. „*Igrzyska*” były zabawą, tu zza ekranu zaczyna wyzierać realność, sączy się lęk. O siebie, o rodzinę.

Człowiek, by przeżyć, zrobi wszystko. Co się ujawnia, gdy jesteśmy zagrożeni śmiercią? Natura ludzka? Jej słabości? I w ogóle, czy takie pytania mają sens, w świecie, w którym najdrobniejsze ludzkie odruchy są przejawem heroizmu?

Jaki ostateczny pożytek wyprowadziłem z analizy serialu? Zawsze, zawsze i wszędzie, jest albo, albo. W ostatniej scenie bohater wybiera zemstę, nie troskę, miłość. I jest to wybór ostateczny. Jeśli nie ma Boga, świat jest okrutną zabawką do zadawania cierpienia. A nawet spełniona zemsta nie uczyni niczyjego życia sensownym.

Robert Tekieli
Polskie Radio



Adamski poleca



Zupełnie nie wierzyłem w ten projekt. „The Office” w dwóch wersjach, brytyjskiej z lat 2001–2003 i amerykańskiej z lat 2005–2013, był rewolucją w historii komedii. Oryginał rozpoczął modę na specyficzny gatunek komedii, jakim jest mockumentary, czyli fikcję, która przebiera się w szaty dokumentu, a raczej jego parodii. Brytyjski „The Office” wywołał szok u widzów, którzy nie wiedzieli, co oglądają. Dokument z wnętrza jakiegoś przeciętnego biura? Ale dlaczego ci ludzie są tacy zabawni? Oni tak się zachowują, bo nie wiedzą, że kamera ich podgląda? Surowy, bezkompromisowy i piekielnie dowcipny – takie było brytyjskie „Biuro”. Amerykanie swoją wersję trochę wygładzili, ale wciąż zachowali specyficzną mieszankę krindżowego humoru (sytuacje wywołujące zażenowanie, absurdu i groteski).

Osiem lat od zakończenia produkcji amerykańskiej wersji na swoją zdecydowali się Polacy. „The Office PL” to produkcja Canal+ we współpracy z BBC. Napisany przez Łukasza Sychowicza, Jakuba Rużyłłę i Mateusza Zimnowodzkiego i w reżyserii Macieja Bochniaka („Magnezja”, „Disco polo”) serial od początku musi się zderzać z nieufnym wzrokiem fanów, a w zasadzie wyznawców „The Office” i nowych widzów, którzy są nieprzychylni do tego rodzaju stylistyki. Jak wyszło?

Nie będę oszukiwał – również uważałem, że polska wersja wydawała mi się niemożliwa do zrobienia. Bałem się bardzo tego serialu w wersji polskiej. Nie dlatego, że „The Office” zajmuje szczególnie ważne miejsce w moim sercu. Nie zajmuje. Cenię, szanuję i lubię oryginał, ale nigdy ani brytyjska wersja z Rickym Gervaisem, ani amerykańska ze Steve’em Carrellem nie były w moim prywatnym panteonie telewizyjnej komedii. Jest tam „Seinfeld”, jest „South Park” i rzecz jasna jest „Pohamuj entuzjazm”, którego 11. sezon niebawem pojawi się na HBO. Mój humor ukształtowali więc Żydzi z Manhattanu, a nie Brytole z robotniczych dzielnic Reading. I może właśnie dlatego polska wersja „The Office” tak mi się spodobała. Nie porównywałem jej do „świętych” wersji z USA ani GB. Odpaliłem serial z zupełnie czystą głową.

„The Office PL” to kawał inteligentnej, odważnej komedii, która ma swoje doły i gorsze odcinki (piąty i szósty to przestrzelone, irytujące wpadki), ale ostatecznie jest czymś bardzo świeżym w polskiej komedii. „Chrzest”, „Tolerancja”, „Krzyż” – to są tytuły najlepszych odcinków, na których momentami głośno się śmiałem, co jest rzadkością. Jest w „The Office PL” sporo scenariuszowego błysku, igrania z poprawnością poli-

tyczną i dobrego aktorstwa. W większości epizodów dostajemy więcej niż udaną satyrę z naszych wad. Wcale nie narodowych. Po prostu wad „człowieka masowego”. Człowieka z przeciętnego biura, gdzieś tam w Polsce. W tym wypadku chodzi o biuro w Siedlcach.

Nie ma tutaj protekcyjnego nabijania się z „mniejszych ośrodków”. W jednym epizodzie pojawia się żenująco stereotypowe spojrzenie na „biznesmena z Oktawki”, naznaczone klasyzmem. Wygląda na to, że ten odcinek jest wypadkiem przy pracy, choć niestety wpływa na odbiór całości. „The Office PL” jest serialem momentami bardzo nierównym. Ważne dla mnie jest to, że w ogólnym rozrachunku widać, że nie ma tu typowego spojrzenia napuszonej filmowej „warszawki”, która tak lubi uczyć Polskę B „jeść widelcem i nożem”. Jest za to postawienie mieszkańców prowincjonalnego miasteczka przed krzywym zwierciadłem, w którym przejrzeć się powinien też mieszkaniec metropolii. Wiele wad mamy wspólnych. Bez względu na to, gdzie mieszkamy. Dostaje się każdemu. Rozpuszczonej, bananowej paniusi bawiącej się w szefową (świetna Vanessa Aleksander), obłudnemu Januszowi (Adam Woronowicz kradnie serial!) i cwaniakowi ukrywającemu swoją samotność za maską klauna wyciętego z marnego kabaretu (Piotr Polak jest odpowiednio krindżowy, choć miał najcięższe zadanie przez porównywanie do kultowych ról z poprzednich wersji) i celebrytom. Cała obsada robi zresztą dobrą robotę. Jest na ekranie między nimi chemia.

Jest też dobrze rozegrana polska „napinka”. Po obejrzeniu zwiastuna myślałem, że to nerwowe aktorstwo jest wynikiem niezrozumienia formatu „The Office”. A ono jest takie, bo my jesteśmy po prostu wiecznie spięci. Ten nasz „ból d...” o sukces „sasiada” w tej wersji bardzo... siada, mówiąc językiem milenialsów. Dostaje się więc elegancko każdej grupie społecznej. Raz lepiej. Raz gorzej. Ale zawsze bez spektakularnego spadku z wywindowanego przez oryginał poziomu.

Obejrzyjcie ten serial z otwartą głową. Nie porównujcie go do oryginału. Nie ma sensu. Tamte były kręcone przed rewolucją social mediów i były opowiedziane językiem Anglosasów z pierwszej połowy XXI w. „The Office PL” jest opowiedziane naszą wrażliwością, choć przewalowaną przez amerykański komizm. Mam nadzieję, że powstanie drugi sezon. Chcę, bardzo chcę jeszcze raz wejść do tego biura. Pełnego krindżu i obciachu. Ale swojskiego obciachu.

„THE OFFICE PL” DOSTĘPNY NA CANAL+



Zło z logo Disneya



„Cruella” będzie pewnie jednym z najpopularniejszych prezentów dla młodych kinomanów w okresie przedświątecznym. Jestem przekonany, że wychodzący właśnie na płyty i na VOD film Disneya będzie też hitem w serwisach streamingowych. Słusznie? Pod kątem czysto artystycznym bez wątpienia. To porywający film. Porywający wizualnie i porywający niebezpiecznie moralnie. To w końcu film przeznaczony dla młodzieży. Z logo Disneya. Tym razem logo jest podlane wyjątkowo mocną czernią.

Brawurowy, świetnie wyreżyserowany, perfekcyjnie wystylizowany oraz kapitalnie zagrany. Ma też wgniatającą ścieżką dźwiękową, na której wybrzmiewają szlagiery od Iggy’ego Popa, przez Queen, The Doors, aż po Stonesów. Londyn lat 60. odzywa pod batutą reżyserską Craiga Gillespiego doskonale zającą się z mrocznym światem czolowego czarnego charakteru naszego dzieciństwa. Emma Thompson i Emma Stone toczą krwisty aktorsko pojedynek na to, która jest okrutniejszym czarnym charakterem w świecie angielskiej mody. Obie panie w każdej scenie rozsadzają ekran. Nawet jeżeli Graig Gillespie zbyt mocno jest zapatrzony w Martina Scorsesego (widoczne to było już w „Ja, Tonya”), to i tak potrafi z tej fascynacji ulepić swój własny styl.

I to tyle moich pochwał na temat „Cruelli”. Bawilem się przednio na tym filmie jako krytyk filmowy. Kocham takie zabawy gatunkami. Kocham taką transgresję artystyczną. Tyle że ja ten film oglądałem też jako ktoś, kto pamięta, kim była Cruella de Vil w klasycznych disneyowskich „101 dalmatyńczykach”. Z uwagi na fakt, że psy zawsze były ważne w moim życiu, to wielbicielka futer ze skóry psów była dla mnie archetypicznym złem. Zgodnym z nazwiskiem, równie „tajemniczym” co Louis Cypher w „Harry Angel” Alana Parkera. Pure Evil. Czyste zło.

Teraz to czyste zło ubarwione bielą i czernią zostaje bohaterką filmu Dis-

neya. Bohaterką. Główną postacią. Na tyle skrzywdzoną, że możemy się z nią identyfikować. To bohaterka filmu granego nie tylko z napisami, lecz i z dubbingiem dla dzieciaków. Zobaczą one jak, biedna Cruella zostaje przeciągnięta na ciemną stronę księżyca i w finale, w rytm „Sympathy for the Devil” Stonesów zaczyna swój marsz po skóry psiaków. Jasne, że wampir Lestat w rytm tego samego utworu (cover Guns N’ Roses) o sprawczej sile diabła przemierzał Golden Gate Bridge. John Milton, czyli diabeł o twarzy Pacina, w akompaniamencie „Paint It Black” Jaggera i spółki opowiadał o swoim ulubionym grzechu ludzi i Keanu Reevesa (tak, nawet Constatnine grzeszy!). No, ale przecież Lestat i Milton to nie bohaterowie Disneya. To nie są ofiary złego otoczenia. To nie są ofiary złego świata, który uczynił ich złymi. Nie są jak Cruella, której kibicujemy w finale. W rytm piosenki o diable.

Co jak co, ale biało-czarna (David Lynch kochający ten dualizm powinien swoją wersję zrobić) dama planowała ostateczne rozwiązanie kwestii dalmatyńskiej, co zapowiada nam finał nowego transgresywnego dziełka Disneya. To już coś więcej niż apologia nihilizmu „Jokera”. „Co dalej?” – pytają kompani swoją demoniczną damę. Ja się pytam macherów w Hollywood o to co dalej? Rehabilitacja H&H, czyli Hitlera i Hannibala Lectera? Jeden był przecież piekielnie inteligentny, a drugi był artystą malującym akwarelami. Ktoś ich złem zaraził, nieprawdaż? Zło jest pociągające. O twarzy Emmy Stone pociąga jeszcze mocniej. I to jest największe niebezpieczeństwo tego filmu. To „Joker” na sterydach cynizmu i amoralności. Tyle że „Cruellę” ogląda się o wiele lepiej niż napuszony film Philipsa.

Armond White w konserwatywnym „National Review” zauważył, że „Cruella” jest dowodem na to, że feministyczny ruch przeżywa załamanie nerwowe. „Cruella” jest filmem mającym pokazać siłę kobiet, wyrrywających się

z wszelkich ram. Ale mówimy przecież o psychopatce i morderczynie psów. Można zapytać za White’em: „Co ten film mówi milenialsom?”. Że psychoza jest usprawiedliwieniem? Że psychoza jest zabawna? Cruella jest archetypicznym złem. I taka powinna pozostać. Każda kultura potrzebuje jasnych symboli. Popkultura też. Szczególnie, jak jest kierowana dla widzów młodszych, a w dobie dyktatury streamingu oglądanego na smartfonach kategorie wiekowe tracą znaczenie. Dowodem niech będzie gargantuiczny sukces świetnego, ale przeznaczonego wyłącznie dla dorosłego widza koreańskiego serialu „Squid Game”. Jest to najpopularniejszy serial w historii Netflixa. Dlaczego? Bo trafił na TikToka.

Nawet nihilista Rob Zombie, który skierował kamerę w stronę dzieciństwa psychopatycznego mordercy Michaela Myersa, nie pokusił się o uczynienie jednego z najsłynniejszych slasherowych bogeymanów kimś wartym współzucia. Notabene John Carpenter, widząc problematyczną etycznie wersję Zombiego, reaktywował „Halloween” (kolejna część właśnie wchodzi do polskich kin) i przywrócił znaczenie mroku kryjącego się za maską Myersa. Mrok Cruelli będzie eksploatowany w inny sposób, skoro omawiany tutaj film zarobił w kinach ponad 200 mln dol. Tylko jak Disney usprawiedliwi mordowanie psów w sequele? Czy może w tym wypadku nasza demoniczna dama się zreflektuje i pozostanie przy zemście na ludziach?

„CRUELLA” DOSTĘPNA NA PŁYTACH
I NA PLATFORMACH VOD



DVD/VOD

Nie przestaniemy realizować misji gwarantującej bezpieczeństwo energetyczne



Dziś już chyba nikt nie ma wątpliwości, że kapitał ma narodowość i jeśli chcemy zapewnić sobie trwale bezpieczeństwo energetyczne, musimy bazować na własnym. Integracja aktywów branży energetycznej otworzy podmiotom wchodzącym w skład grupy nowe możliwości rozwoju, szanse ekspansji na nowe rynki czy wzmocnienia pozycji na rynkach już zagospodarowanych. To także korzyść dla samego PGNiG

Z prezesem PGNiG SA *Pawłem Majewskim*
rozmawia **Maciej Wośko**, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”

Panie prezesie, jesteśmy właściwie w trakcie budowy potężnego organizmu gospodarczego, jakim ma się stać multienergetyczny koncern. Do 14 listopada 2021 r. PKN Orlen i Grupa Lotos mają złożyć wszystkie dokumenty stanowiące realizację środków zaradczych w ramach obu przedsiębiorstw. Wygląda na to, że powołanie nowego koncernu jest pewne i nieodwracalne. Jak pan ocenia ten proces?

Paweł Majewski: Bez wątpienia jest to jedno z najważniejszych przedsięwzięć w naszej współczesnej historii gospodarczej. Jego realizacja jest ważna ze względu na interesy związane z zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego i transformacją energetyczną. Po połączeniu sił łatwiej będzie nam udźwignąć jej koszty. Proces łączenia spółek prowadzony jest tak, by zrealizować go możliwie najszybciej, ale z poszanowaniem przepisów i obowiązujących

procedur. Połączenie nie może spowodować przecież uszczerbku w bieżącej działalności PGNiG.

Multienergetyczny narodowy koncern ma łączyć polską obecność na rynku surowcowym – paliwowym, a więc ropę, energię (OZE) i... gaz. W czasie gdy PKN, posiadający już w grupie Energe, łączy się z Grupą Lotos, trwają poważne przymiarki do połączenia także z PGNiG. Jak

sam pan powiedział: „Trwają analizy optymalnej struktury połączenia PGNiG z Orlenem i z Lotosem. Tutaj wiodącą rolę ma PKN Orlen, a wszystko odbywa się pod nadzorem ministra aktywów państwowych”. Czy może pan zdradzić jakieś szczegóły dotyczące możliwych wariantów fuzji?

Proces połączenia PKN i PGNiG trwa i jest bardzo mocno zaawansowany. Optymalny model, czyli przejęcie przez połączenie, wskazany został w uchwale Rady Ministrów. W jej następstwie została podpisana czterostronna umowa między MAP, PKN Orlen, PGNiG i Grupą Lotos. Przejmującym jest PKN i jego rola jest bezsprzecznie wiodąca. Zdajemy sobie sprawę, że przejęcie przez połączenie jest dużo bardziej skomplikowane niż zakup kapitałowy. Dlatego wszystko trzeba profesjonalnie zabezpieczyć w toku postępowania. A jest to wieloetapowa procedura, obejmująca m.in. kwestię przeniesienia koncesji, kontraktów długoterminowych, załatbiania o nasze zagraniczne aktywa w Norwegii, Pakistanie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich czy Afryce Północnej. Wnioski o koncentrację – nasz i PKN Orlen – rozpatruje teraz prezes UOKiK.

Nowo powstały koncern będzie mógł wreszcie podjąć konkurencyjną grę na europejskim i światowym rynku. Liczą się efekt skali, możliwości przerobowe, logistyczne i kapitał, który można przeznaczyć na transformację energetyczną. Czy po fuzji te korzyści odczuje też największy dostawca gazu w Polsce?

Dziś już chyba nikt nie ma wątpliwości, że kapitał ma narodowość i jeśli chcemy zapewnić sobie trwałe bezpieczeństwo energetyczne, musimy bazować na własnym. Integracja aktywów branży energetycznej otworzy podmiotom wchodzącym w skład grupy nowe możliwości rozwoju, szanse ekspansji na nowe rynki czy wzmocnienia pozycji na rynkach już zagospodarowanych. To także korzyść dla samego PGNiG. Zakładamy, że wszystkie główne segmenty związane z gazem: wydobywanie, magazynowanie, dystrybucja, obrót,

sprzedaż, będą utrzymane i wzmacniane w ramach koncernu.

Panie prezesie, trochę matematyki. Obecnie zużycie gazu w Polsce to ok. 20 mld m sześć. rocznie, a w perspektywie 2030 r. mówimy o ok. 30 mld m sześć. rocznie. Kontrakty na LNG z USA dają nam ok. 9,3 mld m sześć. paliwa po regazyfikacji rocznie. Razem z dostawami z Kataru to ok. 12 mld m sześć. W przyszłym roku planowane jest uruchomienie gazociągu Baltic Pipe, który umożliwi import do Polski nawet ok. 10 mld m sześć. gazu rocznie. To – jakkolwiek by liczyć – wciąż za mało, byśmy stali się niezależni od Gazpromu...

Proszę nie zapominać o wydobywaniu krajowym. To ok. 4 mld m sześć. paliwa rocznie. Uwzględniając tę produkcję, mamy już 26 mld m sześć. gazu. Z pozyskaniem kolejnych źródeł dostaw też nie będzie problemu. Budowane są połączenia transgraniczne Polska–Słowacja i Polska–Litwa, które zwiększą możliwość sprowadzenia do kraju gazu kupionego w Unii Europejskiej. W Gdańsku planowana jest budowa pływającego terminala regazyfikacyjnego, który pozwoli importować jeszcze więcej LNG. Mamy wreszcie plany związane z rozwojem rynku biometanu, gazu produkowanego przede wszystkim z odpadów rolnych. Szacujemy, że produkcja biometanu, który bez przeszkód można mieszać z gazem ziemnym, w ciągu kilkunastu lat może w Polsce sięgnąć kilku miliardów metrów sześciennych rocznie. Jakkolwiek by liczyć – paliwa nie powinno nam zabraknąć.

Pytam o niezależność gazową, bo nagły wzrost cen gazu pokazał już Europie, jak Rosja może grać i gra projektem Nord Stream 2. Dziś, przed sezonem zimowym, nie obawiamy się o brak gazu – ani dla przemysłu, ani dla indywidualnych odbiorców. Dywersyfikacja dostaw wreszcie przynosi pożądaną skuteczną cenę gazu, ze względu na sytuację na światowym rynku, mogą nam doskwierać.

Dzięki terminalowi LNG, rozbudowie połączeń transgranicznych oraz

budowie Baltic Pipe, która zakończy się w przyszłym roku, będziemy mieć pewność fizycznych dostaw, a więc bezpieczeństwo gazowe w najbardziej podstawowym znaczeniu. Inna rzecz to ceny gazu. Jesteśmy częścią wspólnego rynku, ceny w Polsce podążają za notowaniami paliwa na najbardziej płynnych rynkach zachodnioeuropejskich. A tam sytuacja jest dramatyczna – w ciągu roku gaz zdrożał o kilkaset procent. Nigdy wcześniej nie był tak drogi. Kryzys gazowy staje się właściwie kryzysem energetycznym, bo w ślad za gazem idą w górę ceny innych surowców. Jednym z głównych powodów drożyzny jest ograniczenie przez Gazprom sprzedaży gazu do Europy. Jest to taktyka, która ma wymusić zgodę na uruchomienie NS2 bez jego podporządkowania przepisom prawa unijnego. Rosjanie nawet tego nie ukrywają, kusząc zwiększeniem dostaw, ale tylko przez NS2, choć przecież mogą wysłać gaz tak jak do tej pory.

Dodatkowo w europejskich magazynach nie ma odpowiednich zapasów gazu. Najmniej w tych, które zostały oddane pod kontrolę Gazpromu – przede wszystkim w Niemczech, Austrii i Holandii. Ich stan uzupełnienia wynosi średnio mniej niż 30 proc., podczas gdy standardem było co najmniej 80 proc. Na szczęście polskie magazyny są wypełnione w ok. 97 proc. Jest to m.in. efekt stosowania przepisów o zapasach obowiązkowych. W wielu krajach europejskich nie ma takich regulacji, za to krytyczna dla bezpieczeństwa infrastruktura magazynowa została oddana w ręce podmiotu, który nie waha się używać gazu, aby zapewnić sobie uprzywilejowane traktowanie. Rosyjski uścisk nad UE i Ukrainą będzie się tylko zwiększał. Istniejące już trasy dostaw zostaną zamknięte lub ograniczone. Według ukraińskiego operatora systemu gazowego uruchomienie Nord Stream 2 wymusza zmiany w systemie gazowym i „nie będzie możliwości powrotu [transzyt] na Ukrainę”. Wszystko to – nawiązując do słów śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ogłoszonych w 2008 r. w Tbilisi na początku wojny rosyjsko-gruzyńskiej

– może się wprost przełożyć na bezpieczeństwo Ukrainy, krajów bałtyckich i całej Europy.

Niemiecka Federalna Agencja ds. Sieci dopuściła Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo SA oraz jej niemiecką spółkę zależną – PGNiG Supply & Trading GmbH – do postępowania certyfikacyjnego dla Nord Stream 2. Czy to oznacza, że będziecie mieli realny wpływ na certyfikaty dla NS2? Uda się dzięki temu cokolwiek wygrać?

Jako uczestnicy procedury certyfikacyjnej mamy dostęp do dokumentacji oraz możemy przedstawiać stanowiska w ramach procedury, w tym wobec argumentów podnoszonych przez wnioskodawcę, czyli Nord Stream 2 AG. Uczestnictwo w procedurze administracyjnej przed organem regulacyjnym RFN otwiera również możliwość udziału w ewentualnych kolejnych postępowaniach, w tym sądowych. Trybunał Sprawiedliwości UE już wcześniej potwierdził, że zasada solidarności energetycznej powinna być brana pod uwagę przy podejmowaniu wszelkich decyzji w obszarze energii. W tym kontekście stanowisko PGNiG i PST nabiera dodatkowego znaczenia w ramach procedury certyfikacyjnej. Niezmiennie uważamy, że spółka Nord Stream 2 AG nie spełnia formalnych i merytorycznych przesłanek do certyfikacji w preferencyjnym modelu niezależnego operatora systemu przesyłowego ITO (Independent Transmission Operator). Pozytywna decyzja BNetzA ws. certyfikacji Nord Stream 2 AG w modelu ITO stanowiłaby zagrożenie dla bezpieczeństwa energetycznego Unii i poszczególnych państw członkowskich. Wspólnie z PST przedstawiamy argumenty potwierdzające brak możliwości certyfikacji operatora Nord Stream 2 w modelu ITO i tym samym nasz udział wpływa na konieczność zapewnienia pełnej zgodności decyzji wobec gazociągu z prawem UE.

Gazprom już zareagował? PGNiG już wygrało międzynarodowy arbitraż z rosyjskim gigantem na 1,5 mld dol. Doświadczenie w sądowych i for-

malnych bojach zatem mamy. Jak pan ocenia nasze bezpieczeństwo energetyczne po uruchomieniu NS2 i czy w ogóle do tego dojdzie?

PGNiG i PST konsekwentnie wskazują na ryzyko dla bezpieczeństwa dostaw gazu i funkcjonowania rynku wewnętrznego UE związane z uruchomieniem Nord Stream 2. Gazociąg ten może zostać użyty jako narzędzie wykorzystania polityki energetycznej do osiągania celów ekonomicznych lub politycznych. Dostaliśmy ostatnio ostrzeżenie, że w związku z sukcesami PGNiG w sporach prawnych o NS2 jest szykowana kampania oszczerstw i fake newsów przeciw PGNiG. Wygląda na

Ceny w Polsce podążają za notowaniami paliwa na najbardziej płynnych rynkach zachodnioeuropejskich. A tam sytuacja jest dramatyczna – w ciągu roku gaz zdrożał o kilkaset procent. Nigdy wcześniej nie był tak drogi

to, że nasza działalność została dostrzeżona za naszą wschodnią granicą. Trzeba jasno powiedzieć, że każdy, kto teraz będzie uderzał w PGNiG, po prostu pracuje na rzecz Rosjan. To sytuacja bardzo niepokojąca. My walczymy przecież w interesie całej UE.

Jeśli wspominamy o bezpieczeństwie energetycznym – powstanie mega-koncernu jest też elementem budowania pewnego spokoju wokół surowców. Jak multienergetyczny kolos wpłynie na bezpieczeństwo Polski?

Jako PGNiG wnosimy do nowego podmiotu nasze kompetencje i know-how w zakresie upstreamu, czyli poszukiwania i wydobywania węglowodorów, wiertnictwa, doświadczenie związane z operacjami na koncesjach, również za granicą, umiejętności związane

z handlem paliwem gazowym na rynkach międzynarodowych, dobre relacje z partnerami z Norwegii, Ukrainy, Pakistanu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Kataru, USA i wielu innych krajów, a także ważną wiedzę o specyfice działalności na tych rynkach. Nie przestaniemy realizować też misji gwarantowania bezpieczeństwa energetycznego, w dalszym ciągu rozwijając projekty dywersyfikacyjne. Koncern multienergetyczny będzie jednym z kół zamachowych polskiej gospodarki.

Powstanie takiej firmy nie jest z pewnością po myśli Rosjan. Jak pan sądzi, komu nie podoba się projekt fuzji Orlen-Lotos-PGNiG? Dlaczego ten proces stał się celem niewybrednych ataków, takich jak choćby ostatnie doniesienia medialne dotyczące rzekomego konfliktu członków zarządów spółek uczestniczących w fuzji? Nasza zdecydowana walka o poszanowanie prawa i energetyczną solidarność europejską spotyka się z nieprzychylną reakcją Gazpromu. I to nie tylko na sali sądowej. Widoczną jest działalność ich lobbyistów w Unii Europejskiej, nie jest też tajemnicą wykorzystywanie dostępnych środków przekazu, w tym internetu, do tworzenia zmanipulowanych narracji. Połączenie koncernów jest atakowane przez część polskiej sceny politycznej, która nie myśli w kategoriach państwowych, ale jedynie bieżących celów politycznych. Z obu tych powodów tworzenie wrażenia konfliktu między realizującymi ten proces zarządami firm ma służyć dyskredytowaniu tego projektu. Celowo kreowane napięcie uważam za element bardzo szkodliwy, ale niemający nic wspólnego z rzeczywistością. Zapewne budując ten koncern, naruszamy duże zagraniczne interesy, dlatego im się to nie podoba, ale w tym przypadku to element pewnej gry, którą można zrozumieć. Natomiast ataki prowadzone przez część polskich polityków i mediów są dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Z Orlenem współpracujemy i będziemy nadal współpracować, aby wspólnie osiągnąć wyznaczony przez nas cel.

OFERTA FINANSOWA ARP S.A.

ARP S.A. dysponuje unikalną na rynku ofertą usług finansowych - pożyczek skierowanych do przedsiębiorstw sektora MŚP oraz dużych firm.

ARP S.A. finansuje przede wszystkim szeroko rozumiany rozwój przedsiębiorstw - przedsięwzięcia inwestycyjne, kapitał obrotowy, realizację kontraktów, wdrożenie działań zwiększających efektywność prowadzonej działalności gospodarczej oraz restrukturyzację.

POŻYCZKI

INWESTYCYJNE

finansowanie majątku produkcyjnego

OBROTOWE

finansowanie kapitału obrotowego

RESTRUKTURYZACYJNE

finansowanie przejściowych trudności płynnościowych

LEASING PRZEMYSŁOWY

OPERACYJNY

FINANSOWY

ZWROTNY

Szczegóły na stronie internetowej: <https://arp.pl/pl/dla-biznesu/finansowanie/>
<https://arpleasing.pl/>
<https://www.arp-tarcza.pl/>



Polski koncern z historyczną

Na początku października ORLEN mocno zaakcentował swoją obecność na Litwie. Jeszcze w tym roku ruszy budowa instalacji pogłębianego przerobu ropy, w którą koncern zainwestuje 641 mln euro. To największy w historii Grupy ORLEN projekt inwestycyjny prowadzony na Litwie

INWESTYCJE W MOŻEJKACH

Jeszcze w 2021 r. ma ruszyć budowa instalacji pogłębianego przerobu ropy w rafinerii w Możejках, która umożliwi zwiększenie uzysku produktów wysokomarżowych o 12 proc. – z obecnych niecałych 72 proc. do ponad 84 proc. To poprawi rentowność rafinerii i przyczyni się do podniesienia bezpieczeństwa energetycznego regionu. Realizacja ma zakończyć się najpóźniej w 2024 r. W lipcu 2021 r. ORLEN Lietuva podpisał z Minister-

stwem Energetyki Litwy list intencyjny w sprawie inwestycji pogłębianego przerobu ropy. Ogłoszona inwestycja w rafinerię jest jednym z efektów porozumienia.

Gdyby nie wkład ORLENu, to rafineria w Możejках za kilka lat nie miałaby już racji bytu. Zakład wciąż wymaga modernizacji, ale ta przyczynia się nie tylko do poprawy bezpieczeństwa energetycznego Polski, lecz i Litwy, Estonii czy Ukrainy. Obecnie 30 proc. ropy przerabianej w Możejках pochodzi z innych kierunków niż Rosja, chociaż

jeszcze niedawno 100 proc. ropy pochodziło z Rosji.

PKN ORLEN kupił w 2006 r. za 1,49 mld dol. od koncernu Jukos 53,7 proc. akcji litewskiej spółki Mažeikių Nafta, zarządzającej rafinerią w Możejках, a następnie na mocy umowy z rządem Litwy nabył kolejne 30,66 proc. udziałów za ponad 852 mln dol. Po sfinalizowaniu z rządem Litwy umowy kupna 10 proc. udziałów i wykupie udziałów od drobnych inwestorów płocki koncern posiada 100 proc. akcji litewskiej rafinerii, która w 2009 r.



inwestycją na Litwie

zmieniła nazwę na ORLEN Lietuva. Rafineria w Możejkach to największa firma na Litwie, zatrudniająca ok. 1,5 tys. pracowników. Kolejne 4,5 tys. to pracownicy zewnętrznych firm usługowych i podwykonawczych. ORLEN Lietuva to także jeden z największych na Litwie eksporterów i podatników. W 2020 r. do budżetu Litwy spółka wpłaciła ponad 566 mln euro z tytułu podatków.

JEDYNY TERMINAL PRZY GRANICY

Wymieniając inwestycje ORLENu na Litwie, warto też wspomnieć, że w czerwcu spółka ORLEN Lietuva nabyła 100 proc. udziałów w litewskiej spółce Mockavos Terminalas, przejmując tym samym kontrolę nad jedynym kolejowym terminalem przeładunkowym przy granicy polsko-litewskiej. Terminal powstał w 2017 r. Jego po-

wierzchnia wraz z przyległymi gruntami wynosi ok. 40 ha.

– Z sukcesem sfinalizowaliśmy strategiczny dla przyszłości ORLEN Lietuva projekt. Dotąd korzystaliśmy z terminala w Mockawie w oparciu o umowę o współpracy z zarządzającą nim spółką. Przejęcie terminala oznacza dla nas konkretne oszczędności i wzrost niezależności, a w dalszej perspektywie także możliwość realizacji kolejnych ambitnych planów rozwojowych na terenie, na którym znajduje się terminal – mówił wtedy Michał Rudnicki, prezes zarządu ORLEN Lietuva.

GENERATOR ZMIAN

Możejki i rafineria to jeden z elementów obecności ORLENu w litewskiej energetyce. Drugi to melodia przyszłości, ale wcale nie tak dalekiej. Mowa o offshore i odnawialnych źródłach energii. Rząd Litwy planuje na razie dwie aukcje:

pierwszą na końcu 2022 r., drugą rok później. Litewski minister energii Dainius Kreivys nie ukrywa, że tamtejszy rząd przychylnie patrzy na ewentualne zaangażowanie ORLENu.

Dwie litewskie aukcje, o których wspominał minister Kreivys, nie są jedynymi, o które ORLEN może walczyć. W polskiej strefie Morza Bałtyckiego w grze jest 11 pozwoleń. Chętnych do realizacji inwestycji nie brakuje, a PKN ORLEN również planuje uczestniczenie w tym procesie.

Rynek OZE rozwija się w Polsce dynamicznie. A offshore może stać się jednym z filarów transformacji energetycznej w naszym kraju. Jest to kluczowe w kontekście coraz częstszej dyskusji o pakiecie Fit for 55, którego celem jest ograniczenie emisji o co najmniej 55 proc. do 2030 r. Dlatego warto zwracać uwagę na dalszy rozwój sytuacji w tym sektorze.

(KG)

Ekspansja marki ORLEN

Marka ORLEN jest od dawna doskonale znana w naszym kraju. Ale od kilku lat spółka zwiększa swoje inwestycje zagraniczne, starając się o nowe rynki, jednocześnie wzmacniając pozycję w Europie Środkowej i Wschodniej

MARKA Z ZAUFANIEM

Stworzenie dobrej marki jest fundamentem sukcesu biznesowego. Według najnowszego rankingu marek 2021 przygotowanego przez dziennik „Rzeczpospolita” PKN ORLEN zajął w nim pierwsze miejsce. Wartość marki została wyceniona na blisko 10 mld zł (9869,0 mln zł).

ORLEN to niekwestionowany lider wśród sieci stacji paliw w Polsce – wynika z badania Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS. To jednocześnie najbardziej rozpoznawalna marka, którą Polacy obdarzają największym zaufaniem i sympatią. Według badania IBRiS 90 proc. ankietowanych i aż 94 proc. aktywnych kierowców zna markę ORLEN. Stacje należące do koncernu są także najbardziej lubianymi przez Polaków. Zadeklarowała tak ponad połowa badanych. Z kolei zaufanie do marki ORLEN kształtuje się

na poziomie 60 proc. ORLEN pozostaje więc najbardziej zaufaną siecią stacji w Polsce, która była najczęściej wybierana w ciągu trzech ostatnich miesięcy zarówno przez osoby tankujące paliwo (57 proc. respondentów), jak i osoby korzystające z oferty pozapaliwowej (40 proc. respondentów). To wyniki ponad dwa razy wyższe niż dwóch kolejnych marek łącznie. Spółka dąży do tego, aby podobne rezultaty osiągać na rynkach zagranicznych.

STACJE PALIWOWE I RAFINERIE

Najnowsze informacje dotyczą inwestycji PKN ORLEN na Litwie. W tym roku ruszy budowa instalacji pogłębianego przetworu ropy, która pozwoli produkować więcej produktów wysokomaryżowych. Spółka zainwestuje 641 mln euro. To największy w historii Grupy ORLEN projekt inwestycyjny prowadzony na



Litwie. Inwestycja zwiększy rentowność rafinerii w Możejках i wzmocni bezpieczeństwo energetyczne regionu.

To może być tylko zapowiedź jeszcze większych inwestycji. Jak powiedział bowiem litewski minister energii Dainius Kreivys, rząd Litwy przychylnie patrzy na ewentualne zaangażowanie się PKN Orlen w projekt morskich farm wiatrowych w litewskiej strefie Bałtyku.

Grupa ORLEN dysponuje największą w Europie Środkowo-Wschodniej siecią ponad 2,8 tys. stacji paliw, zlokalizowanych w Polsce, Czechach, Niemczech, Słowacji i na Litwie. W Czechach ORLEN Unipetrol jest właścicielem holdingu rafineryjnego, na Litwie ORLEN Lietuva zajmuje się przetwarzaniem ropy naftowej, a główna rafineria znajduje się w Możejках.

W NIEMCZECH POD SZYLDDEM ORLENU

Stacje benzynowe z logo ORLENU są coraz bardziej widoczne w niemieckim krajobrazie. Obecnie niemieccy kierowcy mogą korzystać z sześciu stacji benzynowych w pełni odpowiadających wysokim standardom i pod logo ORLENU. Wkrótce ma być siódma – na wyspie Sylt, znanej z wielu atrakcji turystycznych, wybieranej na miejsce wypoczynku przez zamożnych Niemców, którzy mają tutaj wiele rezydencji. Ale ORLEN, reprezentowany w Niemczech przez ORLEN Deutschland, ma w tym kraju łącznie 586 stacji, które działają pod marką Star i ORLEN. W ciągu ostatnich 10 lat koncern zainwestował w Niemczech ponad 300 mln euro, głównie w modernizację i rozwój sieci stacji paliw.

Zgodnie ze strategią udział stacji poza Polską do 2030 r. wzrośnie z 37 proc. do 45 proc.

W 2019 r. średnia sprzedaż na jedną stację w Niemczech zwiększyła się o prawie 400 tys. litrów w porównaniu z 2012 r. Wysoki poziom został utrzymany także w minionym roku, naznaczonym pandemią. Pozwoliło to na uruchomienie w kwietniu zeszłego roku na Seeberg Ost pod Berlinem pierwszej stacji wyłącznie pod marką ORLEN. W tym roku otworzono kolejnych pięć takich stacji.

– W pierwszej połowie 2022 r. kolejne stacje pod szyldem ORLENU zostaną uruchomione w Solingen, Hollenstedt, Zehlha-Mehlis i Cuxhaven-Altenwalde. Na początku 2023 r. pod marką ORLEN działać będzie też stacja w Trier – mówi Waldemar Bogusch, prezes ORLEN Deutschland.

Strategia ORLEN 2030 zakłada 11 mld zł na rozwój naszej sieci detalicznej i wzrost liczby stacji z 2,8 tys. do 3,5 tys. W najbliższych latach 25 proc. stacji Grupy ORLEN w Niemczech będzie wyposażona w szybkie ładowarki samochodów elektrycznych.

Na stacjach ORLEN w Niemczech systematycznie poszerzana jest także oferta polskich produktów. Już teraz koncern dysponuje jedną z największych sieci sprzedaży w tym kraju. Obecność na stacjach Grupy ORLEN to dla rodzimych producentów szansa na międzynarodowy rozwój. W ciągu ostatniej dekady obroty ze sprzedaży sklepowej wzrosły o niemal 60 proc.

W ostatniej dekadzie niemiecka spółka ORLEN Deutschland niemal potroiła zyski, zamykając ubiegły rok

z wynikiem EBITDA na poziomie 131 mln euro. Było to możliwe dzięki konsekwentnej polityce inwestycyjnej, rozbudowie sieci i podnoszeniu standardu stacji.

CZECZY I SŁOWACJA – STACJE I RAFINERIA

Prace nad ujednoliceniem wizerunku sieci stacji są prowadzone również w Czechach, gdzie działa 421 stacji, i na Słowacji, gdzie jest ich 15. Wszystkie te obiekty przeszły już cobranding i dziś funkcjonują pod nazwą Benzina – ORLEN.

Grupa ORLEN weszła na słowacki rynek detaliczny w kwietniu 2019 r. Obecnie posiada tam stacje paliwowe pod cobrandem marek Benzina i ORLEN. Podobnie jak w Czechach na słowackich stacjach dostępne są polskie produkty, m.in. napoje, artykuły spożywcze, oleje i płyny eksploatacyjne. Słowaccy kierowcy korzystają ze stacji paliw Grupy ORLEN zlokalizowanych w obszarach miejskich w Malackach, Holicach, Lužiankach, Šelpicach, Šuranach, Strečnie, Tesárských Mlyňanach, Senecu, Ružomberoku, Bytčcu, Dunajskiej Stredzie i od niedawna również w Trebaticach koło Piešťany i w miejscowości Kysucké Nové Mesto. Kolejne obiekty, po niezbędnych modernizacjach i remontach, będą dostępne dla słowackich kierowców w 2021 r.

Najszybciej rosnącym segmentem sprzedaży na stacjach paliw Benzina – Grupa ORLEN jest oferta gastronomiczna, której wolumen w Czechach wzrosł przez ostatnie osiem lat o 320 proc. Cieszy się ona również dużym zainteresowaniem wśród kierowców na Słowacji.

Czeski ORLEN Unipetrol rozwija nowe formaty sprzedaży detalicznej poza stacjami paliw. W Pradze-Karlínie działa sklep pod marką Stop Cafe, oferujący klientom gotowe przekąski i inne produkty spożywcze.

ORLEN Unipetrol inwestuje także w rozwój oferty produktów petrochemicznych. Dzięki budowie instalacji w czeskim zakładzie w Litvinowie, w drugiej połowie 2022 r. na rynek trafi nowy produkt – dicyklopentadien (DCPD), który wykorzystuje się m.in. w przemyśle motoryzacyjnym, budowlanym, elektrotechnicznym, a także w branży farmaceutycznej i medycznej. Planowana produkcja osiągnie wartość do 26 tys. ton rocznie, co będzie stanowiło ok. 25 proc. całkowitej mocy w Europie.

Zgodnie ze strategią do 2030 r. ORLEN chce zwiększać udział specjalistycznych produktów petrochemicznych w swojej ofercie. W perspektywie 10 lat ten segment ma generować połowę zysków pochodzących z przerobu ropy naftowej Grupy ORLEN. Dzięki inwestycjom w rozwój czeskich aktywów zwiększają się zyski z działalności biznesowej, ale też wzmacniane jest bezpieczeństwo energetyczne w regionie.

ORLENowi zależy na budowie silnej pozycji za granicą. Spójny wizerunek na wszystkich rynkach, na których spółka jest obecna, pozwoli wykorzystywać jej potencjał, będzie wspierać sprzedaż i pozwoli na zajęcie pozycji nr 1 jako koncernu multienergetycznego w tej części Europy. Marka ORLEN już jest postrzegana jako marka godna zaufania, zapewniająca wysoką jakość produktów i obsługi.

(RO)

Zmiana paradygmatu kosztów palenia

Pełna cena papierosów jest większa niż ta, którą płaci za nie konsument przy kasie. Za przywilej nałogu kupca płaci później całe społeczeństwo m.in. w wyższych kosztach systemu ochrony zdrowia i ubezpieczeń. Prawdziwa cena papierosów jest zatem wielokrotnie wyższa od tej widniejącej na paczce

To jeden z wniosków analizy pt.: „The Taxation of Nicotine in Canada: A Harm-Reduction Approach to the Profusion of New Products”, autorstwa ekonomisty z kanadyjskiego Uniwersytetu Concordia prof. Iana Irvine’a. Łączny koszt palenia dla społeczeństwa i gospodarki nie jest uwzględniony w cenie papierosów. Przy projektowaniu regulacji podatkowych powinno się go uwzględniać, tak jak zaczęto to robić m.in. przy kosztach oddziaływania inwestycji na środowisko.

Z punktu widzenia polityki przede wszystkim zdrowotnej, ale też podatkowej, w naszym kraju zaskakujące jest utrzymywanie nieekwiwalentnej ceny papierosów i wpływów podatkowych z ich sprzedaży do późniejszych kosztów m.in. leczenia, które obciążają już całe społeczeństwo. Jeżeli dopiero co powołane Forum Opodatkowania Wyrobow Akcyzowych miałoby odegrać pozytywną rolę w zmianie sprzyjającej większej zdrowotności, to poprzez uwzględnienie nieliczonych do tej pory kosztów od momentu wypalenia papierosa.

W swojej analizie prof. Irvine zauważył:

„Wypalanie jednej paczki papierosów dziennie przez 50 lat skraca oczekiwaną statystyczną długość życia palacza o 10 lat. Jeśli statystyczny rok życia oszacowalibyśmy na 50 tys. dol., to biorąc pod uwagę liczbę utraconych lat życia przez palacza, całkowity koszt jednej paczki papierosów wyniósłby nawet 40 dol.”. Co prawda wyliczenia te dotyczą społeczeństwa

kanadyjskiego, jednak dziś bliżej im do polskich realiów niż podobnym z państw UE. Polska pod względem liczby mieszkańców zbliżona jest do Kanady, którą zamieszkuje 37,6 mln ludzi. W państwie tym pali ok. 15 proc. społeczeństwa, czyli blisko 4,5 mln osób. Rokrocznie około 40 tys. z nich umiera na skutek palenia. W Polsce jest 26 proc. palących, czyli prawie 8 mln osób. Co roku notuje się ok. 81 tys. zgonów, które są skutkiem oddziały-



Fot. Andrzej Skwarczyński

wania dymu tytoniowego na organizm. Bank Światowy ocenia, że całkowity koszt palenia tytoniu wynosi 1,8 proc. globalnego PKB, czyli ok. 1,4 bln dol. strat rocznie.

Polityka bazująca na wiedzy powinna uwzględniać pełną cenę płaconą za palenie papierosów. Czy zatem nie należy jej uwzględnić w polityce akcyzowej tak, aby firmy sprzedające u nas papierosy choćby częściowo partycypowały w kosztach leczenia swoich klientów? Dziś osoby palące są jak pasażerowie na gapę, bo koszty ich leczenia finansują osoby niepalące.

Lwią część rynku tytoniowego w Polsce stanowią sprzedawane w atrakcyjnie niskich cenach papierosy. W ostatnich latach tanie papierosy sukcesywnie zwiększały swój udział w rynku bez ekwiwalentnego wzrostu z tego tytułu dla fiskusa. KPMG szacuje, że w Polsce wypalono w ubiegłym roku 40,6 mld sztuk papierosów, to 2,03 mld sprzedanych paczek. Pomimo nieznacznego spadku sprzedaży spowodowanego lockdownem gospodarki i wstrzymaniem ruchu granicznego wpływy budżetowe z podwyższonej o 10 proc. akcyzy na papierosy wzrosły do poziomu 21,46 mld zł, w porównaniu z 20,89 mld zł rok wcześniej. Czy zatem nie jest to margines na podwyżkę podatków na papierosy?

Czy podwyżka nie powinna objąć największego w Polsce segmentu tańszych papierosów? Rokrocznie drożeją o kilkadziesiąt groszy na paczce, podczas gdy papierosy z segmentu droższego, na których polski budżet zarabia więcej, notowały podwyżkę średnio rokrocznie o złotówkę na paczce. Różnica jest wynikiem struktury akcyzy w Polsce, czyli z wysokiej stawki procentowej uzależnionej od ceny papierosów, którą to w największym stopniu kształtują producenci papierosów. Podwyżka części kwotowej akcyzy, na którą producenci papierosów wpływu już nie mają, pozwoliłaby rządowi uwolnić się od polityki cenowej firm tytoniowych oraz uzyskać bardziej optymalne wpływy z papierosów.

Według danych z Komisji Europejskiej mamy dziś jedną z najniższych stawek akcyzy na papierosy w państwach wspólnoty i tym samym jedną z najniższych cen papierosów – niższe ma tylko Bułgaria. W Polsce mamy też jeden z trzech najniższych odsetków palaczy w UE deklarujących zaprzestanie palenia. Nasza konstrukcja podatku akcyzowego na papierosy sprzyja zręcznej polityce cenowej producentów, która czyni papierosy dostępnymi również dla ludzi młodych oraz młodocianych i nieletnich, wśród których obserwuje się wzrost zainteresowania paleniem. Atrakcyjna cena papierosów zachęca do sięgnięcia po pierwszą paczkę. Polska znajduje się dziś wśród pięciu państw o najwyższym odsetku nieletnich palaczy w Europie według Światowej Organizacji Zdrowia.

Z tego m.in. powodu głos w debacie podatkowej w Polsce zabrały środowiska lekarskie oraz towarzystwa naukowe, które zaapelowały do polityków o podniesienie części kwotowej akcyzy na papierosy, aby tym sposobem ograniczyć i utrudnić młodym osobom cenowo dziś dostępne dla nich papierosy. Według szacunków sporządzonych dla polskiego Ministerstwa Zdrowia przez Norweskie Towarzystwo Onkologiczne wynika, że podwyżka akcyzy na papierosy o 10 proc. mogłaby ograniczyć ryzyko palenia wśród nieletnich nawet o 16 proc., a wśród pełnoletnich palaczy o 4 proc.

Wyliczenia prof. Irvine'a obejmują również wysokość potencjalnego kosztu społecznego związanego z wyrobami alternatywnymi do papierosów, czyli e-papierosami i podgrzewaczami tytoniu, które są przedmiotem analiz Forum Opodatkowania Wyrobów Akcyzowych. Według prof. Irvine'a regulacje dotyczące tych produktów powinny być inne niż obowiązujące na papierosy, ponieważ wyroby alternatywne są mniej toksyczne od papierosów, gdyż nie mają substancji smolistych i palacz nie wdycha w nich dymu. Pozytywną konsekwencją przejścia palacza z papierosów na wyroby alternatywne byłoby zatem zmniejszenie kosztów społecznych związanych z paleniem. Przyjął minimalistyczne założenie, że takie przejście zwracałoby palaczowi rok z utraconych lat życia spowodowanych paleniem. Faktyczna cena wyrobów alternatywnych z uwzględnieniem ich kosztów społecznych nie przekraczałaby 10,8 dol. za paczkę wkładów tytoniowych do podgrzewania bądź kapsułkę z płynem nikotynowym. Koszt społeczny w porównaniu z papierosami jest blisko cztery razy niższy. Konkluzja kanadyjskiego ekonomisty sprowadza się do tego, że regulacje podatkowe powinny bardziej odzwierciedlać właśnie ów niższy koszt społeczny, aniżeli wspierać się na mierzalnych cechach tych produktów jak ich waga czy objętość. Z jego obliczeń wynika, że „stawki na produkty o niższym ryzyku powinny wynosić od 5 proc. do 10 proc. stawki mającej zastosowanie w przypadku papierosów, o ile jedynym kryterium byłoby ich względne ryzyko” dla zdrowia.

Zmiana paradygmatu w podejściu do kosztów palenia zaproponowana przez prof. Irvine'a wymaga podstawowego warunku, którym jest dostęp do informacji dla palaczy, że zakup wyrobu alternatywnego jest mniejszym ryzykiem dla zdrowia niż zakup paczki tradycyjnych papierosów. Z tego też wynika, że produkty alternatywne powinny być dla palaczy bardziej przystępne cenowo niż paczka papierosów, ze względu na późniejsze, nieliczone dziś, koszty społeczne. Niższe opodatkowanie mniej szkodliwych substytutów papierosów jest zauważalną obecnie praktyką w Unii Europejskiej.

Problem sprowadza się do zredukowania kosztów negatywnych efektów zewnętrznych ponoszonych nie tylko przez palacza, lecz przez całe społeczeństwo na poziomie kosztów ubezpieczeń zdrowotnych, społecznych i strat w działalności gospodarczej. Ale w jaki sposób dokonać znaczącej redukcji negatywnych zdrowotnych i finansowych efektów zewnętrznych przy równoczesnej optymalizacji wpływów budżetowych? Odpowiedź na to pytanie to temat na oddzielny artykuł. Można do tego dążyć na dwa sposoby: prymitywny – jak to obecnie dzieje się nie tylko w przypadku akcyzy na wyroby tytoniowe, lecz również np. w przypadku podatku cukrowego, lub realnie prowadzący do redukcji negatywnych efektów zewnętrznych, co jednak wymaga m.in. sięgnięcia do dorobku zarówno teoretycznego, jak i empirycznego rozwiązań podatkowych korelujących tzw. tradycyjny i odwrócony wielokryterialny podatek Pigou.

Wojciech Misiński i Andrzej Sadowski

*Andrzej Sadowski – ekonomista, prezydent Centrum im. Adama Smitha
dr hab. Wojciech Misiński – ekonomista, dr. hab. nauk ekonomicznych,
prof. Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu*



Jak sobie radzić z domowymi finansami?

Codziennie podejmujemy nawet kilkadziesiąt decyzji związanych z pieniędzmi

Najczęściej są to rutynowe wydatki, ale jest też wiele sytuacji, kiedy trzeba się zmierzyć z decyzjami o długoterminowych konsekwencjach. Takimi są darowizny, oszczędzanie na emeryturę czy założenie wspólnego konta. Do tego dochodzą zdarzenia losowe – jak na przykład wymiana uszkodzonych banknotów.

DAROWIZNY W RODZINIE WYMAGAJĄ SFORMALIZOWANIA

Darowizna w rodzinie, by była zgodna z prawem i nie została zakwestionowana przez fiskusa, musi spełnić wiele warunków formalnych.

Umowę darowizny pieniężnej najlepiej sporządzić w formie aktu notarialnego. Może być to też umowa pisemna, jednak w tym przypadku, kiedy nie korzystamy z pomocy notariusza, trzeba

pamiętać o wskazaniu daty i miejsca zawarcia umowy, jej stron oraz przedmiotu, tj. dokładnej kwoty pieniężnej. Co ważne, umowa darowizny w formie pisemnej dochodzi do skutku z chwilą przekazania środków obdarowanemu.

O tym, czy darowizna podlega opodatkowaniu i w jakiej skali, decyduje Ustawa o podatku od spadków i darowizn (z 28 lipca 1983 r.). Gdy akt darowizny dotyczy członków najbliższej rodziny, warto, by pieniądze zostały przekazane na rachunek bankowy lub przekazem pocztowym.

Przepisy podatkowe uprzywilejowują najbliższą rodzinę. Małżonkowie, zstępni (rodzice, dziadkowie), wstępni (dzieci wnuki) oraz pasierb, rodzeństwo, ojczym czy macocha, a także wychowankowie rodzin zastępczych i rodzinnych domów dziecka oraz ich opiekunowie są zwolnieni z podatku od

darowizn. Muszą jednak zostać spełnione pewne warunki. Po pierwsze, darowiznę, po przekroczeniu kwoty wolnej od podatku, tj. 9637 zł, należy zgłosić do urzędu skarbowego w ciągu sześciu miesięcy. W przypadku gdy obdarowany tego nie zrobi, będzie zobowiązany do zapłacenia podatku. Po drugie, otrzymanie darowizny musi zostać udokumentowane, np. wyciągiem z rachunku bankowego.

Sprawa opodatkowania darowizn komplikuje się, gdy dochodzi do niej wśród członków dalszej rodziny. Wysokość podatku zależeć będzie od stopnia pokrewieństwa i wysokości kwoty darowizny. Szczegóły dotyczące taryfy podatkowej dla darowizn znajdziemy w Ustawie o podatku od spadków i darowizn.

Darowiznę zgłasza fiskusowi obdarowany w swoim urzędzie skarbowym, tam gdzie co roku rozlicza zeznanie PIT.

JAK ZADBAĆ O LEPSZĄ JESIEŃ ŻYCIA

Obecne rozwiązania prawne oferują sporo możliwości odkładania pieniędzy na emeryturę – można uczestniczyć w oszczędzaniu systemowym (ZUS, PPK) lub robić to na własną rękę (IKE, IKZE).

Emerytura z ZUS wypłacana przez państwo to dla każdego pracującego Polaka podstawowy dochód po 60. (w przypadku kobiet) czy 65. roku życia (w przypadku mężczyzn).

Od 2019 r. możemy powiększyć ją, przystępując do Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK). W tym systemie uczestniczą obligatoryjnie: my jako pracownicy (jeśli sami z PPK nie zrezygnujemy), pracodawca oraz państwo.

Kluczowa w PPK jest systematyczność oszczędzania. Jako pracownicy odkładamy z naszego wynagrodzenia 2 proc. miesięcznie, pracodawca dokłada 1,5 proc. (może dobrowolnie płacić nawet do 2,5 proc.), do tego dochodzi składka powitalna fundowana przez państwo w wysokości 250 zł i 240 zł dopłaty rocznej z budżetu. W efekcie przy dochodzie brutto w wysokości 5 tys. zł możemy odłożyć w PPK 288 zł miesięcznie, kosztem jedynie 113 zł potrącanych z pensji.

Trzeci filar emerytalny polega na korzystaniu ze specjalnych rachunków – IKE (Indywidualne Konto Emerytalne) i IKZE (Indywidualne Konto Zabezpieczenia Emerytalnego) – oferowane przez banki komercyjne. Propozycja oszczędzania jest prosta – na IKE i IKZE możemy co miesiąc wpłacać dowolne kwoty, maksymalnie rocznie to trzykrotność miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce, w przypadku IKE i 1,2 prognozowanego w danym roku miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce (IKZE).

Co otrzymujemy w zamian? Przede wszystkim odsetki na tych rachunkach naliczane przez banki są nieco wyższe niż na zwykłym koncie. Ale najważniejsze są benefity podatkowe – zwolnienie z podatku od zysków kapitałowych (19 proc. tzw. podatku Belki), ulga w podatku dochodowym od osób fizycznych w przypadku IKZE (odliczenia od podatku PIT), duża swoboda inwestowania (za pomocą funduszy inwestycyjnych) i wreszcie możliwość dziedziczenia środków (w ZUS tego nie zrobimy).

ŁATWIEJ GOSPODAROWAĆ PIENIĘDZMI

Panowanie nad domowym budżetem to niełatwa sztuka. Może w nim pomóc wspólne konto bankowe małżonków.

Jedno konto dla obojga (czyli rachunek wspólny prowadzony dla małżonków) pozwala na wgląd w całe finanse rodziny. Plusów takiego rozwiązania jest zdecydowanie więcej niż minusów.

Po pierwsze, jest ono tańsze niż ponoszenie opłat za dwa odrębne konta. Łatwo je założyć i zamknąć. Każde z małżonków uzyskuje pełną swobodę w dysponowaniu środkami, a jednocześnie ma wgląd w całe saldo rachunku. Po drugie, wspólne konto, na które trafiają dochody obu małżonków, sprawdza się, kiedy jedno z nich jest bardziej biegłe w zarządzaniu pieniędzmi. Pewnym mankamentem może być konieczność obecności obu małżonków przy jego zakładaniu.

Do wspólnego konta oboje małżonkowie otrzymują po jednej karcie płatniczej, oddzielnej dla każdego z nich, odrębne kody PIN. Również dostęp do rachunku przez internet jest zindywidualizowany, małżonkowie nadają login i hasło – każde z nich własne. Co ważne, opłata za prowadzenie konta jest tylko jedna.

Korzystanie z pieniędzy jest zindywidualizowane i nie wymaga dodatkowych formalności. Zarówno żona, jak i mąż mogą bez zgody i wiedzy współmałżonka wypłacać dowolne kwoty pieniędzy, oczywiście do wcześniej przez nich określonego limitu. Limit ten może być inny dla każdego z nich, zarówno w przypadku wypłat z kasy czy bankomatu, jak też płatności kartą. Zgody małżonka wymaga natomiast możliwość korzystania z debetu.

ZUŻYTY LUB USZKODZONY BANKNOT CZY MONETĘ MOŻNA WYMIENIĆ

Uszkodzone banknoty i monety możemy wymienić na nadające się do obiegu w oddziale dowolnego banku działającego w Polsce. Oddział, do którego się udamy z naddartym, postrzępionym, podklejonym, przerwany czy też zabrudzonym lub poplamionym banknotem, wymieni je na inne

egzemplarze (opis przykładowych uszkodzeń określa zarządzenie Prezesa NBP: 31/2013). Kasjer przyjmie od nas banknot, pod warunkiem że nie budzi on wątpliwości co do autentyczności bądź nie jest zbyt poważnie uszkodzony. Natomiast jeśli pojawiają się wątpliwości, zostanie odesłany przez bank do weryfikacji do Centrali NBP, co może potrwać od kilku dni do kilku tygodni.

NBP ma możliwość odmowy wymiany (pisemnie ją uzasadniając), kiedy zniszczenie banknotu jest zbyt duże. W takim przypadku bank odeśle nam nasze zniszczone pieniądze.

Wymiana uszkodzonego banknotu lub monety nie zawsze odbywa się w stosunku 1:1. Na wymianę w kasie banku w pełnej wartości nominalnej możemy liczyć wtedy, gdy banknot jest podarty na kilka części (nie więcej niż dziewięć), jednak łącznie stanowią one całość jego oryginalnej powierzchni lub jeśli banknot zachował ponad 75 proc. swojej pierwotnej powierzchni w jednej części.

W trzech przypadkach nie możemy liczyć na jakąkolwiek wymianę: kiedy jest mniej niż 45 proc. pierwotnej całości banknotu, gdy niemożliwe jest rozpoznanie przez kasjera nominału banknotu lub monety i gdy banknot okaże się fałszywy.

Nie liczymy na to, że w Polsce wymienimy uszkodzony banknot waluty obcej, np. euro. Jest to możliwe jedynie w banku centralnym emitenta danej waluty obcej.

W celu ułatwienia klientom wymiany zużytych bądź uszkodzonych polskich banknotów od października 2020 r. wprowadzono przepisy umożliwiające przesłanie zużytych lub uszkodzonych banknotów waluty polskiej (o łącznej wartości nie wyższej niż 2 tys. zł) wraz z wnioskiem o wymianę przesyłką kurierską lub zwykłą pocztową na adres Departamentu Emisyjno-Skarbowego NBP. Zwrot z tytułu wymiany otrzymamy na wskazany we wniosku numer rachunku bankowego.

DS



NARODOWY
BANK POLSKI

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej



#ZMIENIAMYDWORCE
NAJWIĘKSZA MODERNIZACJA DWORCÓW

Do końca 2023 roku udostępniemy podróżnym
prawie **200** nowych i zmodernizowanych dworców





- 📍 Gdynia Główna
- 📍 Gdańsk Oliwa
- 📍 Gdańsk Główny



**PODRÓŻ
NIE KOŃCZY SIĘ
NA DWORCU**

easysshare.pl/pkpmobility

Czy wróci czarny rynek obrotu alkoholem?

Już od nowego roku mogą wejść w życie nowe przepisy, zgodnie z którymi na przestrzeni najbliższych sześciu lat akcyza na alkohol wzrośnie o ok. 40 proc. Oznacza to, że cena za butelkę wódki o pojemności 0,5 l osiągnie nawet 50 zł. Biorąc pod uwagę sytuację gospodarczą, tj. rosnące koszty produkcji i pracy, inflację, a teraz jeszcze podwyżkę podatków, ceny dla konsumentów znacząco wzrosną. Jednocześnie należy się spodziewać powrotu czarnego rynku obrotu alkoholem, który stanie się atrakcyjny ekonomicznie – ostrzega Witold Włodarczyk (na zdj.), prezes Związku Pracodawców Polski Przemysł Spirytusowy



Akcyza dla producentów alkoholi mocnych jest trzy razy wyższa niż na piwo. Odwrotnie wyglądają proporcje w Polsce pod względem spożycia. Polacy spożywają 54,6 proc. alkoholu w piwie, natomiast 37,8 proc. w napojach spirytusowych. Producenci zrzeszeni wokół branży spirytusowej alarmują, że jeśli skutkiem planowanej dalszej podwyżki podatków w branży alkoholowej ma być pokrywanie realnych kosztów problemów alkoholowych, to zmiana stawek powinna odzwierciedlać istniejące dysproporcje w opodatkowaniu poszczególnych kategorii alkoholu. Jednakowa podwyżka o 10 proc. na wszystkie kategorie alkoholi nie tylko nie spełni tego celu, lecz będzie także niesprawiedliwa.

– Zaproponowana przez Ministerstwo Finansów nowelizacja ustawy o podatku akcyzowym zakłada wzrost stawek akcyzy na alkohol o 10 proc. od 2022 r. To nie koniec. W latach 2023–2027 akcyza będzie rosła co roku o 5 proc. Planowane podwyżki są – z perspektywy przedstawicieli producentów wyrobów spirytusowych – wyjątkowo niebezpieczne dla wytwórców rzemieślniczych alkoholi. – To uderzenie w nas – producentów wódek regionalnych i nalewek. To kolejny cios, a wciąż nie podnieśliśmy się po stratach związanych z pandemią COVID-19. Niestety, ten może być ostateczny – mówi Grzegorz Grabowski, dyrektor Toruńskich Wódek Gatunkowych. W Polsce mamy ok. 130 wytwórców wyrobów spirytusowych, ponad 90 proc. z nich to małe, często rodzinne manufaktury. Nie ma szansy, aby firmy te przeżyły takie podwyżki.

Przed zapowiedzianą podwyżką podatków na alkohole przedstawiciele branży prześcigają się w przerzucaniu na siebie odpowiedzialności za spożycie alkoholu. Na szczęście to per saldo spada. Jak wynika z danych Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, w 2020 r. Polacy wypili najmniej alkoholu od 2003 r.

Zjednej strony mógł to być efekt pandemii i kolejnych lockdownów, przez co dostęp takich używek był nieco utrudniony, ale z drugiej może to być także zmiana trendów. Z danych CBOS wynika, że aż 16 proc. Polaków najczęściej stawia na wódkę, natomiast Narodowy Test Zdrowia 2021 wskazuje,

że do abstynencji przyznaje się tylko 19 proc. Polaków. Piwo nadal jest dominujące na polskim rynku. No ale czy nie o to jeszcze 20 lat temu chodziło, by Polacy przestali pić wódkę? Branża spirytusowa twierdzi, że problem w tym, że polski system podatkowy promuje piwa „tanie mocne”, i to one są problemem zdrowotnym.

– To taka trochę teoria z filmów Barei, że ta wódka to jest zło, a piwo nie. W serialach również, gdy np. Ferdek Kiepski pyta: „Czy spożywa alkohol?”, odpowiada: „Bardzo sporadycznie, piję piwo codziennie, ale przecież to nie jest alkohol”. Taką informację o piwie wyrobiła nam sama branża piwna, od wielu lat reklamując się jako jedyna branża alkoholowa w Polsce, że piwo to właściwie nie alkohol, to napój, który reklamujemy jako przyjazny, który łączy nas w przyjaźni i sporcie. To nieprawda, bo piwo alkoholowe stanowi 95 proc. rynku piwnego w Polsce. Niestety bardzo często są to jednocześnie piwa o dużej mocy – zaznacza Witold Włodarczyk. – Tu dochodzimy do sedna sprawy. W przypadku alkoholi mocnych, im mocniejszy trunk, tym wyższa akcyza, ale tak nie jest w piwie. W piwie liczy się skala Plato [skala Plato przyjęła się jako podstawowa w przemyśle piwowarskim do określania gęstości brzożki, z której powstało piwo – przyp. red.]. W piwie de facto płacimy podatek od jakości, czyli im lepszą jakość piwa, tym wyższy podatek. Natomiast nie ma żadnej korelacji między zawartością alkoholu w piwie a wysokością akcyzy. To prowadzi do sytuacji, w której branża piwna produkuje piwa o bardzo wysokiej zawartości alkoholu, ale niskiej jakości, bo za wysoką jakość płaci się wyższą akcyzę – dodaje.

Właśnie dlatego dziesięcioprocentowa podwyżka podatku na wszystkie napoje alkoholowe według wyliczeń ZPPPS spowoduje wzrost ceny napojów spirytusowych o 8 proc., natomiast piwa zaledwie o 4 proc. Podatek akcyzowy jest trzykrotnie wyższy dla napojów spirytusowych niż dla piwa. Porównując tę samą jednostkę, tj. 10 g czystego alkoholu (zawartego w 30 ml 40-proc. wódki i w 250 ml 5-proc. piwa) akcyza na wódkę wynosi 76 gr, natomiast na piwo 25 gr. Dlatego, jak argumentują, 10-proc. podwyżka na wszystkie produkty jest tylko pozornie taka sama. Za to gdy wziąć pod uwagę różną stawkę, która będzie podwyższana, spowoduje jeszcze większą dysproporcję oraz relatywnie znów obniży cenę piwa, względem innych produktów. A to wcale nie jest dobre z przyczyn zdrowotnych, ponieważ rolę tej „złej wódki” z dawnych czasów zastąpiły tanie, a mocne piwa.

– ZPPPS przy wsparciu ekspertów ekonomicznych przygotował projekt ustawy o podatku akcyzowym, który pozwoliłby na zwiększenie wpływów do budżetu państwa, bez drastycznych podwyżek dla wszystkich uczestników rynku, przy zachowaniu wprost proporcjonalnej korelacji wpływów do budżetu z ilością wyprodukowanego alkoholu etylowego czy to w napojach spirytusowych, czy piwie.



Takie rozwiązanie mogłoby przynieść większe niż zakładane w projekcie UD299 wpływy do budżetu państwa, zostałby także osiągnięty cel zdrowotny eliminujący najtańsze na rynku napoje alkoholowe, czyli tanie i mocne piwa – podkreśla Witold Włodarczyk, prezes Związku Pracodawców Polski Przemysł Spirytusowy.

Zaproponowane w obecnym projekcie nowelizacji ustawy rozwiązanie zdaniem ZPPPS pogłębi efektywną fiskalną dysproporcję opodatkowania tym podatkiem wyrobów alkoholowych. Przed podniesieniem stawek na wszystkie wyroby alkoholowe najpierw powinno nastąpić ujednolicenie podstawy opodatkowania. Akcyza od każdego trunku powinna być płacona od zawartości alkoholu w produkcie. Taki sposób liczenia akcyzy wpłynąłby pozytywnie na konkurencję między producentami poszczególnych wyrobów, która zdaje się zaburzona, a projektowane zmiany jeszcze bardziej pogłębią preferencyjne traktowanie piwa w polityce akcyzowej państwa.

Alkohole mocne zapewniają aż 69 proc. wpływów z akcyzy wynikającej z opodatkowania wszystkich wyrobów alkoholowych, natomiast piwo 28 proc. Pod względem spożycia proporcje są odwrotne. Polacy spożywają 53,5 proc. alkoholu w piwie, natomiast 38,5 proc. w napojach spirytusowych. Jest to także alkohol, po który najczęściej sięga młodzież. Aż 44 proc. Polaków zaczyna inicjację alkoholową od piwa, a jedynie 9 proc. od wyrobów spirytusowych. Jeżeli skutkiem planowanej indeksacji ma być pokrywanie realnych kosztów problemów alkoholowych, to zmiana stawek powinna skutkować wpływami z tytułu akcyzy od piwa na poziomie ok. 54 proc. Podwyżka o 10 proc. na wszystkie kategorie jest z tym celem sprzeczna.

Jak podkreśla ZPPPS, żeby poprawić efektywność fiskalną, należy zmienić strukturę wewnętrzną opodatkowania wyrobów akcyzowych i zwiększyć obciążenie fiskalne etanolu zawartego w tych wyrobach, których Polacy spożywają najwięcej. Wprowadzenie proporcjonalnego systemu naliczania podatku akcyzowego, poprzez rezygnację z naliczania akcyzy na piwo na podstawie systemu Plato, przy jednoczesnym naliczaniu ww. podatku od czystego alkoholu we wszystkich rodzajach wyrobów alkoholowych, może wnieść do budżetu państwa dodatkowe 4–5 mld zł rocznie, czyli dużo więcej niż 2 mld zł planowane przy podwyżce 10-proc. na wszystkie kategorie.



Manhart ER 800, czyli jak stuningować mercedesa

Niemiecka firma Manhart Performance specjalizuje się w ekstremalnym tuningu głównie najszybszych wersji BMW. Tym razem jednak na warsztat – dosłownie – został wzięty model innego giganta niemieckiej motoryzacji Mercedes-AMG E 63 S. „Mówiąc o naszych kreacjach, większość fanów tuningu zapewne najpierw myśli o wyrafinowanych modelach BMW. W związku z tym, kiedy wielu miłośników benzyny myśli o zoptymalizowanej wyczynowej limuzynie w klasie luksusowej naszej firmy, naturalnie zakłada, że podstawą jest M5. Ale nasz zespół z Wuppertalu może też robić rzeczy inaczej! Dlatego właśnie zaprezentowaliśmy Manhart ER 800” – czytamy na stronie firmy.

Seryjny Mercedes-AMG E 63 S ma czterolitrowy silnik V8 Bi-turbo o mocy 571 KM (E 63) lub 612 KM (E 63 S). Po tuningu jest to 809 KM, jest też nowy układ hamulcowy z ceramiczno-

-karbonowymi tarczami o średnicy 405 mm na przedniej osi, 21-calowe obręcze i obniżone zawieszenie. Oczywiście rzucają się też w oczy dodatkowe oznaczenia. Samochód kosztuje ok. 800 tys. zł. Co ciekawe, niektóre stuningowane wersje będą dostępne na eksport, gdyż nie spełniają warunków homologacji w Niemczech.



AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Jak podaje serwis wroclaw.pl, tamtejsza straż miejska jest pierwszą w Polsce, która będzie korzystać z elektrycznych hulajnóg. – Jest to nowoczesny sprzęt, który z pewnością bardzo nam się przyda. Jesteśmy pierwszą strażą, która posiada elektryczne hulajnogi – mówi Sławomir Chelchowski ze Straży Miejskiej Wrocławia. Pojazdy (hulajnogi i rowery) zostały przekazane przez firmę Auto Group Polska z okazji 30-lecia powołania Straży Miejskiej Wrocławia.

Firma Volvo zmienia swoje logo. To już kolejny producent, który zdecydował się na taki krok, wcześniej swoje znaki firmowe odświeżyły m.in. BMW, Nissan, Renault, Kia czy Volkswagen. Pierwszy raz okrąg i strzałka pojawiły się w logo



Volvo w 1930 r. Co ciekawe, w latach 1959–1999 znak Volvo był równie uproszczony, jak nowy. Na razie nie wiadomo, kiedy nowy znak pojawi się oficjalnie, mówi się o roku 2023.

Lewis Hamilton będzie bez wątpienia ciepło wspominał Grand Prix Rosji w Formule 1. Brytyjczyk jeżdżący dla Mercedesa po raz setny zwyciężył i w ten sposób stał się pierwszym kierowcą F1 ze stu zwycięstwami na koncie. „Zajęło mi dużo czasu, by wygrać po raz setny i nie byłem nawet pewien, czy to nadejdzie” – powiedział Hamilton po wyścigu.

Nadchodzi koniec pewnej epoki, Norwegia przyspiesza przechodzenie na pojazdy niespalinowe. W kwietniu przyszłego roku – wcześ-

niej mowa była o 2025 r. – oficjalnie ma zakończyć się sprzedaż nowych aut spalinowych.

To chyba jedna z najdłuższych nazw dla samochodu: Aston Martin DB5 Junior No Time To Die Edition. Fanom kina, a zwłaszcza przygód brytyjskiego agenta 007, na pewno zapaliła się w tym momencie lampka. Tak, chodzi o słynny model, którym jeździł James Bond. Z okazji nadchodzącej premiery 25. części przygód agenta Jej Królewskiej Mości zatytułowanej właśnie „No Time to Die”, Aston Martin, The Little Car Company i EON Productions postanowiły przygotować specjalną, limitowaną do 125 egzemplarzy edycję modelu DB5. Cena, bagatela, 90 tys. funtów.

Przygotował Paweł Gadaczek



EKOLOGIA Z ENERGĄ

Cykl dodatków dotyczących ekologicznych postaw, inwestycji w zieloną energię, odnawialnych źródeł energii



Na łamach tygodnika „Sieci” wspólnie z ekspertami z Grupy Energa opowiadamy o tym, jak wykorzystać energetyczną transformację z pożytkiem dla domowego budżetu i ochrony środowiska

✓ Jaki samochód wybiorą Polacy?

✓ Gdzie naładować elektryka?

✓ Transport zmienia kolor na zielony



ZIELONY TRANSPORT

CZYLI SAMOCHODEM ELEKTRYCZNYM, AUTOBUSEM NA GAZ I STATKI NA WODÓR

SIECI

Paliwowa alternatywa

O ile przez niemal cały wiek XX to tradycyjne paliwa spalinyowe królowały w motoryzacji i transporcie, o tyle wiek XXI przyniósł w tej materii gruntowną zmianę

Dziś wybór pojazdu opartego na tradycyjnym paliwie nie wydaje się już tak oczywisty dla konsumentów. Zamiast tradycyjnej ropy globalny transport szuka alternatyw – wodor, elektromobilność, LPG, LNG... to innowacje, które zarówno dla wielkiego transportu, jak i zwykłych kierowców stały się codziennością. A popularność tego typu rozwiązań stale rośnie!

PRZEDSIĘBIORSTWA OTWARTE NA NOWOŚCI

Nasi rodacy nie tylko chętnie przedstawiają się na innowacyjne rozwiązania, ale też zachęcają do tego znanych. Już w 2018 r. specjalna analiza Press-Service Monitoringu Mediów, dokonana na zlecenie Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych (PSPA), wskazywała, że Polacy chętnie korzystają np. z elektrycznych samochodów. Zainteresowanie elektrykami rosło zarówno wśród zwykłych kierowców, jak i firm. Przedsiębiorstwa zresztą postrzegają paliwa alternatywne i elektromobilność jako przyszłość transportu, za główne zalety uznając niskoemisyjność, ale też korzyści ekonomiczne (vide „Elektromobilność w Polsce na tle tendencji europejskich i globalnych”, raport pod redakcją naukową Jerzego Gajewskiego, Wojciecha Paprockiego i Jany Pieriegud).

Także media doceniały znaczenie elektromobilności, zwiększając częstotliwość informacji na temat alternatywnych paliw. Temat ten gościł też na większości kongresów i konferencji branżowych.

– Dla PSPA, organizacji, która aktywnie uczestniczy w rozwoju rynku paliw alternatywnych w Polsce, to powód do zadowolenia. Im więcej będzie się mówić o elektromobilności, tym większa będzie świadomość społeczna w tym zakresie – mówił nam Maciej Mazur, dyrektor zarządzający w PSPA.

Polska znajduje się więc nie tylko w awangardzie zainteresowania paliwami alternatywnymi, ale też wytycza pewne normy dla Europy, która także rozwija tego typu drogowe innowacje. Ostatnie lata to okres rosnącego zainteresowania działaniami proekologicznymi, zarówno ze strony zwykłych użytkowników, jak i firm transportowych.

Tradycyjne paliwa nadal odgrywają istotną rolę, głównie ze względu na łatwą i szybką dostępność oleju napędowego i benzyny, jednak obecnie coraz częściej stanowią one swobodną trampolinę czy też fundament pozwalający przedsiębiorstwom transportowym na przechodzenie ku innowacjom. Szczególnie istotne dla firm wydają się tu kwestie ekonomiczne – biorąc pod uwagę całkowity koszt posiadania pojazdu, maszyny zasilane paliwami alternatywnymi stają się ciekawą opcją. Przykładowo ciężarówki zasilane sprężonym gazem ziemnym (CNG) lub skroplonym gazem ziemnym (LNG) mogą być tańsze w utrzymaniu, oferując też korzyści podatkowe. Warto również wskazać, że rządy wielu państw europejskich (w tym rząd RP) oferują ulgi podatkowe lub dotacje na pojazdy zasilane paliwami alternatywnymi. Co ważne, niektóre regiony UE pozwalają na eksploatację pojazdów z paliwem alternatywnym w miejscach i czasie, w których po-



jazdy o tradycyjnym zasilaniu działać nie mogą. To sprawia, że firma stawiająca na ekopaliwa mogłaby też zyskać przewagę nad bardziej tradycyjną konkurencją! Sama dostępność paliw alternatywnych także rośnie – Polska, podobnie jak europejscy partnerzy, inwestuje w budowę nowych, lepiej wyposażonych stacji paliw, oferujących instalacje gazowe lub ładowarki elektryczne. To istotne, alternatywne paliwa oferują bowiem ogromne korzyści dla środowiska – pojazdy CNG i LNG emitują 20 proc. mniej CO₂ niż pojazdy zasilane tradycyjnymi paliwami! To także niższa emisja szkodliwych substancji i cząstek stałych!

Są też inne zalety – kierowcy zawodowi zasiadający za sterami ciężarówek z dieslem skazani są na głośny hałas i stałe wibracje, co wpływa negatywnie na zdrowie. Tymczasem pojazdy zasilane CNG i LNG oferują redukcję hałasu o 50 proc. i niemal całkowity brak wibracji. To sprzyja nie tylko zwiększeniu komfortu jazdy,

ale też pozytywnie wpływa na zdrowie kierowcy.

ELEKTRYCZNY BOOM CORAZ BLIŻEJ!

Według danych PSPA prawie 30 proc. Polaków deklaruje, że zmieniając auto, rozważyłoby zakup elektryka – to nie tylko efekt zwiększonej atrakcyjności tej formy transportu, ale też większej świadomości naszych rodaków na temat środowiska. Według danych IBRM Samar, będącego partnerem merytorycznym raportu „Polish EV Outlook 2021”, w obszarze pojazdów, w połowie 2021 r. skumulowana liczba rejestracji samochodów z napędem elektrycznym w Polsce wynosiła 28696 szt. osobowych i dostawczych BEV oraz PHEV. Liczba pojazdów całkowicie elektrycznych (BEV) wynosiła 13111 szt. (45,7 proc. parku), hybryd typu plug-in – 15585 szt. (54,3 proc. parku). W I połowie 2021 r. w Polsce zarejestrowano 7110 nowych EV (czyli aż o 188 proc. więcej niż w analogicznym okresie ub.r.), jak również 1418 pojazdów tego typu pochodzących z importu.

Jak wskazał Jan Wiśniewski z Centrum Badań i Analiz PSPA: „Rośnie zainteresowanie samochodami elektrycznymi, ponieważ rośnie rynek elektromobilności, w szczególności liczba oferowanych modeli EV oraz ogólnodostępnych ładowarek”. Równolegle do tego kończy się, jak się zdaje, epoka diesla, które w ostatnich latach cieszą się znacznie mniejszą popularnością. Nic dziwnego – z badań PSPA wynika jasno, że 98 proc. nabywców elektryków jest zadowolonych z tego wyboru. Nic tak nie przekonuje do nowej technologii jak zadowolony z niej przyjaciel, sąsiad czy krewny. Kolejne lata mogą przy-

nieść w tej materii dalsze zmiany.

Warto dodać, że elektryki cieszą się ogromną popularnością u naszych sąsiadów zza morza – państwa skandynawskie korzystają z elektryków już od kilku lat, a wprowadzone tam rozwiązania należą do najbardziej zaawansowanych na świecie. Polska mądrze korzysta z tych doświadczeń, dzięki czemu wchodząc w obszar elektromobilności, może skutecznie wdrażać działające rozwiązania i jednocześnie unikać błędów, które popełniono podczas wdrażania tych technologii w Skandynawii.

WODÓR TEŻ MOŻE BYĆ PRZYSZŁOŚCIĄ

Wodór przez wiele lat był traktowany jako paliwo rodem z filmu science fiction, jednak obecnie oczy całego świata coraz chętniej spoglądają ku tej technologii. Wodór od wielu lat sprawdza się jako technologia, na której opierają się systemy grzewcze w Japonii, toteż Unia Europejska także wiele sobie obiecuje po tym rozwiązaniu.

Polska nie pozostaje w tyle – będące gospodarczymi czołwami spółki skarbu państwa angażują się w tę technologię. Budowa przemysłowych instalacji do wielkoskalowej produkcji zielonego wodoru, zastosowanie wodoru w transporcie i przemyśle – to tylko kilka z proponowanych rozwiązań.

Bez wątpienia wódór może się stać paliwem przyszłości, także w transporcie, stanowiąc alternatywę lub wsparcie dla rozwiązań elektrycznych. Atutem naszego kraju jest w tym wypadku rozwinięty przemysł wodorowy – Polska

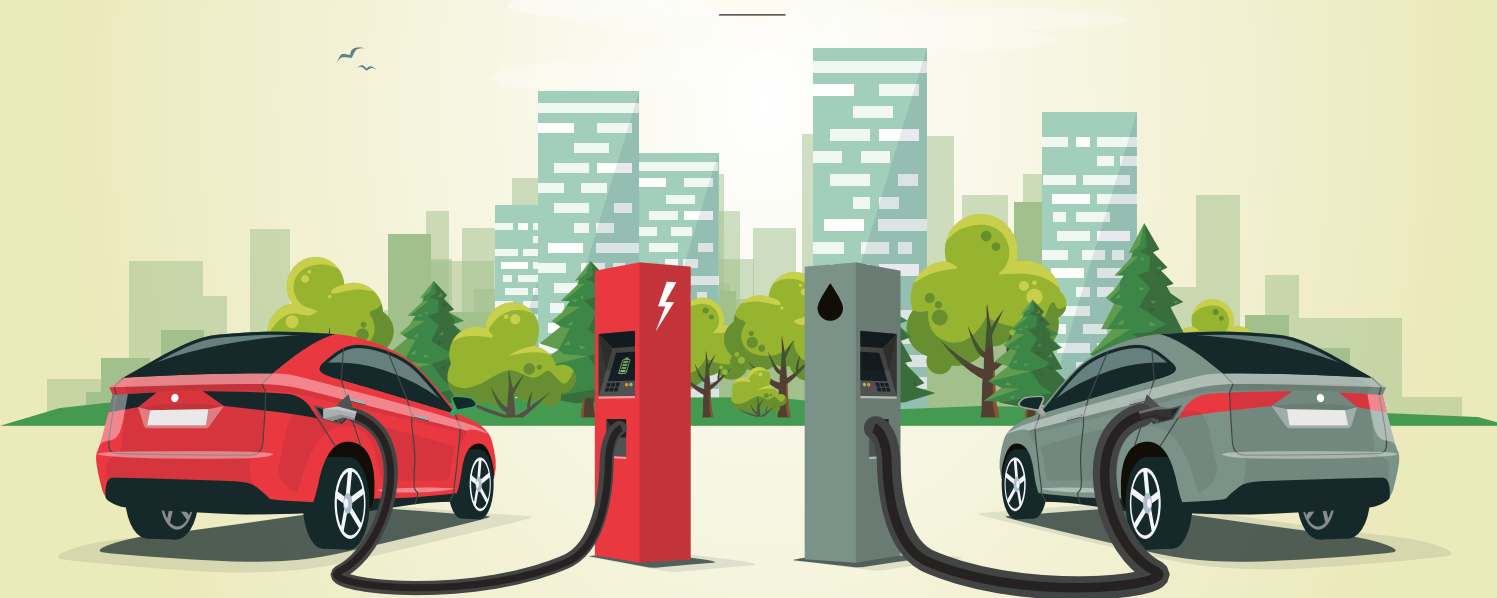
już teraz jest piątym na świecie i trzecim w UE producentem tego gazu.

Transport bez wątpienia czeka ogromne zmiany i tylko od determinacji rządzących, sprawności menedżerów i otwartości na nowe rozwiązania zarówno użytkowników indywidualnych, jak i biznesowych zależy, w jakim kierunku będą się rozwijać te technologie w naszym kraju. Bez wątpienia Polska ma szansę na znaczący zwrot, a biorąc pod uwagę ambitne, transportowe plany związane z Trójmorzem, jak również wciąż obecne zagrożenia związane ze zmianami klimatycznymi, przejście na bardziej zielone technologie w transporcie wydaje się nie tylko właściwe, lecz również bardzo opłacalne. Polska chce być w awangardzie zmian i jak dotąd udaje nam się skutecznie wdrażać nowatorskie rozwiązania. To właśnie paliwa alternatywne mogą się stać prawdziwym napędem dla przyszłości.

Arkady Saulski

Tankowanie czy ładowanie? Coraz lepsze perspektywy kierowców e-samochodów

Aż 43 tys. ogólnodostępnych i blisko trzy razy tyle, bo aż 115 tys., w rękach prywatnych. Tyle, zdaniem analityków z Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych (PSPA), będzie w Polsce punktów do ładowania aut elektrycznych. I to wszystko już do 2025 r.! Dane zebrane z wielu źródeł pokazują jedno – kierowcy e-samochodów mogą być spokojni o swoją przyszłość na drodze. W jasnych barwach malują się także pomysły związane z wykorzystaniem wodoru jako paliwa. Ogrom i skala projektów podejmowanych przez liderów transformacji energetycznej pokazuje wprost, jak ważny to temat



Zacznijmy od elektryków. Wbrew wielu mitom ładowanie samochodu elektrycznego w Polsce nie stanowi większego problemu. Jak zapewniają eksperci z Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych, w polskich miastach wzdłuż autostrad i dróg szybkiego ruchu powstaje coraz więcej stacji ładowania. Pojazdy zeroemisyjne są przystosowywane do uzupełniania energii z coraz większą mocą, a operatorzy usług ładowania oferują abonamenty pozwalające optymalnie dostosować opłaty do potrzeb każdego kierowcy. A przecież samochód elektryczny możemy także w wygodny sposób ładować ze zwykłego domowego gniazdka.

Dziś ponad połowa (54 proc.) wszystkich ogólnodostępnych stacji ładowania w Polsce funkcjonuje w miastach liczących powyżej 100 tys. mieszkańców. Ranking

miast z największą liczbą ładowarek otwiera Warszawa. Następne miejsca zajmują Katowice, Kraków, Poznań i Gdańsk. W podziale na województwa najwięcej ogólnodostępnych stacji zlokalizowanych jest na terenie mazowieckiego, śląskiego, dolnośląskiego, małopolskiego i pomorskiego.

32 proc. ogólnodostępnych stacji ładowania w Polsce znajduje się na publicznych parkingach, 23 proc. w obrębie galerii handlowych, 17,5 proc. na terenach hoteli, a 12 proc. na stacjach paliw. Zdecydowana większość (92 proc.) stacji ładowania w Polsce otwarta jest 24 godziny na dobę (dane PSPA).

Według raportów PSPA pod koniec sierpnia kierowcy samochodów elektrycznych w Polsce mieli do dyspozycji 1621 ogólnodostępnych stacji ładowania (3 178 punktów). 31 proc. z nich stanowiły szybkie stacje ładowania prą-

dem stałym (DC). Polska nadal posiada jeden z największych udziałów stacji DC w Europie. Pozostałe 69 proc. to wolne ładowarki prądu przemiennego. O 86 proc. wzrósł odsetek ładowarek dostępnych odpłatnie.

DOBRE WIEŚCI DLA KIEROWCÓW ELEKTRYKÓW

Analitycy pokazują również, że wzrost liczby stacji dotyczy wszystkich największych operatorów energetycznych. W połączeniu z europejskimi regulacjami, trendami legislacyjnymi i tym, że w 29 miastach w Polsce (m.in. Płock, Olsztyn, Gorzów Wielkopolski, Bydgoszcz, Gdynia, Poznań, Koszalin i Lublin) prezes URE wyznaczył już operatorów ogólnodostępnych stacji ładowania, przyszłość kierowców e-samochodów rysuje się w jasnych barwach.

Przedstawiciele URE podkreślają też, że stacje te będą sukcesywnie budowane i oddawane do publicznego użytku. Dotychczas były one oparte wyłącznie na zasadach komercyjnych. Aby zwiększyć liczbę i dostępność punktów ładowania w dużych miastach, ustawodawca nałożył na gminy obowiązki mające sprzyjać rozwojowi i zwiększeniu dostępności tych usług. Dzięki wsparciu rozwoju rynku i infrastruktury ładowania pojazdów elektrycznych ma wzrosnąć zainteresowanie konsumentów pojazdami napędzanymi energią elektryczną.

Co więcej, zgodnie z przepisami ustawy o elektromobilności, jeśli w danej gminie nie została osiągnięta minimalna – wskazana w ustawie – liczba punktów zainstalowanych w ogólnodostępnych stacjach ładowania, to gmina miała obowiązek opracować plan budowy dodatkowych stacji. Obecnie wiele takich właśnie stacji jest w trakcie planowania lub budowy.

INTEGRACJA Z INFRASTRUKTURĄ MIEJSKĄ

Jednym z ciekawszych pomysłów są stacje ładowania montowane przez Enerę Oświetlenie na słupach oświetleniowych. Są wyjątkowe przede wszystkim dlatego, że powstają na już istniejącej infrastrukturze. Wcześniejsze próby wprowadzenia tego typu urządzeń na polski rynek wiązały się z budową słupów, przyłączy i układów sterowania od zera. Tymczasem dzięki wykorzystaniu zasobów, które już są w posiadaniu spółki bądź klienta, Energa Oświetlenie zaproponowała rozwiązanie szybsze w realizacji ze względu m.in. na mniejszą liczbę pozwoleń i decyzji administracyjnych niezbędnych do przeprowadzenia inwestycji.

Urządzenia te są też bardzo elastyczne – przy niewielkiej i łatwej modyfikacji mogą ładować nie tylko auta, ale też inne pojazdy elektryczne, np. popularne obecnie hulajnogi. Same stacje ładowania operują mocą 3–22 kW, w zależności od pracy samej lampy i jej bieżącego zapotrzebowania na energię. Urządzenia przeznaczone są do uzupełniania stanu baterii pojazdów podczas postoju bądź pełnego ładowania w ciągu nocy.

Aktualnie stacje Energi są integrowane z systemem Orlen Charge. Obecnie w ramach tej sieci udostępniono przeszło 200 stacji. Kolejne przekazywane będą do użytku w miarę postępów w odbiorach technicznych obiektów zbudowanych w ośmiu miastach (Gdańsk, Gdynia, Toruń, Koszalin, Elbląg, Olsztyn, Płock i Włocławek) przez operatorów systemu dystrybucyjnego. Prezes Urzędu Regulacji Energetyki wyznaczył Enerę Obrót jako ich operatora.

PROJEKTY WODOROWE

Przyszłość e-transportu to nie tylko samochody elektryczne, ale także te napędzane wodorem. Tu jednym z ciekawszych i wartych omówienia pomysłów jest projekt Hydrogen Eagle, czyli program inwestycyjny Grupy Orlen zakładający budowę międzynarodowej sieci hubów wodorowych zasilanych odnawialnymi źródłami energii oraz innowacyjnych instalacji przetwarzających odpady komunalne w zero- i niskoemisyjny wodór.

W ramach projektu planowana jest również budowa ponad 100 stacji tankowania dla transportu indywidualnego, publicznego i cargo. Realizacja programu, obejmującego Polskę, Czechy i Słowację, pozwoli Grupie Orlen osiągnąć do 2030 r. moce wytwórcze wodoru na poziomie ok. 50 tys. ton rocznie. Program zakłada budowę sześciu nowych hubów wodorowych, w tym trzech w Polsce, dwóch w Czechach oraz jednego na Słowacji, zasilanych przez odnawialne źródła energii, w tym realizację instalacji elektrolizy, do której energia elektryczna zostanie dostarczona z wykorzystaniem mocy morskiej farmy wiatrowej Baltic Power.

Docelowo łączna moc instalacji elektrolizy zasilanych OZE wyniesie ok. 250 MW. Program obejmie także trzy innowacyjne instalacje przetwarzania odpadów komunalnych w niskoemisyjny wodór, zlokalizowane w Płocku, Ostrołęce oraz w Czechach, jak również międzynarodową sieć ponad 100 stacji tankowania wodoru. Dla liderów polskiej transformacji energetycznej, polskich czempionów, te odważne inwestycje to odpowiedź na wyzwania biznesowe i środowiskowe.

Dobrym przykładem wagi tematu jest Lotos budujący w Jaśle pilotażową instalację, która będzie produkować wodór o czystości 99,999 proc. Koncern ma bardziej ambitne plany i przygotowuje się do budowy stanowisk do tankowania statków na własnym nabrzeżu w budowanym właśnie porcie na Martwej Wiśle.

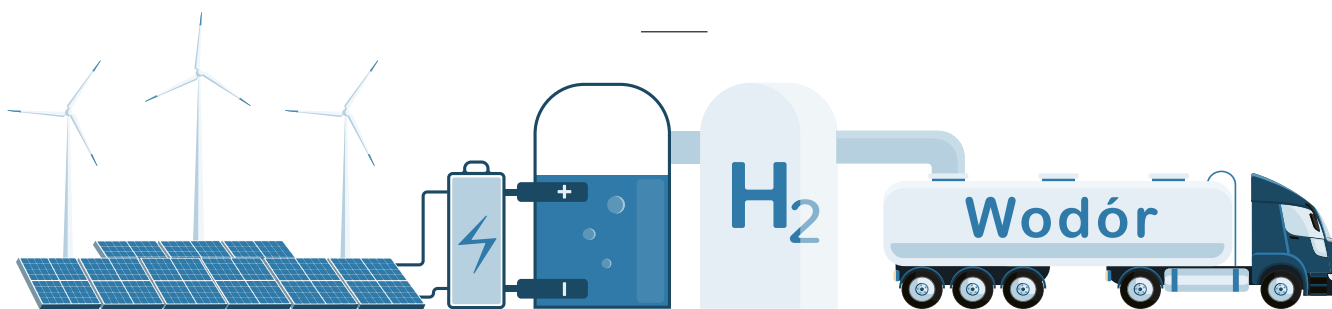
W planach lub we wstępnych fazach realizacji jest jeszcze kilka innych inwestycji dotyczących wodoru. Przed trzema laty Grupa Lotos rozpoczęła projekt PureH2, w ramach którego powstają już nie tylko instalacje do oczyszczania wodoru, ale także infrastruktura do jego dystrybucji i tankowania. Na stacjach paliw w Gdańsku i Warszawie powstaną HRS-y, czyli urządzenia do tankowania wodoru.

Artur Ceyrowski

Wodór, energia elektryczna, LNG

Transport zajmuje ważne miejsce w zielonej transformacji. Od rozwoju tej branży i przejścia na paliwa niskoemisyjne zależy w dużej mierze powodzenie przeprowadzenia koniecznych zmian. Dotyczy to wszystkich rodzajów transportu: drogowego, kolejowego i morskiego.

Firmy dostarczające paliwa już przygotowują się do niezbędnych przekształceń



Santander Bank Polska przewiduje wzrost wolumenów produkcji samochodów osobowych w Europie o 8 proc. w 2021 r. i o 12 proc. w 2022 r. Producenci coraz szybciej przedstawiają się na produkcję aut elektrycznych. W związku z tym pojawia się pilna potrzeba instalacji powszechnie dostępnych ładowarek.

PKN Orlen systematycznie rozbudowuje sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych na swoich stacjach. Obecnie PKN Orlen w sieci własnej przekroczył liczbę 100 szybkich stacji ładowania. W najbliższej perspektywie przełomu roku liczba stacji w ramach całej GK Orlen sięgnie liczby ok. 450 lokalizacji. W perspektywie kilku lat na rynku niemieckim Orlen chce mieć stacje ładowania samochodów elektrycznych na jednej czwartej z 586 stacji.

– Niemcy rozwijają się nieco szybciej od Polski pod kątem elektromobilności, ale sądzę, że w okresie do czterech lat dojdziemy do porównywalnego poziomu również na rynku polskim. Pamiętajmy, że ładowarki instalujemy nie tylko na stacjach Orlen, robi to również Energa, z Grupy Orlen, która była pionierem pod tym względem, wspólnie rozwijając

sieć ładowania Orlen Charge – mówi prezes PKN Orlen Daniel Obajtek.

CORAZ WIĘCEJ AUT ELEKTRYCZNYCH

Po uporaniu się z brakami komponentów, które obecnie dotyczą producentów samochodów, w długiej perspektywie największym wyzwaniem na branży będzie wchodzący w życie Zielony Ład. Komisja Europejska zaproponowała przepisy, które będą oznaczały zakaz sprzedaży pojazdów z silnikami spalinowymi od 2035 r.

– To będzie rewolucja, na którą gotowi muszą być nie tylko producenci aut, lecz także dostawcy komponentów czy warsztaty samochodowe. Do tego rozważane jest także przykładowo wprowadzenie regulacji dotyczących odpowiedzialności za emisję w całym cyklu życia baterii, co kładzie także wyzwania na segment elektromobilności – mówi dyrektor ds. sektora motoryzacyjnego w Santander Bank Polska Martyna Dziubak.

Już teraz sprzedaż aut elektrycznych oraz hybrydowych w Europie znacząco przyspieszyła. Większość producentów samochodów szybko zmienia swoje strategie w kierunku napędów elektrycznych. Obecnie już

wszyscy najwięksi gracze deklarują potężne wydatki na rozwój technologii, możliwość stosowania napędów alternatywnych we wszystkich nowych platformach, zaoferowanie napędów elektrycznych we wszystkich modelach w ciągu najbliższych lat, a wielu szacuje, że udział elektryków do 2030 r. może stanowić połowę sprzedaży.

CIEŻARÓWKI NA LNG

– Transport ciężki w Polsce coraz odważniej stawia na gaz ziemny. Rośnie flota pojazdów napędzanych gazem, szybko przybywa stacji tankowania LNG – mówi Marcin Szczudło, wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny, odpowiedzialny za obszar CNG/LNG.

Dla firm transportowych poszukiwanie nowych, zdecydowanie tańszych paliw dla swojego taboru jest sprawą kluczową pod względem rozwoju biznesu i obniżania kosztów. Zastosowanie gazu LNG pozwala im na obniżenie kosztów paliwa o 30 proc. Niższa jest także emisja CO₂ o 10 proc., obniża się także hałas spowodowany ruchem pojazdów zasilanych LNG o 10 proc. Te zalety skłoniły firmę Bisek – Asfalt do podpisania z PGNiG Obrót Detaliczny wieloletniego kontraktu na dostawę 30 tys. ton gazu skroplonego.

- Europa jest jednym z liderów walki ze szkodliwymi emisjami pochodzącymi z transportu drogowego, a unijne regulacje w tym zakresie są coraz bardziej restrykcyjne. Firmy transportowe poszukują paliw alternatywnych, gwarantujących pozytywny efekt ekologiczny - powiedział podczas podpisywania umowy Arkadiusz Sekściński, wiceprezes PGNiG ds. rozwoju.

LOKOMOTYWY NA WODÓR

Rozwój technologii wodorowych w transporcie szynowym, ze względu na skalę zapotrzebowania pojazdów szynowych na wodór, może być głównym czynnikiem przyspieszającym popularyzację i wprowadzenie wodoru jako paliwa w całym transporcie. To istotne dla całej gospodarki w związku z wdrażanym przez Komisję Europejską programem Europejski Zielony Ład, którego celem jest zmniejszenie emisji CO₂ w transporcie o 30 proc. do roku 2030, a docelowo osiągnięcie neutralności klimatycznej do roku 2050.

- Sądę, że wodór będzie miał gigantyczną, być może największą rolę w transformacji technologii na całym świecie - powiedział premier Mateusz Morawiecki na Forum Ekonomicznym w Karpaczu, z okazji powołania Dolnośląskiej Doliny Wodowej.

Grupa Azoty, PKP Cargo i Pesa będą realizować projekty badawczo-rozwojowe m.in. w zakresie wykorzystania wodorowych ogniw paliwowych w napędach pojazdów szynowych w ramach rozwoju zero-emisyjnego transportu towarowego. Spółki podpisały list intencyjny w tej sprawie.

Oprócz sposobów wykorzystania ogniw paliwowych w napędach pojazdów szynowych spółki chcą opracować metody transportu wodoru i tankowania pojazdów kolejowych.

- Obecnie w Polsce nie ma wielu laboratoriów, w których kompleksowo przeprowadzana jest analiza wszystkich parametrów wymaganych dla branży automotive, stąd też

decyzja o uruchomieniu takiego laboratorium w Grupie Azoty w Kędzierzynie-Koźlu. Podpisane porozumienie z PKP Cargo i Pesą będzie ważnym krokiem w rozwoju zero-emisyjnego transportu wodorowego w Europie - mówi Tomasz Hinc, prezes zarządu Grupy Azoty SA.

Wodór powstający w instalacjach Grupy Azoty, niewykorzystywany w dalszym procesie produkcji amoniaku, kierowany jest do oczyszczania do poziomu do 99,99 proc.

Pesa podczas Międzynarodowych Targów Kolejowych Trako zaprezentowała pierwszą polską lokomotywę wodorową. Jak zaznaczył prezes zarządu Pesa Bydgoszcz SA Krzysztof Zdziarski, firma chce konsekwentnie realizować projekty, które mają doprowadzić do wprowadzenia do eksploatacji pasażerskich pojazdów z paliwowymi ogniwami wodorowymi.

Lokomotywa wodorowa, którą zamierza nabyć PKN Orlen, to prototyp, którego produkcja właśnie się zakończyła. Pojazd powstał na bazie lokomotywy manewrowej SM42. PKN Orlen pracuje ponadto nad układem tankowania wodoru do tej lokomotywy.

KOMUNIKACJA MIEJSKA

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) udzieli Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii (GZM) dotacji w wysokości 81 mln zł na zakup 20 autobusów wodorowych. To pierwszy, pilotażowy etap upowszechniania w województwie śląskim wodoru jako paliwa dla komunikacji miejskiej i zarazem element wdrażania strategii bezemisyjnego transportu publicznego na terenie GZM. Nowy tabor na początek ma obsługiwać szybkie połączenia między głównymi miastami w regionie.

- Program „Zielony transport publiczny” wspiera rozwój bezemisyjnego transportu publicznego w Polsce, a jego zasadniczym celem jest obniżenie wykorzystania energii i paliw emisyjnych oraz upowszechnienie zielonej mobilności - podkre-

śla minister klimatu i środowiska Michał Kurtyka.

Tabor zakupiony dzięki dotacji z NFOŚiGW w ramach upowszechniania w województwie śląskim transportu o napędzie wodorowym będzie obsługiwał w pierwszej kolejności połączenie metropolitalne między najważniejszymi ośrodkami i „generatorami” ruchu komunikacyjnego na terenie konurbacji. Intencją jest realizacja szybkiej i jednocześnie czystej ekologicznie komunikacji ponadlokalnej.

TRANSPORT MORSKI

Skroplony gaz ziemny (LNG) z powodu nowych norm emisyjnych ma ogromną przyszłość w transporcie morskim - w coraz większej liczbie jednostek staje się alternatywnym paliwem żegludowym. Od niedawna bunkrowanie (tankowanie) statków LNG możliwe jest w jednym z portów podległych Urzędowi Morskiemu w Szczecinie.

- Razem z Grupą Lotos zrealizowaliśmy już wspólnie kilkadziesiąt operacji bunkrowania, czyli mówiąc potocznie, tankowania, statków skroplonym gazem ziemnym. Jesteśmy przekonani, że paliwo LNG stanowi przyszłość transportu morskiego na Bałtyku - mówi Paweł Majewski, prezes zarządu PGNiG SA.

Usługa bunkrowania LNG świadczona przez spółkę należącą do GK PGNiG, PGNiG Obrót Detaliczny, jest dostępna w pięciu portach na terenie Polski (Szczecin, Świnoujście, Police, Gdynia, Gdańsk). Spółka zrealizowała dotychczas bunkrowania dla 12 różnych statków, co plasuje ją na pozycji jednego z najbardziej doświadczonych podmiotów w tej części Europy.

Obecnie, wg DNV GL, na świecie pływają 182 statki napędzane LNG. Ale jeśli dodamy do tego jednostki zamówione i w budowie, liczba ta wyniesie wkrótce ponad 400. Poszukiwanie nowych, niskoemisyjnych rozwiązań dotyczy wszystkich gałęzi transportu. W ciągu najbliższych 20-30 lat ta branża zdecydowanie zmieni swoje oblicze.

Robert Olesiński

Fotowoltaika dla domu

– dlaczego warto w nią zainwestować?

Popularność systemów fotowoltaicznych rośnie z roku na rok. Trudno się temu dziwić, inwestowanie w odnawialne źródła energii przynosi sporo korzyści. Nowoczesna instalacja fotowoltaiczna w domu to rachunki za prąd mniejsze nawet o 90 proc. w skali roku, większa przewidywalność kosztów i rozwiązanie przyjazne środowisku. Zalet jest jednak więcej!

FOTOWOLTAIKA – JAK TO DZIAŁA

Instalacje fotowoltaiczne składają się z paneli, które montuje się na dachu domu lub na gruncie po najbardziej nasłonecznionej stronie działki. To jedna z najprostszych technologii pozyskiwania energii elektrycznej, polegająca na zmianie energii słonecznej przez panele na prąd stały, a następnie za pomocą inwertera (falownika) na prąd zmienny, zasilający sprzęty w domu. W zależności od posiadanej instalacji wyprodukowany prąd można także magazynować u swojego operatora systemu dystrybucyjnego. Daje to możliwość wykorzystywania wytworzonych latem nadwyżek do zasilania domu zimą.

FOTOWOLTAIKA DLA DOMU – DLACZEGO WARTO JĄ MIEĆ

Gdy klienci zastanawiają się nad montażem paneli fotowoltaicznych, często pytają o opłacalność tego rozwiązania. Przy odpowiednim doborze mocy i parametrów instalacja fotowoltaiczna jest inwestycją, która procentuje i pozwala na duże oszczędności w przyszłości. Aby mieć pewność, że zamontowany w domu system będzie opłacalny, warto zlecić to zadanie profesjonalistom.

Instalując fotowoltaikę, trzeba pamiętać o wielu istotnych czynnikach, takich jak: wielkość i kąt nachylenia dachu, wielkość wolnego gruntu, nasłonecznienie wybranego obszaru czy obliczenie podstawowego zużycia energii elektrycznej. Firmy doświadczone w tego rodzaju instalacjach pomogą dobrać najlepsze rozwiązanie dla danego gospodarstwa domowego.

Niewątpliwą zaletą jest także możliwość stania się prosumentem, czyli konsumentem i producentem prądu w jednym. Opłacalność tego rozwiązania polega na możliwości magazynowania i nieodpłatnego odbioru do 80 proc. wyprodukowanej nadwyżki prądu, co bezpośrednio wpływa na obniżenie rachunków.

Instalacja fotowoltaiczna zwiększa także atrakcyjność nieruchomości. Moduły fotowoltaiczne charaktery-

zują się też dużą żywotnością i wygodnym, bezobsługowym systemem. Ponadto koszt całej instalacji zwraca się już w ciągu 5-7 lat.

Poza aspektami finansowymi warto wspomnieć także o korzyściach ekologicznych inwestycji. Instalując panele fotowoltaiczne, pozytywnie wpływamy na środowisko i przyszłość naszej planety. Instalacje fotowoltaiczne są zeroemisyjne, nie zanieczyszczają więc atmosfery szkodliwymi substancjami.

DLACZEGO WARTO WYBRAĆ FOTOWOLTAIKĘ DLA DOMU OD ENERGI?

Oferta Energi z Grupy Orlen skierowana jest do klientów indywidualnych mieszkających w domach jednorodzinnych. Osobom zainteresowanym instalacją fotowoltaiczną zapewniamy kompleksową usługę na każdym etapie realizacji, włącznie z ofertą korzystnego kredytowania. Pomagamy także w uruchomieniu instalacji i zajmujemy się wszystkimi formalnościami.

Cały proces rozpoczynamy od bezpłatnej konsultacji i wizji lokalnej, która pozwala na przygotowanie indywidualnej oferty. Na tym etapie nasi eksperci szacują wielkość i rodzaj instalacji oraz kalkulują koszty i przyszłe oszczędności. Po akceptacji oferty przez klienta podpisywana jest umowa. Realizując usługę montażu, dbamy o najlepszą jakość komponenty, pochodzące od sprawdzonych i zaufanych producentów.

Po uruchomieniu instalacji fotowoltaicznej i przyłączeniu do sieci operatora systemu dystrybucji zaczyna ona produkować prąd, a nasz klient staje się prosumentem i może wirtualnie magazynować nadwyżki energii przez 365 dni. Naszym klientom zapewniamy także pełne bezpieczeństwo i gwarancje na panele fotowoltaiczne nawet do 25 lat oraz bezpłatny rok ubezpieczenia instalacji w wybranym wariantcie gratis.

Jeśli chcesz umówić się na indywidualną wycenę swojej instalacji, zadzwoń na infolinię 555 555 505 lub wypełnij formularz na stronie energa.pl/fotowoltaika.



Razem po sukces

Do 30 listopada 2021 r. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przyjmuje wnioski o wsparcie na „Tworzenie grup producentów i organizacji producentów”. To już dziesiąty nabór tego typu w ramach PROW na lata 2014–2020

Wspólne działanie pozwala realizować to, co w pojedynkę byłoby trudne czy wręcz niemożliwe. Ta reguła dotyczy również rolnictwa. Przykładem są grupy producentów rolnych.

Rolnicy, którzy zdecydowali się założyć grupę producentów, wielokrotnie zwiększają siłę ekonomiczną swoich gospodarstw, przez co uzyskują większy dostęp do rynku. Ułatwia to sprzedaż produktów, otrzymanie za nie godziwych cen, wynegocjowanie korzystniejszych warunków kontraktów. Działanie zespołowe pozwala także obniżyć koszty produkcji przez wspólne użytkowanie maszyn i urządzeń, wspólne inwestowanie w potrzebną infrastrukturę, hurtowe, czyli tańsze, zakupy środków do produkcji. Grupy mają też szansę sprostać wymaganiom odbiorców poprzez standaryzowanie produkcji w swoich gospodarstwach czy oferowanie wysokiej jakości produktów.

WARiMR trwa właśnie dziesiąty nabór wniosków, w którym nowo powstałe grupy i organizacje producentów mogą się ubiegać o środki finansowe na swoją działalność.

KTO MOŻE ZŁOŻYĆ WNIOSEK

Program skierowany jest do nowych grup producentów rolnych (uznanych od 1 grudnia 2020 r. na podstawie ustawy

z 15 września 2000 r. o grupach producentów rolnych i ich związkach). Grupy te muszą się składać z osób fizycznych, prowadzących działalność jako mikro-, małe lub średnie przedsiębiorstwo.

O dofinansowanie mogą się starać również organizacje producentów (uznane na podstawie przepisów ustawy z 11 marca 2004 r. o organizacji niektórych rynków rolnych albo ustawy z 20 kwietnia 2004 r. o organizacji rynku mleka i przetworów mlecznych).

Wsparcia nie mogą otrzymać producenci drobiu, wyrobów z mięsa drobiowego i jego podrobów oraz owoców i warzyw.

WARUNKI UZYSKANIA WSPARCIA

W pierwszej kolejności podmiot zrzeszający rolników musi uzyskać osobowość prawną wraz z rejestracją w Krajowym Rejestrze Sądowym – Rejestrze Przedsiębiorców. Kolejnym krokiem jest złożenie wniosku o uznanie za grupę producentów rolnych lub organizację producentów wraz z planem biznesowym do dyrektora oddziału regionalnego ARiMR. Od daty uznania na potencjalnym beneficjencie ciąży obowiązek realizacji zatwierdzonego planu biznesowego. Dopiero wówczas grupa lub organizacja producentów

może złożyć wniosek o przyznanie pomocy finansowej.

WYSOKOŚCI UDZIELANEJ POMOCY

Pomoc jest realizowana w formie rocznych płatności przez okres pierwszych pięciu lat następujących po dacie uznania grupy producentów rolnych lub organizacji producentów. Wysokość wsparcia wynosi: w pierwszym roku – 10 proc. przychodów netto, w drugim roku – 9 proc., w trzecim roku – 8 proc., w czwartym roku – 7 proc., w piątym roku – 6 proc. Maksymalny limit przyznawanych środków finansowych to 100 tys. euro w każdym roku pięcioletniego okresu.

MIEJSCE SKŁADANIA WNIOSKU

Wnioski o przyznanie pomocy należy składać w oddziałach regionalnych ARiMR. Można to zrobić osobiście, za pośrednictwem osoby upoważnionej, drogą elektroniczną, korzystając ze skrzynki podawczej ePUAP, lub rejestrowaną przesyłką nadaną w placówce Poczty Polskiej.



Agencja Restrukturyzacji
i Modernizacji Rolnictwa



Książka kulinarna, reportażowa, artystyczna... Wysmakowany album, w którym współczesne zdjęcia współgrają z dawnymi obrazami... Przewodnik pełen informacji i zarazem subiektywny dziennik z podróży, w którym płynnie łączą się refleksje nad obyczajem, sztuką, ale też codziennością... I jeszcze smakowita prezentacja kulinarnej tradycji oraz współczesności odwiedzanych miejsc. Tym wszystkim jest książka Bartka Kieźuna „Hiszpania do zjedzenia” (Wyd. Buchmann).

Dla zaostrzenia apetytu przytaczamy parę fragmentów: „Plaski chleb to integralna część kulinarnego kodu genetycznego ludzkości – przypomniało mi się pozornie tylko bez związku, kiedy w drodze do muzeum zobaczyłem w barcelońskiej piekarni hiszpański placek zwany cocą.

[...] Trudno sobie wyobrazić posiłek w Stambule, Jerozolimie, Bejrucie lub jakimkolwiek innym mieście na Bliskim Wschodzie bez płaskich chlebów na stole. Nie można również zapomnieć o słowiańskim podplomyku czy podkarpackim proziaku. Przecież to nie innego jak płaski chleb, tyle że z naszego podwórka. A pizza czy focaccia to niby coś innego? Ależ nie, to dokładnie ten sam sposób myślenia o kuchni i goto-

BARTEK KIEŻUN*

Placek zwany cocą

waniu. Jak to się stało, że płaskie chleby pojawiają się wszędzie, niezależnie od szerokości geograficznej? Odpowiedź jest prostsza, niż mogłoby się wydawać.

[...] poprosiłem sprzedawcę o cocę ze szpinakiem po katalońsku – byłem w końcu w stolicy Katalonii, zatem nie wypadało zamawiać czegoś innego. I tak, ze sporym kawalkiem w dłoni, skierowałem się do Museu Nacional d'Art de Catalunya. Moim głównym celem była tamtejsza kolekcja sztuki romańskiej, choć naturalnie nie zamierzałem odpuścić włoskim mistrzom renesansu i baroku. Romańska część wystawy interesowała mnie jednak najbardziej, bo składają się na nią freski z kościołów rozsypanych w La Vall de Boi.

[...] Najbardziej zachwycił mnie Chrystus Pantokrator Mistrza z Tahull, uważanego za największego twórcę średniowiecznej Hiszpanii i jednego z najwybitniejszych malarzy romańskich. Fanem kolorystycznej siły tego przedstawienia był Pablo Picasso. Gapiłem się na dzieło przez dwie godziny, a kiedy ruszyłem do sekcji gotyckiej, przypuszczałem, że nic już nie zrobi na mnie tak wielkiego wrażenia.

Które z dzieł rozłożyło następnie autora na łopatki, a które ostatecznie pokonało konkurencję? Odpowiedź w książce.

Jolanta Gajda-Zadzworna

*Dziennikarz, bloger kulinarny, podróżnik, fotograf

COCA de ESPINACAS (coca ze szpinakiem po katalońsku z rodzynkami i orzeszkami piniowymi)

Składniki na cztery placki: Ciasto: 500 g mąki tortowej, 7 g suszonych drożdży, łyżka soli, łyżka cukru, 250 ml letniej wody, 50 ml oliwy z pierwszego tłoczenia. Farsz, czyli szpinak po katalońsku: 900 g świeżego szpinaku, czyli 2 spore pęczki, 12 ząbków czosnku, 200 g rodzynek, 50 g orzeszków piniowych, papryczka chili, oliwa z pierwszego tłoczenia, sól, pieprz.

Wykonanie: Suche składniki ciasta wsypujemy do miski, mieszamy, a po środku robimy zagłębienie. Wodę łączymy z oliwą. Wlewamy w zagłębienie i delikatnie mieszamy składniki palcem lub łyżką do ich połączenia. Następnie zaczynamy zagniatć ciasto – powinno to zająć minimum 5 min. Po tym czasie obsypujemy je mąką i wkładamy do miski, by wyrosło. Miskę przykrywamy folią lub wilgotną bawełnianą ściereczką. Po mniej więcej godzinie ciasto podwoi objętość. Składniki farszu dzielimy na dwie części. Oczyszczamy szpinak i obrywamy łodyżki. Obieramy czosnek i kroimy go w plasterki. Chili również kroimy, pozbywając się pestek (farsz powinien być nieco pikantny – to, ile dodamy papryki, zależy od jej ostrości). Na rozgrzaną oliwę wrzucamy połowę czosnku, część orzeszków, chili i rodzynek. Solimy. Dodajemy połowę liści szpinaku. Zmniejszamy ogień i dusimy pod przykryciem, mieszając co jakiś czas, przez ok. 5 min. Liście powinny się zblaszować. Odstawiamy do przestudzenia. Tak samo robimy z drugą połową farszu. Kiedy ciasto wyrośnie, dzielimy je na cztery części. Każdą wałkujemy na niezbyt gruby placek o podłużnym kształcie. Na placki nakładamy farsz i układamy je po dwa na blasze. Skrapiamy oliwą, doprawiamy solą i pieprzem. Pieczemy ok. 15 min na złoto. Zjadamy na zimno lub na ciepło. PS Szpinak świetnie sprawdzi się jako dodatek do mięs i samodzielna przekąska. Słono-słodki, z chrupiącymi orzeszkami – zawsze będzie mi się kojarzył z Barceloną!





SŁODKO-SŁONY

Ciasto z jabłkami

ANNA MONICKA

Przez całe lata miałam taki nawyk, że dzień zaczynałam od przeglądu prasy. Dawniej, zanim internet się rozlułał, przeglądałam przed porannym planowaniem dzienniki, wyszukiwałam informacji własnych, a nie tych, które wszyscy podają za Polską Agencją Prasową, oglądałam zdjęcia ulubionych fotoreporterów, które czasem warte były więcej niż milion słów. Czarno-białe plachty gazet miały niesamowity urok, chociaż brudziły palce... Ale ja się prawie wychowałam w drukarni, a zaprzyjaźnieni towarzysze sztuki drukarskiej nauczyli mnie pisać na linotypach, układać słowa i wersy w metalu... Ba, nawet robić korektę, co było nie lada wyczynem, bo czytało się ułożone na ramach szpalty do góry nogami i w odwrotną stronę. Teraz czytam wszystko w komputerze – i ilość, i jakość informacji mnie przytłacza i osacza. Coraz częściej robię więc skoki w bok od bieżączki... Ulubione kierunki żeglowania w necie to podróże i kulinaria. Nowe ziemie i nowe smaki. Nie dość, że to mnie uspokaja, to jeszcze rodzina korzysta, bo ciągle eksperymentuję w kuchni.

Ostatnio na blogu niebonatalerzu.pl Beaty Królikiewicz-Opalanki znalazłam coś, co sprawiło, że ruszyłam do mojego zieleniaka po twarde i kwaśne renety. Niewidzialne ciasto z jabłkami – bo tak nazywa się przepis – już w pierwszym podejściu wyszło doskonałe. Jest tak smaczne, że podam je dalej, zwłaszcza że pracy przy nim jest tyle, co nic, a mąkę pszenną można zastąpić na przykład jaglaną. Dwa kilogramy jabłek obieramy i szatkujemy na plasterki, skrapiamy je sokiem z cytryny. Samo ciasto przypomina raczej to na naleśniki – miksujemy 4 jajka z połową szklanki cukru, i łyżką cukru waniliowego, szklankę mleka z ¼ kostki miękkiego lub rozpuszczonego i wystudzonego masła, niepełną szklankę mąki z czubatą łyżeczką proszku do pieczenia, a potem wszystko razem mieszamy, dodajemy garść rodzynek i płatków migdałowych i takim płynnym ciastem zalewamy jabłka i mieszamy – delikatnie, żeby ich nie pokruszyć, ale dobrze obtoczyć. Przekładamy do wyłożonej pergaminem formy, posypujemy płatkami migdałowymi i pieczemy w rozgrzanym do 180 st. C piekarniku co najmniej 40 minut. Ja pieklam ciut dłużej, bo miałam wrażenie, że środek jest zbyt płynny. Można je podawać na ciepło i na zimno, z lodami i słodką śmietanką. I warto śledzić ten blog, pełen smakowitych pomysłów. ▀



WILCZYM OKIEM

Wszechświat drzewa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mało co ze świata przyrody przynosi tyle pożytków, ile drzewa. Dostarczają jadalnych owoców i nasion, drewna jako budulca, opału, surowca do produkcji papieru, kory do garbowania. Wydzielają tlen i pochłaniają dwutlenek węgla, zaopatrują nas w najróżniejsze żywice, olejkami eterycznymi dezynfekują powietrze, łagodzą skrajności klimatu. Są bateriami słonecznymi, przechwytyującymi energię Słońca i początkującymi łańcuchy pokarmowe – również te, w których mamy miejsce my, ludzie. To oczywiście tylko część zadań realizowanych przez drzewa, bez których życie na Ziemi w obecnej formie byłoby niemożliwe.

Od wieków drzewa funkcjonowały też w innej rzeczywistości – mitycznej. W mitologiach słowiańskiej i nordyckiej wielkie drzewo stanowiło *axis mundi*, łącząc krainy bogów, ludzi i światy podziemne, zamieszkane przez najróżniejsze istoty i rządzące się odrębnymi, właściwymi sobie prawami.

W rzeczywistości – tej przyrodniczej – drzewo, zwłaszcza wielkie drzewo, pełni dokładnie taką samą funkcję jak w mitach, a analogia z wizją mityczną jest więcej niż uderzająca. Drzewo, dajmy na to olbrzymi, 30-metrowy wiąz, jest wertykalną osią, łączącą odległe od siebie światy, których mieszkańcy czasem nie zdają sobie nawet sprawy z obecności innego „wymiaru”, choć są poprzez drzewo połączeni i są od siebie zależni. Również drzewo jest zależne od nich.

Dlaczego warto się zastanowić nad pozornie oczywistą analogią mitu i przyrody? Żeby ją sobie uświadomić i odczuć. Należy bowiem do kategorii rzeczy oczywistych – drzewa zawsze – w kulturze, przepisach prawa i obyczajach – postrzegane były i są jako coś wartego ochrony i uwagi. A to, co oczywiste, łatwo umyka.

Swoistego olśnienia doznałem, stojąc pod wielkim wiazem szypułkowym właśnie. Wierzchołek korony wznosił się wyraźnie ponad inne otaczające drzewa. Był wieczór. Gdzieś wysoko w górze pohukiwał puszczyk. Wiosną z tego samego drzewa słyszałem bębnienie dzieciola dużego. Ani puszczyk, ani dzieciol nie zwracały uwagi na ludzi w dole. Byliśmy dla nich niedostrzegalni, tak samo jak dla nas setki dżdżownic przetwarzających glebę między korzeniami. Pomiedzy nami kolejne piętra i kolejne światy – odrębne, lecz połączone drzewem. Nie mogłyby bez niego istnieć, podobnie jak ono bez nich. ▀

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zderzenie



www.wojciechreszczyński.pl

Konferencja Donalda Tuska w Sejmie, dzień po wystąpieniu premiera Mateusza Morawieckiego w Parlamencie Europejskim w Strasburgu, nie wniosła niczego nowego do tradycyjnej narracji totalnej opozycji. Niemieckie media w Polsce (Onet) wyróżniły słowa Tuska: „Istnieje ewidentny konflikt pomiędzy interesem PiS-u a Polską, Polakami, interesem Polaków i między rządem PiS-u a Europą i traktatami europejskimi”. Tusk jest konsekwentny. Nie istnieje dla niego polski rząd, tylko „rząd PiS-u”, nie ma polskich ministrów, posłów, tylko „ministrowie, posłowie PiS-u”. Europę utożsamia z parlamentarną frakcją EPP, totalną opozycją w Polsce oraz sobą.

O interes Unii Europejskiej i Polski dbają tylko Polacy wspierający opozycję. Inni Polacy, w domyśle ci popierający PiS, są głupi i w mniejszości, a może nawet, jak się słucha Tuska, żyją w Polsce okupowanej przez PiS. Bo żeby poznać prawdziwe poglądy i intencje Tuska, należy go odbierać à rebours. Jak tego, co krzyczał w tramwaju: „Łapać złodzieja!”.

Wystąpienie premiera i debatę w europarlamencie Tusk podsumował tak: „Byliśmy świadkami zderzenia pisowskiego rządu ze ścianą”. To może być prawdziwa ocena, gdy ma się na myśli przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen, przewodniczącą Rady Europejskiej i przedstawicieli frakcji parlamentarnych stanowiących lewico-liberalną większość w UE. Ich reakcja to zimny beton.

Byliśmy świadkami zderzenia, ale i zdarzenia jednego z najważniejszych w historii UE ostatnich lat. Polski premier w sposób precyzyjny, zgodny z rzeczywistością i faktami wyłożył stanowisko naszego kraju wobec jawnej

groźby ograniczenia naszej suwerenności. Nigdy jeszcze w Parlamencie Europejskim, w takim natężeniu, nie padło tyle słów prawdy. Dawka prawdy była tak silna, że przewodniczący obradom kilka razy próbował przerwać wystąpienie premiera Morawieckiego. Ten jednak nie dał się zbić z tropu i dokończył je na swoich warunkach. Trzeba gorąco podziękować premierowi za godną reprezentację Polski.

Premier przypomniał genezę obecnego kryzysu gazowego i energetycznego. Politykę UE wobec Gazpromu i Nord Stream 2, która przekłada się teraz na rosnące ceny gazu. Nie wskazał jednak palcem winnych, jak i wtedy, gdy mówił o tolerowaniu przez Unię rajów podatkowych. Wytknął też stosowanie przez UE podwójnych standardów, dzielenie na lepszych i gorszych, silnych i słabszych, bogatych i mniej zamożnych. „Czy to jest równość?” – pytał premier. Słuszne pytanie, gdyż utrzymywanie się tych podziałów już jest i będzie w dalszej europejskiej perspektywie coraz trudniejsze do pogodzenia z polską racją stanu. Szczególnie gdy UE rozszerza swoje kompetencje za pomocą faktów dokonanych, bez podstawy prawnej. A już zupełnie nie do zaakceptowania jest stosowanie języka szantażu finansowego i mówienie o karach. Nikt jeszcze na tej sali nie mówił takim językiem i nikt jeszcze nie odważył się przypomnieć europosłom, czym jest demokracja. Premier nie owijał w bawełnę: „Groźby, pogroźki, wymuszenia, szantaże nie mogą być metodą prowadzenia polityki wobec żadnego państwa członkowskiego UE”. Nie do przyjęcia jest też, jak podkreślił, wydawanie państwom członkowskim instrukcji i rozkazów czy doprowadzanie do chaosu prawnego poprzez stosowa-

nie interpretacji traktatów, co staje się głównym zajęciem TSUE.

Przypominając zebranym, że Unia nie jest państwem, bo suwerenem, „panami traktatów” są wyłącznie państwa członkowskie, które decydują, ile kompetencji powierzają UE, premier dotknął w końcu sprawy najważniejszej. Chodzi o ostatni wyrok naszego Trybunału Konstytucyjnego, o którym przewodnicząca Komisji Europejskiej wyraziła się z pogardą, mówiąc „tak zwany Trybunał Konstytucyjny”. Cytując wyroki kilku trybunałów konstytucyjnych państw członkowskich, premier przypomniał też dwa wyroki polskiego TK z czasów, kiedy w Unii nie mówiono o nim „tak zwany”. Wyroki z roku 2005 i 2010 mówią o nadrzędności polskiej konstytucji i zachowują brzmienie tożsame do ostatniego wyroku TK. Urzędnicy, w tym komisarz von der Leyen, znają treść tego wyroku, ale świadomie nim manipulują, po to by głosić, że wyrok ten „unieważnia unijne traktaty”, a to już ma być odbierane jako zamach na podstawowe wartości UE.

To samo robi Donald Tusk, mistrz kłamstwa i manipulacji, lokaj UE. Oskarża premiera o brak rzetelności argumentacji, gdy tymczasem trudno o bardziej udokumentowane wystąpienie z kapitalnymi dla przyszłości Europy pytaniami. Tusk wzywa „pisowski rząd” do wycofania się ze szkodliwych projektów i zaprzestania „dewastacji praworządności”. Zapowiedź likwidacji Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego odbiera jako potwierdzenie słuszności krytyki przeciwników rządu. Zapomina jednak, że suweren wcale nie zamierza odstąpić od egzekwowania prawa w stosunku do przestępców z nadzwyczajnej kasty. Wkrótce kolejne zderzenie Polska – UE.

Twardowski wciąż aktualny

Minął czas inauguracji roku akademickiego na polskich uczelniach, za nami Dzień Edukacji Narodowej, przemówienia, fety, kwiaty i ordery. Co łączy akademię ze szkołą? Oczywiście najprostsza odpowiedź to nauczanie. Ale gdyby sprowadzić te procesy do postaci kwantu, to istotą tych instytucji okazałaby się prawda i/lub dążenie do prawdy.

Prawda jest dzisiaj dobrem deficytowym, drastycznie reglamentowanym i „gatunkiem na wymarcie”. Im więcej mamy mediów, im więcej gadających głów, nośników informacji, zapisów filmowych, komentarzy i newsów, tym mniej mamy prawdy. Bo dzisiejsze kłamstwo nie jest pospolitym, mało wyrafinowanym fałszem, takim jak powiedzenie, że jest godzina dziewiąta, gdy de facto jest południe. Kłamstwo dzisiejsze to cały legion fałsetów z zegarkami, z których każdy podaje inną godzinę. Skutkiem tego nie jest pojedyncze kłamstwo krzywiące fragmenty rzeczywistości, ale sianie i ukorzenianie przekonania, że nikt nie mówi prawdy, że nikomu ufać nie można, że prawdy nikt nie zna ani nie pozna.

Uhonorowany w 1932 r. przez uniwersytet poznański doktoratem honoris causa wybitny filozof i logik, twórca szkoły lwowsko-warszawskiej prof. Kazimierz Twardowski w przygotowanym z tej okazji wykładzie „O dostojeństwie Uniwersytetu” pisał m.in. (pisownia oryginalna):

„Dostojeństwo to [uniwersytetu – przyp. A.N.] płynie nie tylko z sędziwego wieku i chlubnych tradycji uczelni, noszących tę nazwę, ma ono swe źródło w samej idei Uniwersytetu, która się z biegiem czasu ustaliła i która wyznacza mu funkcję, jaką on ma pełnić w życiu zbiorowym współczesnej ludzkości i rozlicznych jej odłamów narodowych. Według tej idei zadaniem Uniwersytetu jest zdobywanie prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz krzewienie umiejętności ich dochodzenia. Rdzeniem i jądrem pracy uniwersyteckiej jest tedy twórczość naukowa, zarówno pod względem merytorycznym, jak pod względem metodycznym. Cięży na Uniwersytecie obowiązek odkrywania coraz to nowych prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz doskonalenie i szerzenie sposobów, które je odkrywać pozwalają. Z tych wysiłków wyrasta gmach wiedzy naukowej, wiedzy obiektywnej, która domaga się uznania wyłącznie na tej podstawie, że jest według praw



**Aleksander
Nalaskowski**

*Prawda jest dzisiaj dobrem
deficytowym, drastycznie
reglamentowanym i „gatunkiem
na wymarcie”*

logiki uzasadniona, i która narzuca się umysłowi ludzkiemu jedynie, ale i nieprzeparcie siłą argumentów.

[...] Niestety brak niekiedy należytego rozumienia tych wartości intelektualnych, którymi nas obdarzają badania naukowe w postaci prawdy obiektywnej. Komuż bowiem naprawdę na tej obiektywnej prawdzie zależy? Kole ona w oczy, staje na przeszkodzie niezmiernie licznym dążeniom, które mogą osiągać swoje cele tylko pod tym warunkiem, że starannie będą prawdę omijały. Więc śmiało się ją fałszuje, w najlepszym razie się ją przemilcza. A jednak tak samo, jak wyniki badań naukowych uwalniają nas coraz skuteczniej od niedomagań cielesnych,

tak też cały szereg utrapień moralnych, dręczących ludzkość, znikłby lub doznałby znacznego złagodzenia, gdyby zechciano się nimi zająć ze stanowiska prawdy obiektywnej. Ileżby to nienawiści, dzielącej ludzkość na zwalczające się namiętnie obozy, straciło grunt pod nogami, gdyby usiłowano będące zarzewiem tej nienawiści kwestyie sporne rozpatrywać sposobami naukowymi!”

Minęło prawie 90 lat, dotknęła nas straszliwa wojna, całe dekady komunizmu z okrutnym stalinizmem włącznie, przetoczyło się wiele reform edukacji, życia naukowego, ukazały się miliony książek, opracowań i skryptów, szalejąca demokracja nie oszczędziła uniwersytetów, a słowa Twardowskiego puchną nam w ustach, duszą, dławią, nie dając się pogryźć, strawić i zapomnieć. Jak stwierdził kiedyś mój kolega z tych łamów, a także z uniwersytetu Andrzej Zybortowicz, wielu profesorów nie potrzebuje już prawdy, bo zastępują ją granty, stypendia i punkty. Ta gorzka konstatacja trwa w tragicznej niezgodzie z naszymi ambicjami do umiędzynarodowienia polskiej nauki, do awansu z cztertej setki uniwersytetów na świecie do nagród i wyróżnień naukowych.

Jednocześnie media promują ludzi z tytułem i stopniami naukowymi na autorytety, mędrców, sędziów sprawiedliwych, którzy nie mają nam nic, poza przekazem ideologicznym, do powiedzenia, którzy cokolwiek by powiedzieli, to i tak z tego wychodzi co najwyżej osiem gwiazdek. Dlatego Kazimierz Twardowski tak twardo się trzyma i jest aktualny. I wzorem innego Twardowskiego na Księżyc się na razie nie wybiera.



JAN POSPIESZAŃSKI

3 października 2016 r. moja córka rozpoczęła studia na Uniwersytecie Warszawskim. Tego dnia radykalne lewicowe środowiska, w odpowiedzi na inicjatywę obywatelską sprzeciwiającą się aborcji eugenicznej, zorganizowały „czarny protest”. Basia była jedyną osobą na pierwszym roku, która przyszła w kolorowym ubraniu. W trakcie semestru okazało się, że nie tylko w zewnętrznych formach, lecz także w treściach wielu wykładów obecny jest neomarksistowski radykalizm. Córka szybko podjęła papiery i rozpoczęła studia na Akademii Muzycznej. Poparcie wielu wykładowców dla aborcyjnych protestów było mocnym sygnałem, że na uczelniach panoszy się lewicowy radykalizm.

Przypadek prof. Budzyńskiej z Uniwersytetu Śląskiego, wobec której rzecznik dyscyplinarny prof. Wojciech Popiołek wszczął postępowanie za to, że za małżeństwo uznała tylko związek kobiety i mężczyzny, a przerwanie ciąży opisała jako zabójstwo dziecka, potwierdza, że już nie studenci, ale wielu wykładowców ulega skrajnej ideologizacji. Alarmującym przykładem jest ankieta skierowana do studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie respondenci mieli wskazać płeć, zaznaczając kategorie: „kobieta”, „mężczyzna”, „osoba niebinarna”, „transkobieta”, „transmężczyzna” lub „nie chcę odpowiadać na

Transuczelnie i transprawda

Demoralizacja studentów, skrajna ideologizacja nauki, operacje inżynierii społecznej to dziś najpoważniejsze wyzwania cywilizacyjne

to pytanie”. Ankieta wywołała falę komentarzy i reakcję m.in. Instytutu „Ona i On”. Wraz z grupą organizacji proro-dzinnych instytut zadał rektorowi UJ 14 pytań. W liście (dostępnym na stronie <http://onaion.org.pl>) znalazły się m.in. pytania o koszt utrzymania zatrudnia-jącego osiem osób Działu ds. Równego Traktowania oraz o źródła finansowania działań antydyskryminacyjnych. Py-tano o podstawy naukowe i doświad-czenie naukowe osób prowadzących te działania, a także o koszt wszelkich programów gender/queer. Czy i w jaki sposób subiektywna autoidentyfikacja seksualna łączy się z procesem zdobywania wiedzy i dlaczego te grupy zostały szczególnie wyróżnione przez władze uczelni? Autorzy listu zwrócili się też do rektora z prośbą o przedstawienie raportów naukowych, które wykazują, że płeć biologiczna przestała istnieć, oraz raportów, np. wykazujących, że homoseksualizm i transseksualizm są wrodzone, niezmiennie, a osoby te nie różnią się od pozostałych członków społeczeństwa podatnością na choroby przenoszone drogą płciową, zdrowiem psychicznym, fizycznym, trwałością i jakością związków, w tym seksualnych.

W liście są też następujące pytania: Czy UJ zamierza wprowadzić obo-wiązkowy język neutralny płciowo? Czy osoby „identyfikujące się inaczej” będą dopuszczane do zawodów spor-towych, szatni, toalet, pryszniców itp. przewidzianych dla określonej płci biologicznej? Czy UJ zamierza wpro-wadzić obowiązkowe feminatywy oraz inne modyfikacje nazewnictwa osób? Czy na UJ będą wprowadzone kary fi-

nansowe i administracyjne wobec tych, którzy odrzucają ideologiczne rozpo-rządzenia? Instytut zadał też pytanie, w jaki sposób władze uczelni zapo-biegają ryzyku negatywnych skutków zdrowotnych i społecznych przygodnego seksu i rozwiązłości studentów, skoro takie postawy są popularyzowane w programach „Bezpieczni UJ” (np. „zgoda na seks”). Czy uczestnicy pro-gramów otrzymują informacje o udo-wodnionej szkodliwości przygodnego seksu, zmienności i wielości partne-rów? W końcu zapytano, w jaki sposób odnośny dział UJ zajmuje się promo-waniem wartości małżeństwa i jego ochrony prawnej, do czego zobowiązuje go art.18 Konstytucji RP?

Na tak postawione pytania władze UJ odmówiły odpowiedzi, najpierw ignorując w ogóle list, potem przyciś-nięte zasłoniły się brakiem „przesłanki szczególnej istotności dla interesu pub-licznego”. Czy odpowiedź UJ to tylko ignorancja? Demoralizacja studentów, skrajna ideologizacja nauki, operacje inżynierii społecznej to dziś najpoważ-niejsze wyzwania cywilizacyjne, zatem uznanie pytań Instytutu za „społecznie nieistotne” jest raczej wyrazem beczel-ności i rewolucyjnej buty. Potwierdza to ankieta badająca poglądy polskich naukowców. Aż 27 proc. popiera Par-tię Razem (odpowiednio w badaniach ogółu społeczeństwa – 3 proc.). W trak-cie korespondencji z UJ instytut dotarł do jeszcze jednej ważnej informacji. Otóż w nowej ustawie (ustawa Gowina) poszukiwanie i dochodzenie do obiek-tywnej prawdy nie jest uznane jako nad-rzędny cel uczelni.

Życie wisiało na włosku?

Zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny” („PP”), wydawany przez specjalistów molekularnej fizyki kwantowej, pierwszy raz odstąpił od własnej reguły, poświęcając bulwersującą historię osobie niezwiązanej z Sejmem lub Senatem. Jedynie na obchodzonych corocznie hucznych uroczystościach rodzinnych bohatera, obok znanych postaci świata artystycznego, ludzi mediów, pojawiają się też znani parlamentarzyści.

Oto wierny przedruk tekstu z „PP”.

Nasza opowieść potwierdza ważną prawdę. Popularność, powszechne uznanie, graniczące ze sławą, sukcesy zawodowe i idące za tym wielkie pieniądze nie gwarantują zadowolenia, a tym bardziej szczęścia. Nie zajmowalibyśmy się sprawą, gdyby opisany przypadek ilustrował jedynie początkową banalną refleksję. A tu rzecz jest dramatyczna. Chodzi o realne poczucie największego zagrożenia, jakie może dotknąć człowieka – perspektywę utraty życia. Takich chwil potwornej grozy doznał znany piosenkarz. Sam tworzący teksty i muzykę do swoich przebojów. Nie ujawniamy tożsamości twórcy, gdyż każde poja-



**Jerzy
Jachowicz**

wienie się jego nazwiska w mediach w kontekście, w którym mu się nie podoba – a tego nigdy nie da się przewidzieć – kończy się wytoczonym przez niego procesem.

Otóż artysta ten w mediach społecznościowych zarzucił szefowi obecnej partii rządzącej Jarosławowi Kaczyńskiemu podjęcie próby zamachu na jego życie. W swoim oskarżeniu piosenkarz nie podaje przyczyn, dla których polityk powziął swój zbrodniczy zamiar. Przytacza za to okoliczności przemawiające za zadenuncjowaniem ukrywanych intencji lidera rządzącego obozu. Czyżby chodziło aż o tak radykalną, że nie do zniesienia, różnicę

w poczuciu smaku? Tego nie wiemy.

Jak twierdzi artysta, w wyniku zmywy polityka z prokuratorem piosenkarza aresztowano pod fałszywym zarzutem oszustwa w rozliczeniu tantiem. W poszukiwaniu dowodów przestępstwa zrobiono rewizję w mieszkaniu piosenkarza. To przekroczyło granice jego wrażliwości. Doprowadziło do trwającej kilka miesięcy utraty głosu i wpływu dochodów.

Może dla artysty to straty finansowe są kwestią życia i śmierci?

GENERALI AKCJI EKOLOGICZNYCH – FUNDUSZ DLA EKONWESTORÓW

Pieniądze w kolorze zielonym

Inwestorzy dostrzegają, że presja związana z podnoszeniem standardów ekologicznych generuje dziś największe zmiany w świecie biznesu. Na rynkach w wielu branżach już dziś zaczynają dominować firmy, które najszybciej rozpoznały wyzwania nowej zielonej ery i to zapewne one staną się głównymi generatorami zysków w najbliższych latach.

Transformacja, jakiej jesteśmy świadkami, z pewnością odbędzie się przy aktywnym zaangażowaniu graczy z rynku kapitałowego. Do sfinansowania są bowiem niezliczone projekty modernizacyjne oraz nowe, przyjazne środowisku i ludziom inwestycje. W Polsce osoby poszukujące możliwości zaangażowania kapitałowego

w zielone inwestycje mogą już od 1 lipca korzystać z subfunduszu Generali Akcji Ekologicznych, który inwestuje w duchu zasad ESG. Terminem tym oznacza się zbiór czynników związanych ze środowiskiem naturalnym (E – environment), społeczeństwem (S – social) oraz ładem korporacyjnym (G – governance). O ile czynnik E jest dość czytelny, o tyle warto objaśnić komponent społeczny, kryjący się pod S. Z poziomu prowadzenia działalności gospodarczej do kluczowych czynników z grupy S zalicza się m.in. dbałość o zdrowie i bezpieczeństwo zawodowe pracowników czy dochowanie najwyższych standardów cyberbezpieczeństwa. Pod G znajdziemy m.in. unikanie korupcji czy odpowiedzialność podatkową, a także uczciwą politykę wynagrodzeń.



**GENERALI
INVESTMENTS**

OECD szacuje, że środki zarządzane w rozwiązaniach o profilu ESG w 2025 r. wyniosą w Europie 7,6 bln dol., co będzie stanowić nawet ponad połowę wszystkich inwestycji w fundusze. Mówimy zatem o rozpędzającym się trendzie, który dopasuje strukturę rynku kapitałowego do nowych zielonych wymogów.



Materiał reklamowy Generali Investments TFI S.A., które działa na podstawie decyzji KNF z dnia 1 czerwca 1995 r., nr decyzji KPW-4073-1/95 i świadczy usługi pośrednictwa w zbywaniu i odkupywaniu jednostek uczestnictwa. Decyzje inwestycyjne powinny być podejmowane wyłącznie po zapoznaniu się z: Prospektem informacyjnym, Kluczowymi informacjami dla inwestorów oraz Informacją dla klienta AFI, dostępnymi na stronie: www.generali-investments.pl. Dokumenty są sporządzone w języku polskim. Inwestowanie wiąże się z ryzykiem. Generali Akcji Ekologicznych cechuje się wysokim ryzykiem inwestycyjnym oraz dużą zmiennością wartości aktywów netto. Zalecany horyzont inwestycyjny wynosi 5 lat. Brak gwarancji osiągnięcia celów inwestycyjnych. Możliwość zmniejszenia wartości, w tym utraty części zainwestowanych środków. Przy zbywaniu i odkupywaniu j.u. mogą być pobierane opłaty manipulacyjne i należne podatki. Maksymalna wysokość wynagrodzenia stalego za zarządzanie subfunduszem wynosi 2,5% rocznie. Na dzień sporządzenia noty wynagrodzenie zmienne nie jest pobierane. Informacje zamieszczone w niniejszym materiale nie stanowią: usługi doradztwa inwestycyjnego, udzielania rekomendacji dotyczącej instrumentów finansowych, jak również informacji rekomendującej lub sugerującej strategię inwestycyjną lub rekomendacji inwestycyjnej opisanych w rozporządzeniu MAR.

Rysuje Jerzy **Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Na celowniku UE

Hybrydowa codzienność otacza nas coraz mocniej

Od strony Białorusi trwa atak hybrydowy.

Od strony Brukseli trwa atak hybrydowy. Od strony krajowych fejkmediów trwa atak hybrydowy. Jak ktoś jeździ hybrydą, to ma komplet. Tak jakby teorie spiskowe weszły w fazę praktyki.

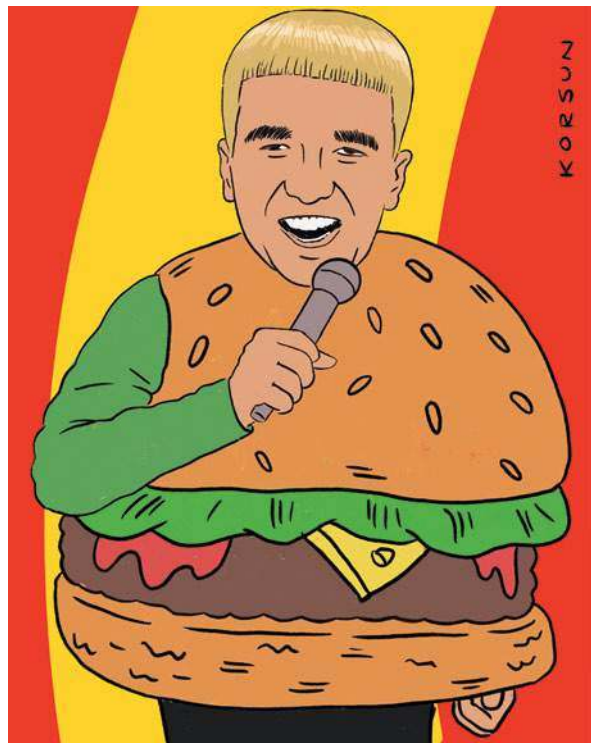


Ryszard Makowski

Podczas debaty Parlamentu Europejskiego w Strasburgu nasz premier został postawiony pod ukartowanym przęgiem. Sam tytuł tej farsy „Kryzys praworządności w Polsce a prymat prawa unijnego” miał formę bicia. Smutne jest to, że wygłoszone tam brednie i kalumnie nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Poruszano się w obrębie obrazu pisowskiego reżimu depczącego wspaniałe europejskie wartości. Ciekawostką jest to, że prym w ataku na nas wiodą Niemcy. Tradycja?

A komu zawdzięczamy to, że Unia Europejska sama sobie robi tango down? Angeli Merkel!!! Bilans jej rządów jest katastrofalny: brexit, zaproszenie milionów imigrantów socjalnych, wypychanie USA, umocnienie Rosji poprzez NS1 i NS2, zgoda na aneksję Krymu, obojętne milczenie po Smoleńsku. Przede wszystkim jednak promując kogoś pokroju Donalda Tuska i pilnując, byśmy nie mogli zreformować wymiaru sprawiedliwości, zniechęciła nas do UE. Śmieszne jest przedstawianie tej rzeczniczki Kremla jako naszej dobroczynniczki. Unia Europejska miała być dobrą ciotunią, która zapisze nam spadek, a okazała się sekutnicą, która podstępnie chce nas okraść i jeszcze każe się kłaniać w pas. Są też dobre wiadomości. W telewizji reklamują „lek na erekcję”. Wspaniale, choć nie przypuszczałem, że erekcję trzeba leczyć.

**Michał Korsun prezentuje:
Raper Mata śpiewa do kotleta**



Wycinki z przeszłości

Za oknami złota polska jesień. Wspaniały czas dla ludzi wrażliwych na piękno przyrody, fotografów, poetów i malarzy. Tygodnik „Na Szerokim Świecie” zamieścił w 1939 r. taką oto ilustrację. Przedstawia obraz Teodora Axentowicza pt. „Jesień”. Zdjęcie pochodzi „z wystawy prac niedawno zmarłego wielkiego polskiego malarza w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie”.

Co ciekawe, malarz urodził się w 1859 r. w Braszowie w Siedmiogrodzie, w rodzinie polskich Ormian. Ojciec był austriackim urzędnikiem sądowym, matka pochodziła z węgierskiej rodziny Plucharschów. Gdy Teodor miał trzy lata, jego rodzina zamieszkała we Lwowie. W czasie długiej kariery artysta współpracował z Wojciechem Kossakiem i Janem Styką przy realizacji „Panoramy Racławickiej”, był też cenionym profesorem.

Obrazy Axentowicza przetrwały próbę czasu. W 1998 r. w Muzeum Narodowym w Krakowie zaprezentowano jego pracę na wystawie monograficznej. **(mk)**



Opus uzupełniające

**Cyprian Kamil Norwid
(1821–1883)**

**„Fortepian Chopina”
(fragment końcowy)**



Leszek Długosz

Oto patrz – Fryderyku!... to – Warszawa:
Pod rozplómienną gwiazdą
Dziwnie jaskrawa – –
– Patrz, organy u Fary; patrz! Twoje gniazdo:
Owdzie – patrycjalne domy stare
Jak P o s p o l i t a - r z e c z,
Bruki placów głuche i szare
I Zygmuntowy w chmurze miecz.

Patrz!... z zaułków w zaułki
Kaukaskie się konie rwą
Jak przed burzą jaskółki,
Wyśmigając przed pulki:
P o s t o - p o s t o - -
– Gmach zajął się ogniem, przyszał znów,
Zapłonął znów – – i oto – pod ścianę
Widzę czoła ożałobionych wdów
Kolbami pchane – –
I znów widzę, acz dymem oslepiam,
Jak przez ganku kolumny
Sprzęt podobny do trumny
Wydźwigają... runął... runął – Twój fortepian!

Ten!... co Polskę głosił, od zenitu
Wszchedoskonałości Dziejów
Wziętą hymnem zachwyty –
Polskę – przemienionych kołodziejów;
Ten sam – runął – na bruki – z granitu!
– I oto: jak zacna myśl człowieka,
Poterany jest gniewami ludzi;
Lub – jak o d w i e k a
Wieków – w s z y s t k o, c o z b u d z i!
I – oto – jak ciało Orfeja,
Tysiąc pasji rozdziera go w części;
A każda wyje: „N i e j a !...
N i e j a !” – zębami chrzęści

Lecz Ty? – – lecz ja? – uderzmy w sądne pienie,
Nawołując: „C i e s z s i ę p ó ż n y w n u k u !...
J ę k ł y g ł u c h e k a m i e n i e:
I d e a ł – s i ę g n ą ł b r u k u – –”

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Family by default



Proponuję, by wymóc na producentach smartfonów, komputerów takie domyślne ustawienia, które wymuszają kontakt rodzinny – dziecko w cyberświat będzie się mogło udać tylko z opiekunem za rączkę

Pewno dorośli czytelnicy pamiętają, jak uczyli swoje małe dzieci przechodzenia przez ulicę, niekiedy nawet dość ruchliwą. Tłumaczyli sposób bezpiecznego przechodzenia na drugą stronę: patrzymy w lewo, potem w prawo, następnie ponownie sprawdzamy lewą stronę i wtedy wkraczamy jezdnię, uważając przy tym, czy z prawej strony nie pojawia się nieoczekiwane auto. Mówiliśmy to wszystko.

ZA RĘKĘ

Czy po opisanu dziecku metody bezpiecznego przechodzenia przez niebezpieczną część świata (pamiętam, jak czynił to mój ukochany dziadek Andrzej, po którym mam imię) oraz upewnieniu się, że dzieciak zrozumiał, uznawaliście,

że wasze zadanie jest skończone i puszczaście już dziecko samo przez jezdnię, np. do sklepu z ciasteczkami?

Jasne, że nie. Po upewnieniu się, że dziecko metodę przedostania się do sklepu do drugiej strony jezdni zrozumiało, brałismsy je za rękę i razem z nim przechodziliśmy na drugą stronę. Robiliśmy tak kilka razy, aż do upewnienia, że dzieciak zachowuje się odpowiedzialnie. Dopiero wtedy dawaliśmy mu kilka złotych na lody i pozwalaliśmy, by sam po nie poszedł.

ŚWIAT NIE CAŁKIEM BEZPIECZNY

Niezależnie od wszelkich cywilizacyjnych osiągnięć dzisiejszy świat, technicznie już głęboko przetworzony, całkiem bezpieczny nie jest. Choć polskie miasta są w zasadzie nawet w nocy bezpieczne, tak np. jest w Toruniu i Warszawie, to wiemy, iż są takie ich rejony, gdzie lepiej się nie zapuszczać. Wychowując dzieci, pamiętamy, by im nakreślać właściwą mapę stref bezpiecznych, mniej bezpiecznych oraz takich, które należy w ogóle unikać.

ŚWIAT CYFROWY

Umieszczono w nim już niemal całe dziedzictwo ludzkości. Oraz coś jeszcze. W internecie, poza najwspanialszymi osiągnięciami ludzkiego ducha – sztuki, nauki, heroizmu, są też liczne paskudztwa. Najbrutalniejsze przejawy pornografii, okrucieństwa wobec zwierząt, uzależnień... Zapisy wojen, walk gangów, rozmaitych ludzkich patologii.

Ale problem ze światem cyfrowym nie polega tylko na tym, co dziecko w internecie może zobaczyć. Problemem jest sam internet. Nie tylko dlatego, że pozbawia nas wszystkich, dorosłych i dzieci, prywatności, nieustannie gromadząc dane na nasz temat. Nie tylko dlatego, że w wiele (pewnie w większość) aplikacji wpięto cyfrowe technologie uzależniające, które utrudniają oderwanie się od sieci. Kłopot polega też na tym, że inter-

net, tworząc ogromny nadmiar informacji, zaburza nasze normalne, zdrowe procesy myślowe. Prowadzi m.in. do hiperindywidualizacji, powodując, że ludzie osobno – jedni obok drugich – prawie zabawiają się na śmierć.

Świat cyfrowy jest miejscem, z którym kontakt jest niebezpieczny nie tylko dla dziecka, ale także dla dojrzałej osoby dorosłej. Tymczasem są rodzice, którzy dzieciom jeszcze niepotrafiącym samodzielnie chodzić, stawiają przed oczy tablet, po którym maluch, wodząc paluszkami, błyskawicznie uzależnia się od dźwięków, obrazków, błysków – ciąglego strumienia bodźców! I jakaż dla rodziców ulga...

RODZINNOŚĆ DOMYŚLNA

Na szczęście obecne technologie już pozwalają na wprowadzenie rozwiązań powodujących, iż żadne dziecko poniżej pewnego wieku (np. 13 lat) nie będzie w stanie samodzielnie korzystać z komputerowych gier, filmików, czatów i innych atrakcji. Że w świat cyfrowy będzie się mogło zanurzać tylko w towarzystwie osoby starszej: rodzica, cici, opiekuna, starszego rodzeństwa – kogoś, kto będzie dziecku towarzyszył w czasie korzystania ze sprzętu.

Proponuję, by wymóc na producentach smartfonów, tabletów, komputerów takie domyślne ustawienia, które wymuszają kontakt rodzinny – dziecko w cyberświat będzie się mogło udać tylko z opiekunem za rączkę.

Technicznie jest to możliwe już dziś. Społecznie stanie się możliwe wtedy, gdy pod presją społeczną powstaną regulacje prawne wymuszające na producentach sprzętu i dostawcach oprogramowania rozwiązania, których domyślne ustawienie (default) będzie prorodzinne. Tak, by żadne dziecko samo nie mogło wchodzić na jezdnię, po której pędzą niekończące się strumienie uzależniających bodźców.

To od nas rodziców obywateli zależy, czy tak się stanie.

Andrzej Zybertowicz

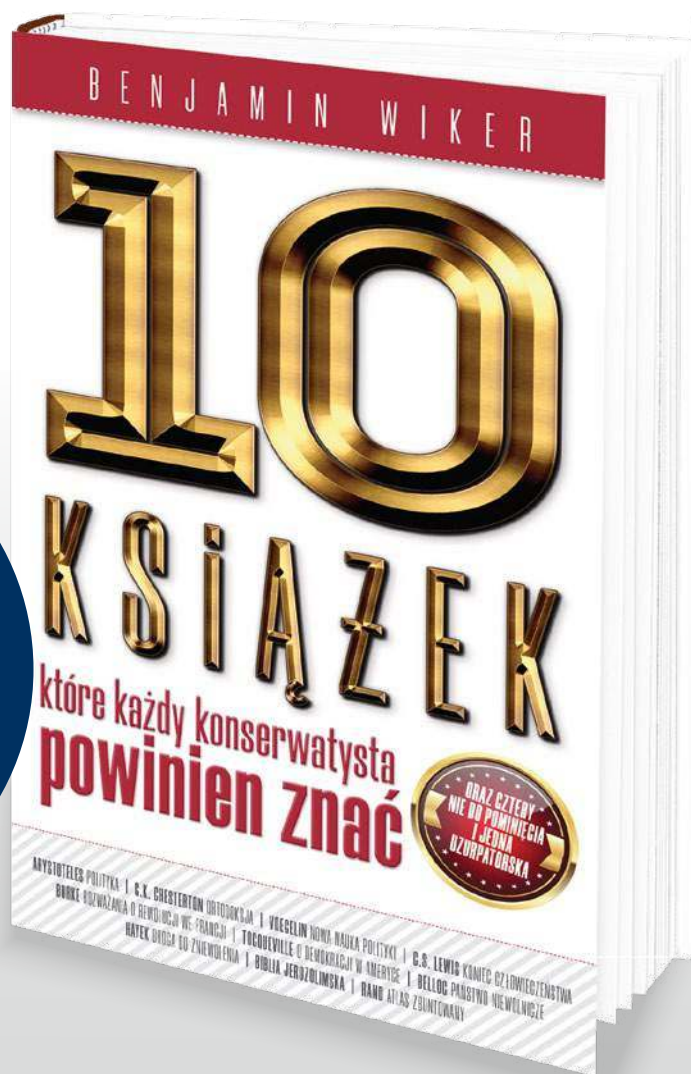
TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ PAKIETU

SIECI

**wSIECI
HISTORII**

Czy poglądy Arystotelesa nadal kształtują światową politykę?
Czy Shakespeare miał serce po prawej stronie? Dlaczego „Władca pierścieni” Tolkiena jest lekturą konserwatywną?

70
książek
w prezencie



Publikację „10 książek, które każdy konserwatysta powinien przeczytać” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **280 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9–16



Najlepsi wracają do gry



Dekoder polsat box | 4K

Wybierz ofertę TV od 30 zł/mies.
z nowym dekodern 4K
i dobieraj pakiety sportowe

polsat box 

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekodern. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 18.10.2021 r. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.